



# ŻELAZNE RZĄDY

KSIĘGA 11 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE

# **ŻELAZNE RZĄDY**

**KSIĘGA 11 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA**

„Istnieje kraina, niegdyś w pożywienie obfita – lecz zmiany nadeszły i pożogą się pokryła. W miejscu tym w kamieniu szafir tkwił, i złoty pył.”

„Koń drwi ze strachu, niczego się nie lęka; przed mieczem nie ugnie się. W miejscu nie stanie, gdy trąbkę usłyszy. Na dźwięk trąbki rży z uciechą.”

~ Księga Hioba

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Reece stał, zastygł w szoku, trzymając dłoń na zatopionym w piersi Tirusa sztylcie. Wszystko wokół niego poruszało się w zwolnionym tempie, stało się niewyraźną plamą. Zabił właśnie swego największego wroga, mężczyznę, który był odpowiedzialny za śmierć Selese. Z tego powodu Reece odczuwał niezwykłą satysfakcję, czuł, że dokonał zemsty. Wielka krzywda została wreszcie naprawiona.

Zarazem jednak popadł w odrętwienie, w dziwny sposób czuł, że zbliża się ku śmierci i gotował się na kres, który niechybnie musiał teraz nastąpić. Sala wypełniona była ludźmi Tirusa, którzy znieruchomiali w szoku, ujrawszy, co się zdarzyło. Reece gotował się na śmierć. Nie żałował jednak tego, co uczynił. Radowało go, że otrzymał szansę zabicia tego mężczyzny, który ośmielił się myśleć, iż Reece w istocie go przeprosi.

Reece wiedział, że nie wymknie się śmierci; przeciwników było znacznie więcej, a jedynymi w tej wielkiej sali, którzy trwali po jego stronie, byli Matus i Srog. Srog, ranny, uwięziony, spętany był sznurem, a Matus stał obok niego pod czujnym okiem żołnierzy.

Nie będą zbyt pomocni w starciu z tą armią wyspiarzy lojalnych Tirusowi.

Przed śmiercią Reece pragnął dopełnić swej zemsty i uśmiercić tylu wyspiarzy, ilu tylko zdoła.

Tirus osunął się u stóp Reece'a martwy, a on nie wahał się: wyciągnął swój sztylet, obrócił się raptownie i poderżnął gardło jednemu z generałów Tirusa, stojącemu obok niego; w tym samym ruchu odwrócił się pędkiem i dźgnął innego w serce.

Gdy osłupiała sala ocknęła się i poczęła reagować, Reece działał natychmiast. Dobył dwu mieczy z pochew dwu konających mężczyzn i natarł na stojącą naprzeciw niego grupę żołnierzy. Położył trupem sześciu, nim zdążyli zareagować.

Setki wojowników ruszyły wreszcie do walki, nacierając na Reece'a z każdej strony.

Reece przywołał w pamięci swe szkolenie z Legionem, wszystkie razy, gdy zmuszony był walczyć z liczniejszym przeciwnikiem, i gdy otoczyli go teraz z każdej strony, uniósł oburącz miecz. Nie spowalniała go zbroja – jak tych wojowników – pas z orężem ani tarcza; był lżejszy i szybszy niż oni wszyscy, a do tego rozwścieczony, osaczony i toczył bój o swe życie.

Reece walczył mężnie, poruszał się szybciej niż każdy jeden z nich, wspomniawszy wszystkie chwile, w których ćwiczył się z Thorem, najświetniejszym wojownikiem, z jakim przyszło mu walczyć, wspomniawszy, jak bardzo jego zdolności się poprawiły.

Zabijał jednego wojownika po drugim. Jego miecz odbijał się ze szczękiem o miecze niezliczonych przeciwników, a skry sypały się, gdy siekł we wszystkie strony. Ciął raz po raz, aż ramiona poczęły mu omdlewać, uśmiercając tuzin mężów, nim ci zdolali choćby mrugnąć.

Jednakże napływało ich wciąż coraz. Było ich po prostu zbyt wielu. W miejsce każdych sześciu, którzy padali, pojawiał się tuzin nowych. Zbiegali się i napierali na niego ze wszystkich stron i gęstwa żołnierzy stawała się coraz bardziej zbita. Reece dyszał ciężko i nagle poczuł, jak miecz tnie jego ramię. Wykrzyknął z bólu, a z jego bicepsa pociekła krew. Obrócił się raptownie i dźgnął mężczyznę między żebra, lecz rana została już zadana. Był teraz ranny, a zewsząd nadbiegało coraz więcej mężczyzn.

Wiedział, iż jego czas nadszedł.

Uświadomił sobie z zadowoleniem, że przynajmniej polegnie mężnie, w boju.

- REECE!

Powietrze przeszył nagły krzyk, głos, który Reece natychmiast rozpoznał.

Kobięcy głos.

Reece znieruchomiał, gdy dotarło do niego, do kogo należał. Był to głos jedynej kobiety na świecie, która zdolna była jeszcze zwrócić jego uwagę, nawet pośród tego wielkiego starcia, nawet podczas jego ostatnich chwil:

Stary.

Reece podniósł wzrok i ujrzał ją na szczycie drewnianych trybun, które bieły wzdłuż ścian sali. Stała wysoko ponad wszystkimi z zaciętym wyrazem twarzy, a żyły na jej szyi nabrzmiały, gdy wołała do niego. Spostrzegł, że trzyma w rękach łuk i strzałę i widział, że obiera na cel coś po drugiej stronie pomieszczenia.

Reece podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i spostrzegł, w co mierzy: grubą linę, długą na pięćdziesiąt stóp, mocującą potężnych rozmiarów metalowy żyrandol o średnicy trzydziestu stóp, której drugi koniec zatknięty był na żelaznym haku wbitym w kamienną podłogę. Konstrukcja była gruba niby pień drzewa i mieściło się na niej kilka setek płonących świec.

Reece pojął, że Stara zamierza przestrzelić linę. Jeśli trafi, żyrandol runie w dół – i zmiażdży połowę mężczyzn w sali. Gdy Reece podniósł wzrok, uświadomił sobie, że stoi dokładnie pod nim.

Stara ostrzegła go, by się usunął.

Ogarnięty paniką Reece poczuł, jak serce tłucze mu się w piersi. Odwrócił się, opuścił miecz i rzucił się w grupę napastników, usiłując usunąć się na bok, nim żyrandol spadnie. Kopał i uderzał łokciami i głową żołnierzy, by odepchnąć ich ze swej drogi, i przedzierał się przez tłum. Reece pamiętał z dzieciństwa, że Stara była wyśmienitym strzelcem – zawsze radziła sobie lepiej od chłopców – i wiedział, że nie chybi. I choć biegnąc odsłaniał plecy w stronę mężczyzn, którzy ruszyli za nim, ufał jej wiedząc, że trafi.

Chwilę później Reece usłyszał dźwięk strzały przesywającej powietrze, trzask pękającej liny i zrywającego się ogromnego kawału żelaza, który runął prosto w dół, przecinając powietrze z pełną prędkością. Rozległ się głośny huk i cała sala zatrzęsała się, a Reece się przewrócił. Leżał, upadłszy na kamienną posadzkę na dłonie i kolana, i poczuł na plecach podmuch powietrza. Żyrandol ominął go jedynie o kilka stóp.

Reece usłyszał krzyki i obejrzawszy się przez ramię ujrzał szkody, jakie wyrządziła Stara: tuziny mężczyzn leżały przygwożdżone żyrandolem, dokoła było pełno krwi i rozlegały się krzyki miażdżonych na śmierć. Ocaliła mu życie.

Reece podniósł się, rozglądając w poszukiwaniu Stary i spostrzegł, iż teraz to ona znajduje się w niebezpieczeństwie. Kilku mężczyzn nacierało na nią i choć mierzyła w nich z łuku, wiedział, że zdoła wypuścić tylko kilka strzał.

Odwróciła się i spojrzała nerwowo na drzwi, zakładając najwyraźniej, że uciekną

tamtędy. Lecz gdy Reece podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, serce zamarło mu na widok tuzinów ludzi Tirusa spieszących w tamtą stronę i zamykających je, ryglując dwa wielkie skrzydła drzwi grubą, drewnianą belką.

Byli uwięzieni, wszystkie wyjścia zostały zagrodzone. Reece wiedział, że zginą tutaj.

Zobaczył, że Stara rozgląda się gorączkowo po sali, aż jej oczy zatrzymały się na najwyższym rzędzie drewnianych trybun przy tylnej ścianie.

Gestem wskazała Reece'owi, by biegł w tamtą stronę, i sama także rzuciła się w tamtym kierunku. Reece nie miał pojęcia, co też chodziło jej po głowie. Nie widział tam żadnego wyjścia. Ona jednak знаła ten zamek lepiej niż on i być może obmyśliła drogę ucieczki, której on nie dostrzegał.

Reece odwrócił się i puścił biegiem przed siebie, torując sobie drogę wśród mężczyzn, którzy zaczęli się przegrupowywać i atakować go. Biegąc co sił w nogach, walczył tyle tylko, ile było konieczne. Starał się nie angażować w walkę, usiłując raczej wyciąć wąską ścieżkę przez tłum i przedostać się do przeciwległego rogu sali.

Biegąc, Reece obejrzał się w poszukiwaniu Sroga i Matusa, zdecydowany pomóc im także, i z radością spostrzegł, że Matus chwycił miecze żołnierzy, którzy stali obok i dźgnął obu; zobaczył, że szybkim ruchem przecina sznury krępujące Sroga i uwalnia go, a ten chwyta miecz i zabija kilku zbliżających się do nich żołnierzy.

- Matusie! – krzyknął Reece.

Matus obrócił się i spojrzał w jego stronę. Ujrzał Starę przy ścianie po drugiej stronie sali i spostrzegł, dokąd biegnie Reece. Szarpnął Sroga, odwrócili się i także puścili biegiem w tamtym kierunku. Wszyscy biegli teraz w tę samą stronę.

Gdy Reece przedzierał się przez pomieszczenie, tłum stawał się coraz luźniejszy.

Tutaj, w tym odległym rogu sali, nie było tak wielu żołnierzy, w przeciwieństwie do przeciwległego rogu, do zaryglowanego wyjścia, gdzie zbierali się wszyscy mężczyźni.

Reece modlił się, by Stara wiedziała, co robi.

Stara biegła wzdłuż drewnianych trybun, wskakując na coraz wyższe rzędy, kopniakami odpychając mężczyzn, którzy wyciągali ręce, by ją schwytać. Podążając za nią wzrokiem i próbując dogonić, Reece wciąż nie wiedział, dokąd dokładnie Stara zmierza, ani jaki ma plan.

Reece dobiegł do położonego po drugiej stronie rogu sali i wskoczył na trybuny, na pierwszy rząd drewnianych siedzisk, następnie kolejny, i kolejny, wspinając się coraz wyżej i wyżej, aż znalazł się dobre dziesięć stóp nad wszystkimi, na najdalszej, najwyższej drewnianej ławie przy ścianie. Zrównał się ze Starą, a następnie zetknęli się przy ścianie z Matuszem i Srogiem. Znacznie wyprzedzili pozostałych żołnierzy, poza jednym, który rzucił się na Starę od tyłu. Reece przyskoczył naprzód i dźgnął go w serce, nim zdołał opuścić sztylet na plecy Stary.

Stara uniosła łuk i odwróciła się do dwu żołnierzy zamierzających się na odsłonięte plecy Reece'a z mieczami i trafiła obydwu.

Stali we czworo, zwrócenii plecami do ściany w rogu pomieszczenia, na najwyższej trybunie, i gdy Reece rozejrzał się, ujrzał stu mężczyzn pędzących przez salę, otaczających ich. Byli teraz uwięzieni w rogu, nie mając dokąd uciec.

Reece nie rozumiał, dlaczego Stara doprowadziła ich tam. Nie dostrzegając żadnych możliwych dróg ucieczki, był pewny, że wkrótce wszyscy zginą.

- Jaki masz plan? – wrzasnął do niej, gdy stanęli obok siebie, odpierając mężczyzn. – Tu nie ma żadnego wyjścia!

- Spójrz w górę – odparła.

Reece podniósł głowę i ujrzał nad nimi drugi żelazny żyrandol z długą liną, której jeden koniec umocowany był w podłodze tuż obok niego.

Reece zmarszczył brwi, zdezorientowany.

- Nie rozumiem – powiedział.

- Lina – rzekła. – Schwyć ją. Wszyscy ją schwyćcie. I trzymajcie, ile sił w rękach.

Zrobili, jak im rzekła. Każdy z nich chwycił się liny obojgiem rąk i trzymał mocno.

Nagle do Reece'a dotarło, co Stara zamierza zrobić.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – zawołał.

Było już jednak za późno.

Gdy zbliżył się do nich tuzin żołnierzy, Stara chwyciła miecz Reece'a, skoczyła w jego ramiona i przecięła linę, która podtrzymywała żyrandol.

Reece poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, gdy nagle, trzymając się kurczowo liny i siebie nawzajem, cała czwórka wystrzeliła w zawrotnym tempie w górę, zaciskając dłonie z całych sił. Żelazny żyrandol runął w dół, zmiażdżył mężczyzn pod nimi, a ich czworo wyrzucił wysoko w górę, rozkołysanych na linie.

Lina wreszcie przestała się huścić i zawiśli w górze, kołysząc się w powietrzu, dobre pięćdziesiąt stóp nad salą.

Reece spojrział w dół, pocąc się, niemal wypuszczając linę z rąk.

- Tam! – zawołała Stara.

Reece odwrócił się i ujrawszy przed sobą ogromne okno witrażowe, zrozumiał jej plan. Szorstka lina wżynała mu się w dłonie i poczynął ześlizgiwać się od potu. Nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła się utrzymać.

- Ześlizguję się! – zawołał Srog, robiąc co w jego mocy, by utrzymać się mimo swych ran.

- Musimy się rozhuścić! – krzyknęła Stara. – Musimy nabrać rozpędu! Odepchnijcie się od ściany!

Reece poszedł za jej przykładem: nachylił się w przód i razem z pozostałymi odepchnął się od ściany, coraz mocniej rozkołysując linę. Odpychali się raz po raz, aż po jednym, ostatnim kopnięciu przelecieli aż na drugą stronę, niby wahadło, i skulili się, z krzykiem zmierzając w stronę ogromnego witrażowego okna.

Szkoło rozprysło się i rozsypało dokoła nich. Wypuścili linę z rąk i upadli na szeroki kamienny występ u podnóża okna.

Stali pięćdziesiąt stóp nad salą. Do środka wdzierало się zimne powietrze. Reece spojrział w dół i po jednej stronie ujrzał wnętrze sali i setki żołnierzy patrzących w ich stronę, zastanawiających się, jak ich ścigać; po drugiej ziemię przed fortem. Na zewnątrz lało jak z cebra. Szalał wicher i zacinał deszcz, a spadek pod nimi miał dobre trzydzieści stóp. Spadając stamtąd, z pewnością można było złamać nogę. Reece ujrzał jednak w dole kilka wysokich krzewów, widział też, że ziemia jest mokra i miękką, błotnista.

Spadaliby długo i lądowanie byłoby twarde, lecz może zostałyby wystarczająco złagodzone.

Nagle Reece krzyknął, czując, jak metal przeszywa jego ciało. Opuścił wzrok, zacisnął



dłoń na ramieniu i zdał sobie sprawę, że drasnęła je strzała, aż pociekła krew.

Rana była niewielka, lecz piekła.

Reece obrócił się i spojrział przez ramię, i ujrzał, że tuziny ludzi Tirusa mierzą w nich i wypuszczają strzały, które nadlatywały teraz ze świstem ze wszystkich stron.

Reece wiedział, że nie mają czasu do stracenia. Spojrział na boki i ujrzał Starę po jednej stronie, a Matusa i Sroga po drugiej. Stali z szeroko rozwartymi ze strachu oczyma, wpatrując się w znajdujący się pod nimi spadek. Reece chwycił dłoń Stary, wiedząc, iż zeskoczą teraz albo nigdy.

Bez słowa, wiedząc, co trzeba zrobić, zeskoczyli. Spadali z krzykiem w chłoszczącym deszczu i wietrze, młócąc w powietrzu rękoma. Reece nie potrafił powstrzymać się przed myślą, czy unikając jednej pewnej śmierci, nie skoczył prosto w drugą.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Godfrey uniósł łuk drżącymi rękoma, wychylił się za balustradę i namierzył.

Zamierzał obrać cel i od razu wypuścić strzałę – lecz gdy spojrział w dół, przyklęknął, zastygł w szoku. W dole szarzę przypuszczały tysiące żołnierzy McClouda. Dobrze wyszkolona armia załała ziemię, zacierając prosto ku bramom Królewskiego Dworu.

Tuziny żołnierzy biegły naprzód z żelaznym taranem i raz po raz waliły nim w żelazną bronę, aż trzęsły się mury i kamienie pod stopami Godfrey'a.

Godfrey stracił równowagę i wystrzelił, a strzała poszybowała w powietrzu, nie czyniąc nikomu krzywdy. Wyciągnął kolejną i nałożył na cięciwę łuku, a serce tłukło mu się mocno, gdyż miał całkowitą pewność, że zginie tutaj, dzisiaj. Wychylił się za krawędź, lecz nim zdołał wypuścić strzałę, wymierzony z dołu kamień z procy uderzył w jego żelazny hełm.

Rozległ się głośny brzęk i Godfrey upadł w tył, wypuszczając strzałę prosto w górę.

Gwałtownym ruchem ściągnął hełm i potarł obolałą głowę. Nie wiedział, że uderzenie kamieniem może tak bardzo boleć; zdawało mu się, że dźwięk uderzanego żelaza rozchodzi mu się echem aż w czaszce.

Godfrey zastanawiał się, w co też się wpakował. W rzeczy samej, postąpił bohatersko, pomógł, powiadamiając całe miasto o najeździe McCloudów, dzięki czemu zyskali odrobinę cennego czasu. Być może ocalił nawet komuś życie. Z pewnością ocalił swą siostrę.

Lecz oto był tu teraz, ledwie z kilkoma tuzinami żołnierzy – spośród których ani jeden nie był Gwardzistą, nie był rycerzem – i bronił opuszczonego miasta przed całą armią McCloudów. Te żołnierskie sprawy nie były dla niego.

Rozległ się głośny trzask i Godfrey znów zachwiał się, gdy brona ustąpiła.

Przez otwarte bramy miasta do środka z krzykiem wsypały się tysiące mężczyzn spragnionych rozlewu krwi. Przysiadając na balustradzie, Godfrey wiedział, że to tylko kwestia czasu, nim dotrą tu, na górę, nim poniesie śmierć w boju. Czy taki właśnie był los żołnierza? Czy taki właśnie był los dzielnych i nieustraszonych? Zginąć, by inni mogli żyć? Teraz, gdy spoglądał śmierci w twarz, nie był wcale przekonany, czy to taki dobry pomysł. Wspaniale było być żołnierzem, być bohaterem; lecz pozostanie przy życiu było lepsze.

Gdy Godfrey rozmyślał nad tym, by się wycofać, by uciec i gdzieś się skryć, nagle kilku McCloudów wdarło się na górę, biegnąc jeden za drugim. Godfrey ujrzał, jak jednego z jego kompanów zostaje dźgnięty i z jękiem osuwa się na kolana.

I wtedy po raz kolejny zdarzyło się to samo. Choć do bycia żołnierzem podchodził racjonalnie, w Godfreyu obudziło się coś, nad czym nie potrafił zapanować. Coś nie pozwalało mu przyglądać się bezczynnie cierpieniu innych. Gdyby chodziło jedynie o niego samego, nie zebrałby się na odwagę; lecz gdy widział swych kompanów w opałach, coś przejmowało nad nim kontrolę – pewna brawura. Można by ją nawet nazwać męstwem.

Godfrey zareagował bez zastanowienia. Chwycił długą pikę i ruszył na rząd McCloudów, którzy pędzili po schodach, jeden po drugim wzdłuż balustrad. Wyrzucił z siebie głośny krzyk i trzymając mocno pikę, natarł na pierwszego mężczyznę. Sporych rozmiarów metalowe ostrze przeszło przez jego pierś, a Godfrey biegł dalej, używając ciężaru swego ciała, nawet swego pokaźnego brzucha, by odepchnąć ich wszystkich.

Ku jego własnemu zdumieniu, Godfreyowi powiodło się. Zepchnął rząd mężczyzn w dół spiralnych kamiennych schodów, z dala od balustrad, w pojedynek odpierając przypuszczających szarżę McCloudów.

Skończywszy, Godfrey upuścił pikę, zadziwiony swym zachowaniem. Sam nie wiedział, co go naszło. Jego kompani także wyglądali na zdumionych, jak gdyby nie

spodziewali się, że potrafi zdobyć się na taki czyn.

Gdy Godfrey zastanawiał się, jak teraz postąpić, decyzję podjęto za niego. Kątem oka spostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się i ujrzał kolejny tuzin McCloudów nacierających na nich z boku, wbiegających po drugiej stronie.

Nim Godfrey zdołał bronić się, dopadł go pierwszy żołnierz, dzierżący w dłoni ogromny bojowy młot, którym zamachnął się na jego głowę. Godfrey wiedział, że cios roztrzaskałby mu czaszkę.

Uchylił się więc – tę umiejętność jako jedną z nielicznych opanował – i młot przeleciał nad jego głową. Wtedy Godfrey natarł ramieniem na żołnierza i odepchnął go w tył.

Godfrey odpychał go coraz dalej i dalej, aż poczęli mocować się przy krawędzi balustrady, walcząc wręcz, próbując udusić jeden drugiego. Mężczyzna był silny, lecz Godfreyowi także nie brak było siły. Był to jeden z darów, których los mu nie poskąpił.

Mocowali się, spychając jeden drugiego to w jedną, to w drugą stronę, aż nagle obaj przetoczyli się przez krawędź.

Lecieli w powietrzu, trzymając się jeden drugiego, dobre piętnaście stóp w dół.

Godfrey obracał się w powietrzu, żywiąc nadzieję, że zdoła wylądować na żołnierzu, a nie on na nim. Wiedział, że ciężar tego mężczyzny i jego zbroi zmiażdżyłby go.

Godfrey odwrócił się w ostatniej chwili i wylądował na mężczyźnie. Żołnierz jęknął, gdy Godfrey upadł na niego, pozbawiając przytomności.

Godfrey także nie wyszedł z tego bez szwanku – upadek pozbawił go tchu. Uderzył się w głowę i stoczył z mężczyzny. Bolała go każda jedna kość. Leżał tak przez sekundę, nim świat wokół zawirował i Godfrey stracił przytomność, leżąc obok swego wroga.

Ostatnim widokiem, jaki ujrzał, była armia McCloudów wpadająca do Królewskiego Dworu, jak gdyby należał do nich.

\*

Elden stał na polach ćwiczebnych Legionu z rękoma wspartymi na biodrach. U jego boku stali Conven i O'Connor i we trzech czuwali nad szkoleniem rekrutów, z którymi pozostawił ich Thorgrin. Elden przypatrywał się wprawnym okiem galopującym w tę i z powrotem po polu chłopców, próbujących przeskoczyć rowy i przesyć włóczniami wiszące cele. Niektórym chłopcom się nie udawało i wpadali razem ze swymi

wierzchowcami do rowów; innym się powodziło, lecz chybiali celu.

Elden pokręcił głową, usiłując przypomnieć sobie, jak on radził sobie, gdy rozpoczął szkolenie w Legionie. Próbował czerpać otuchę z faktu, że w ciągu ostatnich kilku dni ci chłopcy poprawili się już. Wciąż wiele brakowało im jednak do zahartowanych wojowników, którymi musieli się stać, nim mógłby przyjąć ich jako rekrutów. Ustawił poprzeczkę bardzo wysoko, wiedząc, że spoczywa na nim ogromna odpowiedzialność, by przynieść Thorgrinowi i pozostałym chlubę; także Conven i O'Connor nie przystaliby na niższy poziom.

- Panie, przynoszę wieści.

Elden odwrócił się i ujrzał jednego z rekrutów, Mereka, dawnego złodziejzaka, zbliżającego się ku niemu biegiem z szeroko otwartymi oczyma. Elden, wyrwany z zamyślenia, rozgniewał się.

- Chłopcze, mówiłem ci, byś nigdy nie przeszkadzał...

- Ale panie, nie rozumiecie! Musicie...

- Nie, to TY nie rozumiesz – odparł Elden. – Gdy rekruci ćwiczą się, nie możesz...

- Spójrzcie! – wrzasnął Mererek, chwytając go i wskazując palcem.

Elden, rozwścieczony, już miał złapać Mereka i odepchnąć go, lecz spojrzał w stronę widnokręgu i zamarł. Nie rozumiał, co się dzieje. Tam, na horyzoncie, unosiły się ogromne kłęby czarnego dymu. Wzbijały się ponad Królewskim Dworem.

Elden zamrugał, nie pojmując. Czyżby Królewski Dwór płonął? Jakim sposobem?

W oddali rozległy się głośnie wiwaty, wiwaty armii – oraz dźwięk ustępującej brony.

Eldenowi serce zamarło; przypuszczano szturm na bramy Królewskiego Dworu.

Wiedział, że może to oznaczać tylko jedno – atak zawodowej armii. Właśnie dziś, spośród wszystkich dni, w Dzień Pielgrzymki, najeżdżano Królewski Dwór.

Conven i O'Connor rzucili się do działania. Zakrzyknęli do rekrutów, by przerwali to, czym byli zajęci, i zwołali ich wszystkich.

Rekruci pospieszyli ku nim, a Elden dał krok naprzód i stanął obok Convena i O'Connora. Chłopcy ucichli i stojąc na baczność, czekali na rozkazy.

- Posłuchajcie – zagrział Elden. – Królewski Dwór został zaatakowany!

Wśród chłopców przeszedł szmer zdziwienia i wzburzenia.

- Nie jesteście jeszcze legionistami, a już z pewnością nie jesteście Gwardzistami ani zahartowanymi w boju wojownikami, od których oczekuje się, by stanęli naprzeciw zawodowej armii. Mężczyźni, którzy nas najeżdżają, pragną naszej śmierci i jeśli staniecie z nimi do walki, możecie stracić życie. Convenowi, O'Connorowi i mnie obowiązek nakazuje bronić naszego miasta i ruszymy teraz do boju. Nie spodziewam się, że którykolwiek z was do nas dołączy; tak naprawdę odradzałbym wam to. Jeśli jednak któryś z was pragnie do nas dołączyć, niech wystąpi naprzód teraz, wiedząc, że dziś na polu bitewnym może stracić życie.

Nastała chwilowa cisza, po czym nagle każdy jeden ze stojących przed nimi chłopców wystąpił naprzód odważnie, szlachetnie. Na ten widok serce Eldena wezbrało dumą.

- Dziś wszyscy staliście się mężczyznami.

Elden dosiadł swego konia i pozostali ruszyli za nim. Wypuścili z siebie głośny okrzyk i ruszyli naprzód jak jeden mąż, jak mężczyźni, by dla swych ludzi postawić na szali swe życie.

\*

Elden, Conven i O'Connor przewodzili, a za nimi z wyciągniętą bronią galopowało stu rekrutów, pędząc co koń wyskoczy w kierunku Królewskiego Dworu. Zbliżywszy się, Elden ze zdumieniem dojrzał kilka tysięcy żołnierzy McCloudów szturmujących bramę, dobrze zorganizowaną armię wyraźnie wykorzystującą Dzień Pielgrzymki, by podstępem zdobyć Królewski Dwór. Przeciwnika było dziesięciokrotnie więcej.

Jadący na przedzie Conven uśmiechnął się.

- Właśnie takie szanse lubię! – wrzasnął, puszczając się do przodu z głośnym okrzykiem, wyprzedzając pozostałych, chcąc uderzyć jako pierwszy. Conven uniósł wysoko swój topór bojowy, a Elden patrzył z podziwem i troską, jak Conven z brawurą w pojedynkę przypuszcza atak na tyły armii McClouda.

McCloudowie nie zdążyli zareagować, a Conven już zamachiwał się toporem jak szaleniec i uśmiercał po dwóch naraz. Wpadłszy w gęstwę żołnierzy, rzucił się ze swego konia i powalił trzech wojowników, strącając ich z koni na ziemię.

Elden i pozostali gnali tuż za nim. Uderzyli w resztę McCloudów, którzy reagowali

zbyt wolno, nie spodziewając się ataku na tyłach. Elden siekł mieczem z gniewem i zręcznością, dając legionistom przykład tego, jak powinno się walczyć, używając swej ogromnej siły, by kłaść trupem jednego po drugim.

Bitwa stała się zacięta, walczyli teraz wręcz. Ich niewielka siła zbrojna zmusiła McCloudów, by zwrócili się w przeciwnym kierunku i bronili się. Wszyscy legioniści włączyli się do bitwy, bez cienia strachu wpadając w jej środek i uderzając na McCloudów. Kątem oka Elden spostrzegł walczących chłopców i z dumą zauważył, że żaden z nich się nie zawahał. Wszyscy walczyli jak prawdziwi mężczyźni, choć przeciwnika było setki więcej. Żaden z nich nie zważał na to. McCloudowie padali na lewo i prawo, zaskoczeni.

Wkrótce szala zwycięstwa poczęła jednak przechylać się na drugą stronę, gdy trzon armii McCloudów przyszedł w sukurs oddziałom na tyłach i Legion zetknął się z zawodowymi żołnierzami. Niektórzy legioniści poczęli padać. Merek i Ario przyjęli ciosy mieczem, lecz utrzymali się na koniach, parując i strącając swych przeciwników. Wtem jednak dwóch żołnierzy zamachnęło się na nich kiścieniami i chłopcy spadli ze swych wierzchowców. Jadący u boku Mereka O'Connor wypuścił kilka strzał, kładąc żołnierzy dokoła nich, nim zdzielono go tarczą w bok i strącono z konia. Elden, otoczony ze wszystkich stron, nie mógł polegać już na elemencie zaskoczenia. Przyjął potężny cios młotem w żebra i cięcie mieczem w przedramię. Odwrócił się i zrzucił mężczyzn z koni – lecz wtem pojawiło się czterech kolejnych. Conven walczył desperacko na nogach, zamachując się toporem na prawo i lewo na konie i mężczyzn, którzy nacierali obok niego – aż w końcu przyjął cios młotem od tyłu i padł twarzą w błoto.

Zjawiły się kolejne dziesiątki żołnierzy McCloudów, którzy pozostawili bramę, by stawić im czoła. Elden widział coraz mniej swych ludzi i wiedział, że wkrótce wszystkich ich rozgromią. Lecz nie zważał na to. Królewski Dwór był atakowany i oddałby życie, by go bronić, by bronić tych mających zaciągnąć się do Legionu chłopców, u boku których walczył z tak wielką dumą. To czy byli chłopcami, czy mężczyznami, nie miało już znaczenia – przelewali krew wraz z nim i tego dnia, przeżyją czy nie, wszyscy byli braćmi.

\*

Kendrick galopował w dół zbocza Góry Pielgrzymów, a za nim podążały tysiące Gwardzistów. Żaden z nich nie gnał nigdy szybciej. Pędzili co koń wyskoczy ku czarnemu dymowi widocznemu na widnokręgu. Kendrick ganił się w myślach, jadąc.

Wyrzucał sobie, że nie obsadził bramy większą liczbą żołnierzy. Nie spodziewał się

takiego ataku w dniu takim jak ten, a nade wszystko nie ze strony McCloudów, którzy – jak sądził – uspokoili się pod rządami Gwen. Wszyscy oni zapłacą za przypuszczenie szturm na jego miasto, za to, że wykorzystali ten święty dzień.

Wokoło niego jego bracia w sile tysiąca, prowadzeni gniewem Gwardziści, gnali co tchu. Zrezygnowali ze swej świętej pielgrzymki, zdecydowani pokazać McCloudom, na co stać Srebrną Gwardię, i sprawić, by McCloudowie zapłacili raz na zawsze. Kendrick poprzysiął, że gdy skończy, ani jeden z McCloudów nie pozostanie przy życiu. Ich strona Pogórza nigdy już nie powstanie.

Zbliżywszy się, Kendrick spojrział przed siebie i spostrzegł, iż rekruci z Legionu walczą mężnie, dojrzał pośród nich Eldena, O’Connora i Convena. Wróg miał nad nimi znaczną przewagę liczebną, lecz żaden z nich nie cofnął się przed McCloudami. Jego serce wezbrało dumą. Widział jednak, że lada moment wszystkich ich rozgromią.

Kendrick krzyknął i jeszcze mocniej spiął konia, prowadząc swych ludzi.

Przyspieszyli, raz jeszcze rzucając się do przodu. Kendrick wybrał długą włócznię i gdy znalazł się wystarczająco blisko, cisnął nią; jeden z generałów McCloudów odwrócił się w sam czas, by ujrzeć szybującą w powietrzu i przesywającą jego pierś broń. Cios był wystarczająco silny, by przebić zbroję.

Z gardeł tysięcy rycerzy za Kendrickiem dobył się głośny krzyk: zjawiła się Srebrna Gwardia.

McCloudowie odwrócili się. Ujrzeni ich i w ich oczach po raz pierwszy odmalował się prawdziwy strach. Tysiąc rycerzy Srebrnej Gwardii w lśniących zbrojach jechało jak jeden, niby staczająca się z góry nawałnica, z dobytymi mieczami. Każdy z nich był wprawnym zabójcą, a w ich oczach nie kryła się ani krztyna wahania. McCloudowie zwrócili się w ich stronę, lecz z trwogą.

Gwardziści spadli na nich, na swe miasto rodzinne. Kendrick, który przewodził szarzy, dobył swego topora i władał nim zręcznie, zadając ciosy i strącając kilku jeźdźców z ich koni; drugą ręką dobył miecza i wpadając w gęstwą żołnierzy dźgnął kilku przeciwników we wszystkie odsłonięte miejsca w ich zbroi.

Gwardziści przedzierali się przez żołnierzy niby fala zniszczenia, i czynili to z wielką wprawą. Żaden z nich nie poczuł się swobodnie, póki nie został całkowicie otoczony w wirze bitwy. W takim miejscu Gwardzista czuł się jak w domu. Cięli i dźgali wszystkich McCloudów wokoło, którzy w porównaniu z nimi zdawali się być nowicjuszami. Krzyki rozlegały się coraz głośniejsze, gdy kładli McCloudów na wszystkie strony.

Żaden z nich nie był w stanie powstrzymać Gwardzistów, którzy byli zbyt szybcy, przebiegli, silni i zręczni i walczyli jak jeden, jak szkolono ich od dnia, w którym nauczyli się chodzić. Ich prędkość i umiejętności przerażały McCloudów, którzy przy tych wspaniale wyćwiczonych rycerzach zdawali się być zwykłymi żołnierzami. Elden, Conven, O'Connor i pozostali legioniści, ocaleni przez zbliżające się posiłki, podnieśli się i, choć ranieni, włączyli się do walki, wzmagając jeszcze rozpęd Gwardzistów.

Po kilku chwilach setki McCloudów leżały martwe, a tych, którzy pozostali przy życiu, ogarnęła wielka panika. Jeden po drugim zwracali się w przeciwnym kierunku i uciekali. McCloudowie wylewali się z bram miasta, usiłując uciec z Królewskiego Dworu.

Kendrick był zdeterminowany nie pozwolić im na to. Ruszył ku bramom miasta, a jego ludzie za nim, i zagroził drogę chcącym uciec. Utworzyło się coś na kształt leja i dopadali McCloudów, gdy docierali do przewężenia w bramie miasta – tej samej, na którą przypuścili szturm zaledwie kilka godzin wcześniej.

Kendrick siekł dwoma mieczami, zabijając ludzi na prawo i lewo i wiedział, że niebawem każdy McCloud będzie martwy, a Królewski Dwór znajdzie się na powrót w ich rękach. Rzykując życie dla swej ziemi, czuł, że żyje.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Luandzie drżały dłonie, gdy szła, stawiając krok za krokiem, długim przejściem nad Kanionem. Z każdym krokiem czuła, że jej życie zbliża się ku końcowi, czuła, że opuszcza jeden świat i wkracza w inny. Na ledwie kilka kroków przed przejściem na drugą stronę czuła, jak gdyby miały to być jej ostatnie kroki na ziemi.

Zaledwie kilka kroków od niej stał Romulus, a za nim milion jego imperialnych żołnierzy. Wysoko nad jej głową, rycząc przeraźliwie, latały tuziny smoków, najstraszniejszych stworów, na jakich kiedykolwiek spoczęły oczy Luandy. Uderzały skrzydłami o niewidzialną ścianę, o Tarczę. Luanda wiedziała, że gdy postawi kolejnych kilka kroków, gdy opuści Krąg, Tarcza opadnie na dobre.

Spojrzała przed siebie, na los, który ją czekał, pewną śmierć, którą poniesie z rąk Romulusa i jego brutalnych ludzi. Tym razem było jej już jednak wszystko jedno.



Wszystko, co kochała, zostało jej odebrane. Jej mąż, Bronson, mężczyzna, którego kochała nade wszystko na świecie, został zabity – i to wszystko z winy Gwendolyn.

Gwendolyn była winna wszystkiemu. Teraz nadszedł wreszcie czas zemsty.

Luanda zatrzymała się stopę od Romulusa. Utkwili w sobie wzajemnie spojrzenia, wpatrując się jedno w drugie przez niewidoczną granicę. Romulus był groteskowym człowiekiem, muskularnym, dwukrotnie szerszym niż jakikolwiek mężczyzna. Jego barki były tak umięśnione, że kark ginął pośród nich. Miał potężną szczękę, ogromne, rozbiegane czarne oczy, niby dwa kawałki marmuru, a jego głowa była zbyt duża w stosunku do reszty ciała. Wpatrywał się w nią jak smok przypatrujący się swej zdobyczy i Luanda nie miała wątpliwości, że rozniesie ją na strzępy.

Wpatrywali się w siebie w pełnej napięcia ciszy, a na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie i wykwitł okrutny uśmiech.

- Nie sądziłem, że jeszcze cię ujrzę – rzekł. Głos jego był głęboki, gardłowy, i poniósł się echem przez to okropne miejsce.

Luanda zamknęła oczy i usiłowała sprawić, by Romulus zniknął. By całe jej życie zniknęło.

Jednak gdy otworzyła oczy, on nadal tam stał.

- Moja siostra mnie zdradziła - odparła cicho. – A teraz nastał czas, bym to ja zdradziła ją.

Luanda zamknęła oczy i dała ostatni krok, schodząc z mostu na drugą stronę Kanionu.

Wtem za nią rozległ się świst, kłębiąca się mgła wystrzeliły w górę z dna Kanionu, unosząc się wielką falą, i równie gwałtownie opadła. Rozległ się dźwięk, jak gdyby pękającej ziemi, i Luanda miała pewność, że Tarcza opadła. Że teraz nic już nie stało pomiędzy armią Romulusa a Kręgiem. Że Tarcza została zniszczona na zawsze.

Romulus spojrział na nią. Luanda stała dzielnie stopę dalej zwrócona ku niemu, nie drgnąwszy nawet, wpatrując się w niego wyzywająco. Odczuwała trwogę, lecz nie dała tego po sobie poznać. Nie chciała pozwolić, by czerpał z tej chwili satysfakcję. Chciała, by zabił ją, gdy patrzyła mu prosto w twarz. Przyniosłoby jej to jakąś pociechę. Pragnęła jedynie, by już to zrobił.

Miast tego Romulus uśmiechnął się tylko szerzej i wpatrywał wciąż w nią, a nie – jak się spodziewała – w most.

- Masz to, czego pragnąłeś – rzekła, zbita z pantałyku. – Tarcza opadła. Krąg jest twój. Nie zamierzasz mnie zabić?

Potrząsnął głową.

- Nie jesteś taka, jak sądziłem – rzekł w końcu, oceniając ją. – Być może pozwolę ci żyć. Może nawet pojmem cię za żonę.

Luandzie zrobiło się niedobrze na tę myśl; nie takiej reakcji pragnęła.

Odchyliła się i splunęła mu w twarz z nadzieją, że to skłoni go, by ją zabić.

Romulus uniósł rękę i otarł twarz wierzchnią stroną dłoni, a Luanda skuliła się przed mającym nadejść uderzeniem, spodziewając się, że zdzieli ją jak wcześniej, roztrzaska jej szczękę – że zrobi cokolwiek, lecz nie będzie to przyjemne. Miast tego dał krok naprzód, schwycił ją za włosy z tyłu głowy, przyciągnął do siebie i pocałował mocno.

Poczuła jego wargi, groteskowe, spękane, umięśnione, przypominające węża, gdy przyciskał ją do siebie, coraz mocniej i mocniej, tak mocno, że ledwie była w stanie oddychać.

Wreszcie odsunął się – i zdzielił ją wierzchnią stroną dłoni, uderzając tak mocno, że aż zapiekła ją skóra.

- Skujcie ją łańcuchem i trzymajcie blisko mnie – rozkazał.

Ledwie skończył wypowiadać te słowa, a jego ludzie już podeszli i unieruchamiali jej ręce za plecami.

Romulus otworzył oczy z rozkoszą, gdy wyszedł przed swych ludzi i, przygotowując się, postawił pierwszy krok na moście.

Nie zatrzymała go Tarcza. Stanął bezpiecznie na moście.

Na twarzy Romulusa wykwitł szeroki uśmiech, po czym mężczyzna ryknął śmiechem, rozkładając szeroko ramiona i odrzucając głowę w tył. Zaniósł się triumfalnym śmiechem, który poniósł się przez Kanion.

- To moje – zagrzmiał. – To wszystko moje!

Jego głos poniósł się echem, raz za razem.

- Mężowie! – dodał. – Do ataku!

Jego oddziały przemknęły galopem obok niego, wyrzucając z siebie głośny krzyk, któremu wysoko w górze zawtórowały dziesiątki smoków. Uderzały skrzydłami i leciały, szybując ponad Kanionem. Wdarły się w kłęby mgły, a ich ryki poniosły się aż po nieboskłon i obwieściły światu, że Krąg nigdy już nie będzie taki jak niegdyś.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Alistair leżała w ramionach Ereca na dziobie ogromnego okrętu, który kołysał się w górę i w dół. Obok niego przetaczały się ogromne fale oceaniczne. Alistair podniosła wzrok, oczarowana milionami czerwonych gwiazd zaścielających nocne niebo, błyszczących w oddali; ciepła bryza wpadała na statek, muskając ją i kołysząc do snu.

Alistair była zadowolona. Gdy była z Erekiem czuła, że wszystko jest tak, jak być powinno; tutaj, w tej części świata, na rozległym oceanie zdawało jej się, że wszystkie troski świata zniknęły. Przeszkody bez końca stawały im na drodze, lecz teraz jej sny wreszcie się urzeczywistniały. Byli razem i nikt ani nic nie stało pomiędzy nimi.

Wyruszyli już ku jego wyspie, jego ziemiom ojczystym, a gdy tam dotrą, poślubi go.

Niczego na świecie nie pragnęła bardziej.

Erec przygarnął ją mocno do siebie, a ona przysunęła się i leżeli, wpatrując się we wszechświat, spowici delikatną oceaniczną mgiełką. Powieki poczęły jej ciążyć w tej cichej nocy pośrodku oceanu.

Wpatrując się w przestwór nieba, myślała o tym, jak wielki jest świat; myślała o swym bracie Thorgrinie, który wybrał się na wyprawę i zastanawiała się, gdzie dokładnie się teraz znajduje. Wiedziała, że wyruszył, by zobaczyć się z ich matką. Czy odnajdzie ją? Jaka ona jest? Czy rzeczywiście istnieje?

Po części Alistair pragnęła przyłączyć się do niego, także poznać ich matkę; po części tęskniła także za Kręgiem i pragnęła znaleźć się na powrót na znanej sobie ziemi.

Górze w niej brało jednak podekscytowanie; była podekscytowana, że zacznie nowe życie z Erekiem w nowym miejscu, w nowym zakątku świata. Była podekscytowana, że pozna jego ludzi, przekona się, jak wygląda jego ojczyzna. Któż zamieszkuje Wyspy

Południowe? zastanawiała się. Jacy są jego ludzie? Czy jego rodzina ją przyjmie? Czy ucieszy ich jej towarzystwo, czy poczują się przez nią zagrożeni? Czy z radością przyjmą wieść o ich zaślubinach? Czy też widzą na jej miejscu kogoś innego, kogoś spośród swoich?

Najbardziej jednak dręczyła ją myśl o tym, co o niej pomyślą, gdy dowiedzą się o jej mocach? Gdy dowiedzą się, że jest druidem? Czy uznają ją za dziwadło, za obcą, jak wszyscy inni?

- Opowiedz mi jeszcze o twych ziomkach – rzekła Alistair do Ereca.

Spojrzał na nią, po czym zwrócił wzrok na powrót ku niebu.

- A cóż chciałabyś wiedzieć?

- Opowiedz mi o swej rodzinie – powiedziała.

Erec zamyślił się na długą chwilę. Wreszcie odezwał się:

- Ojciec mój jest wspaniałym człowiekiem. Jest królem naszego ludu odkąd był w moim wieku. Jego zbliżająca się śmierć odmieni naszą wyspę na zawsze.

- A reszta twej rodziny?

Erec wahał się przez długą chwilę. W końcu skinął głową.

- Mam siostrę... i brata – zawahał się. – Siostra moja i ja byliśmy sobie bardzo bliscy, gdyśmy dorastali. Lecz muszę cię przestrzec, iż łatwo można wzbudzić jej zazdrość.

Nieufnie podchodzi do obcych i niechętnie wita nowe osoby w rodzie. A brat mój... – Erec zamilkł.

Alistair trąciła go delikatnie.

- O co chodzi?

- Nie spotkasz nigdy świetniejszego wojownika. Lecz jest moim młodszym bratem i zawsze rywalizował ze mną. Ja zawsze widziałem w nim brata, a on we mnie rywala, kogoś, kto jest mu przeszkodą. Nie wiem dlaczego, lecz tak po prostu jest. Żałuję, że nie jesteśmy sobie bliźsi.

Alistair spojrzała na niego zaskoczona. Nie pojmowała, jak ktokolwiek mógł nie

spoglądać na Ereca z miłością.

- Czy teraz nadal tak jest? – spytała.

Erec wzruszył ramionami.

- Nie widziałem ich odkąd byłem dzieckiem. Po raz pierwszy powracam do ojczyzny; przeszło niemal trzydzieści cykli słonecznych. Nie wiem, czego się spodziewać. Jestem teraz bardziej człowiekiem z Kręgu. A jednak jeśli mój ojciec umrze... Jestem najstarszy. Lud będzie oczekiwał, że obejmę tron.

Alistair milczała, rozmyślając, nie chcąc go ponaglać.

- Czy tak właśnie zamierzasz postąpić?

Erec wzruszył ramionami.

- Nie pragnę tego. Lecz jeśli taka jest wola mego ojca... Nie będę mógł odmówić.

Alistair przyjrzała się mu uważnie.

- Darzysz go wielkim uczuciem.

Erec skinął głową. Alistair widziała, jak jego oczy błyszczą w świetle gwiazd.

- Modłę się jedynie, by nasz okręt przybił do brzegu, nim umrze.

Alistair zamyśliła się nad jego słowami.

- A twa matka? – zapytała. – Czy zapala do mnie sympatią?

Erec uśmiechnął się szeroko.

- Jak do własnej córki – powiedział. – Gdyż ujrzy, jak bardzo cię kocham.

Pocałowali się i Alistair oparła się na jego piersi. Spojrzała w niebo, wyciągnęła dłoń i ujęła rękę Ereca.

- Pamiętaj o jednym, moja pani. Kocham cię. Ciebie nade wszystkich. Jedynie to ma znaczenie. Moi ludzie wyprawią nam najwspanialsze zaślubiny, jakie widziały Wyspy Południowe; urządzą wszelakie zabawy. Wszyscy ukochają cię i przyjmą.

Alistair utkwiała wzrok w gwiazdach, ściskając mocno rękę Ereca, i popadła w zadumę.

Nie wątpiła w uczucie, którym ją darzył, lecz zamyśliła się nad jego ludem, ludem, który on sam ledwie znał. Czy przyjmą ją tak, jak się tego spodziewał? Nie była tego wcale pewna.

Nagle Alistair usłyszała odgłos ciężkich kroków. Obejrzała się i spostrzegła, jak jeden z członków załogi podchodzi do relingu, unosi ponad głową sporą martwą rybę i wyrzuca ją za burtę. W dole rozległ się delikatny plusk, a wkrótce większy, gdy inna ryba wyskoczyła ponad powierzchnię i pożarła pierwszą.

Wtem pod wodą rozległ się przeraźliwy dźwięk, niby jęki lub płacz, któremu towarzyszył kolejny dźwięk rozbryzgiwanej wody.

Alistair przeniosła wzrok na marynarza, nieprzyjemnego mężczyznę, nieogolonego, w łachmanach, który wychylał się za krawędź, szczerząc się jak prostak. Brakowało mu kilku zębów. Obrócił się i spojrzał wprost na nią, a twarz jego była okrutna, groteskowa w świetle gwiazd. Gdy patrzyła na niego, Alistair ogarnęło złe przeczucie.

- Co wyrzuciłeś za burtę? – spytał Erec.

- Flaki ryby simki – odparł.

- Ale czemu?

- To trucizna – odrzekł, szczerząc się. – Która ryba to zje, zdycha od razu.

Alistair spojrzała na niego przerażona.

- Ale dlaczego chcesz zabić ryby?

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

- Lubię patrzeć, jak umierają. Lubię słuchać, jak piszczą i jak unoszą się na powierzchni brzuchami do góry. Raduje mnie to.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył powoli z powrotem w kierunku załogi, a Alistair spoglądała za nim. Aż ciarki przeszły jej po plecach.

- Co się stało? – spytał ją Erec.

Alistair odwróciła wzrok i potrząsnęła głową, próbując odegnąć to uczucie. Ono jednak nie chciało zniknąć; było to okropne przeczucie, nie była pewna skąd się brało.

- Nic, panie – powiedziała.

Ułożyła się znów w jego ramionach, próbując wmówić sobie, że wszystko jest w porządku. W głębi serca wiedziała jednak, że wcale tak nie było.

\*

Erec przebudził się w nocy, czując jak statek kołysze się powoli w górę i w dół, i poznał natychmiast, że coś jest nie tak. Podpowiadał mu to wojownik wewnątrz niego, częśćka niego, która zawsze ostrzegała go na chwilę przed tym, nim stało się coś złego.

Zawsze miał ten zmysł, odkąd był chłopcem.

Podniósł się raptownie, czujny, i rozejrzał wokoło. Odwrócił się i ujrzał, iż Alistair śpi spokojnie obok niego. Było wciąż ciemno, statek kołysał się na falach, lecz coś było nie tak. Rozejrzał się dokładnie dokoła, lecz nie spostrzegł nic, co mogłoby go zaniepokoić.

Zastanawiał się, jakie niebezpieczeństwo może czaić się tutaj, na tym odludziu? Czy był to tylko sen?

Zawierzając swemu instynktowi, Erec sięgnął w dół po miecz. Lecz nim zdążył chwycić za rękojeść, poczuł nagle, jak ciężka sieć oplata jego ciało, przykrywa go.

Spleciona była z najcięższego sznura, z jakim kiedykolwiek się zetknął, niemal tak ciężkiego, że zdołałby zmiażdżyć człowieka. Opadła na niego cała, oplatając ciasno.

Nim zdołał zareagować, poczuł, jak unosi się do góry, pochwycony jak zwierz w sieć, która zacisnęła się wokół niego tak ciasno, że nie mógł się nawet poruszyć.

Ramiona, ręce, nadgarstki i stopy miał ściśnięte, przyciągnięte razem. Unosił się coraz wyżej i wyżej, aż znalazł się dobre dwadzieścia stóp nad pokładem, wisząc jak zwierz schwytany w pułapkę.

Erecowi serce tłukło się w piersi, gdy próbował pojąć, co się dzieje. Spojrzał w dół i ujrzał, że Alistair budzi się.

- Alistair! – krzyknął Erec.

W dole Alistair rozglądała się, szukając go wszędzie, a gdy w końcu podniosła wzrok i ujrzała go, serce jej zamarło.

- Erecu! – krzyknęła zdezorientowana.

Erec ujrzał, jak kilka tuzinów członków załogi z pochodniami zbliża się do niej. Na ich twarzach malowały się groteskowe uśmiechy, a w oczach czaiło się zło. Podchodzili coraz bliżej niej.

- Najwyższy czas, by się nią podzielił – odezwał się jeden z nich.

- Pokażę królownie, jak wygląda życie z marynarzem! – rzekł inny.

Ryknęli śmiechem.

- Wpierw ja – powiedział jeszcze inny.

- Dopiero po mnie – rzekł kolejny.

Erec szarpał się z całych sił, próbując się uwolnić, a marynarze zbliżali się coraz bardziej do Alistair. Lecz na nic się to nie zdało. Jego ramiona i ręce skrepowane były tak ciasno, że nie mógł nimi choćby poruszyć.

- ALISTAIR! – krzyknął rozpaczliwie.

Nie mógł jednak zrobić nic, tylko patrzeć, zawieszony w górze.

Trzech marynarzy przyskoczyło nagle do Alistair od tyłu; Alistair krzyknęła, gdy postawili ją szarpnięciem na nogi, rozdarli koszulę i unieruchomili ręce za plecami.

Trzymali ją mocno, a kilku kolejnych marynarzy zbliżyło się.

Erec rozejrzał się po statku w poszukiwaniu kapitana; ujrzał go na górnym pokładzie, patrzącego w dół, przyglądającego się temu, co się działo.

- Kapitanie! – wrzasnął Erec. – To twój okręt! Zaradz temu!

Kapitan spojrzał na niego, po czym powoli zwrócił się ku nim plecami, jak gdyby nie chciał na to patrzeć.

Erec patrzył zrozpaczony, jak jeden z marynarzy wyciąga nóż i przykładą go do gardła Alistair. Alistair krzyknęła.

- NIE! – wrzasnął Erec.

Miał wrażenie, że widzi swój koszmar – a co gorsza, nie mógł zrobić nic, by go



przerwać.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Thorgrin stał naprzeciw Andronicusa. Byli sami na polu bitewnym, wokoło nich martwi żołnierze. Thor uniósł miecz wysoko i opuścił, mierząc w pierś Andronicusa; wtem Andronicus rzucił swą broń, uśmiechnął się szeroko i wyciągnął ręce, by go objąć.

*Synu mój.*

Thor próbował zatrzymać swój miecz, lecz było już za późno. Miecz przeciął przez jego ojca i gdy Andronicus został rozcięty na dwoje, Thor pogrzyżył się w rozpacz.

Thor mrugnął i ujrzał, że idzie nieskończenie długą alejką, trzymając Gwen za rękę.

Zdał sobie sprawę, że to ich orszak weselny. Szli w kierunku krwistoczerwonego słońca i gdy Thor rozejrzał się na obydwie boki, ujrzał, że wszystkie siedziska są puste.

Odwrócił się i spojrział na Gwen, a gdy ona zwróciła na niego spojrzenie, Thor przeraził się, gdyż jej skóra poczęła wysychać i Gwen stała się kościotrupem, a następnie rozpadła się w pył w jego dłoni. Osypała się w kupkę popiołu u jego stóp.

Thor stał przed zamkiem swej matki. Jakimś sposobem pokonał most i stał przed ogromnymi dwuskrzydłowymi wrotami, złotymi, błyszczącymi, trzykrotnie wyższymi niż on. Nie było na nich żadnej klamki, Thor uniósł więc ręce i uderzał w nie otwartymi dłońmi, aż poczęły broczyć krwią. Odgłos poniósł się po świecie. Nikt jednak nie otworzył.

Thor odrzucił głowę w tył.

- Matko! – krzyknął.

Thor osunął się na kolana, a wtedy ziemia przemieniła się w błoto i Thor ześlizgnął się z klifu. Spadał i spadał setki stóp, młóćąc rękoma w powietrzu, ku wzburzonemu oceanowi. Wyciągnął ręce ku górze, ku niebu, patrząc, jak zamek matki znika mu z oczu, i wrzasnął.

Thor otworzył oczy, pozbawiony tchu. Wiatr muskał mu twarz. Rozejrzał się dokoła, próbując dojrzeć, gdzie się znajduje. Spojrzał w dół i ujrzał przesuwający się pod nim w zawrotnym tempie ocean. Podniósł wzrok i spostrzegł, że kurczowo zaciska dłonie na czymś szorstkim, a gdy usłyszał głośnie uderzenia skrzydeł, dotarło do niego, że trzymał się łusek Mycoples. Dłonie jego były zimne od nocnego powietrza, a twarz odrętwiała od podmuchów morskiego wiatru. Mycoples leciała szybko, raz po raz uderzała skrzydłami, i gdy Thor spojrział przed siebie, zdał sobie sprawę z tego, że zasnął na jej grzbiecie. Wciąż lecieli, już od wielu dni, mknąc pod nocnym niebem, pod milionem migoczących czerwonych gwiazd.

Thor westchnął i otarł kark, który zroszony był potem. Poprzysiągł pozostać czujnym, lecz minęło już tak wiele dni ich wspólnej wyprawy, lotu, poszukiwań Krainy Druidów. Szczęśliwie Mycoples, znając go tak dobrze, wiedziała, że usnął i leciała równo, tak, by nie spadł. Lecieli razem już tak długo, że stali się jak jedno. Choć tęsknił za Kręgiem, Thor był zachwycony, że może przynajmniej być znów ze swą dawną przyjaciółką i wraz z nią przemierzać świat; widział, że i ona raduje się, iż z nim jest i pomrukuje z zadowolenia. Wiedział, że Mycoples nigdy nie pozwoli, by stało mu się coś złego – i on tak samo myślał o niej.

Thor spojrział w dół i przyjrzał się uważnie spienionym, świetliście zielonym wodom morza; było to dziwne morze, egzotyczne, jakiego nigdy uprzednio nie widział, jedno z wielu, które minęli podczas swych poszukiwań. Lecieli wciąż w tym samym kierunku, coraz bardziej na północ, podążając za strzałką medalionu, który znalazł w swej rodzinnej wsi. Thor czuł, że zbliżają się do jego matki, do jej krainy, do Krainy Druidów. Wyczuwał to.

Thor modlił się, by strzałka dokładnie wskazywała kierunek. W głębi duszy czuł, że tak jest. Każdą cząstką siebie wyczuwał, że prowadzi ich coraz bliżej jego matki, jego przeznaczenia.

Thor przetarł oczy, zdecydowany, by już nie zasnąć. Sądził, że do tej pory odnajdą już Krainę Druidów; miał wrażenie, że przebyli pół świata. Przez chwilę zaniepokoił się: co jeśli wszystko to było urojeniem? Co jeśli jego matka nie istnieje? Co jeśli Kraina Druidów nie istnieje? Co jeśli nie jest mu przeznaczone kiedykolwiek ją odnaleźć?

Próbował odegnać te myśli z głowy. Popędził Mycoples.

*Szybciej, pomyślał Thor.*

Mycoples zamruczała i uderzyła skrzydłami mocniej. Opuściła łeb i zanurkowali w mgłę, zmierzając ku jakiemuś punktowi na widnokręgu, który – o czym Thor wiedział –

mógł nawet wcale nie istnieć.

\*

Dzień wstał, jakiego Thor jeszcze nie widział. Niebo zalane było promieniami nie dwu, a trzech słońc, które wschodziły równocześnie w różnych miejscach na widnokręgu, jedno czerwone, jedno zielone, jedno fioletowe. Lecieli tuż nad chmurami, które rozpościerały się pod nimi, niby kobierzec barw, tak blisko, że Thor mógł ich dotknąć. Thor rozkoszował się najpiękniejszym wschodem słońca, jaki kiedykolwiek widział. Różne barwy słońc przedzierały się przez chmury, a ich promienie przeświecały to pod nim, to nad nim. Czuł, jak gdyby świat dopiero się rodził.

Thor pokierował Mycoples w dół i wpadłszy w obłok poczuł wilgoć; w jednej chwili wszystko wokoło skąpane było w różnorodnych barwach, a następnie nie widział nic. Gdy wypadli z chmur, Thor spodziewał się ujrzeć kolejny ocean, kolejny bezkresny przestwór nicości.

Jednak tym razem było tam coś innego.

Serce Thora przyspieszyło, gdy spostrzegł pod nimi to, co zawsze pragnął ujrzeć, widok, który pojawiał się w jego snach. Tam, w oddali, jego oczom ukazał się ląd. Była to spowita mgłą wyspa pośrodku niezwykłego oceanu, rozległego i głębokiego. Jego medalion zadrżał i opuściwszy wzrok Thor ujrzał, że strzałka błyska i wskazuje prosto w dół. Lecz teraz nie musiał już nawet na nią patrzeć, by to wiedzieć. Czuł to każdą cząstką siebie. Była tam. Jego matka. Magiczna Kraina Druidów istniała, a on do niej dotarł.

*W dół, przyjaciółko*, pomyślał Thor.

Mycoples obniżyła lot i gdy zbliżyli się, wyspę widać było lepiej. Thor ujrzał niekończące się kwietne pola, zdumiewająco podobne do tych, które widział w Królewskim Dworze. Nie pojmował tego. Wyspa zdała mu się tak znajoma, niemal tak, jak gdyby powrócił do domu. Spodziewał się, że kraina ta będzie bardziej egzotyczna.

Dziwne zdało mu się, jak nieprawdopodobnie znajoma była. Jak to możliwe?

Wyspę otaczała rozległa plaża o połyskującym czerwonym piasku, o którą rozbijały się fale. Gdy się zbliżyli, Thor ujrzał coś, co go zaskoczyło: zdawało się, że w głąb wyspy prowadzi wejście, dwie masywne kolumny wznoszące się ku nieboskłonowi, najwyższe kolumny, jakie kiedykolwiek widział, znikające w chmurach. Mur, wysoki może na dwadzieścia stóp, otaczał całą wyspę i zdawało się, że wejść tam można tylko na nogach.

Siedząc na grzbiecie Mycoples Thor pomyślał, że nie musi przechodzić pomiędzy kolumnami. Zamierzał przelecieć nad ścianą i wylądować na wyspie gdziekolwiek mu się spodoba. Nie przybył wszak pieszo.

Thor pokierował Mycoples, by przeleciała nad murem, lecz gdy smoczyca zbliżyła się do niego, nagle zaskoczyła Thora. Zaskrzeczała i raptownie cofnęła się, unosząc szpony w powietrzu, aż przechyliła się niemal pionowo. Zatrzymała się nagle, jak gdyby uderzyła w niewidoczną tarczę, a Thor trzymał się z całych sił. Poleciał jej, by leciała dalej, lecz ona nie poruszyła się ani trochę.

Wtedy Thor pojął: wyspę otaczała jakiegoś rodzaju energetyczna tarcza, tak potężna, że nawet Mycoples nie mogła się przez nią przedrzeć. Nie można było przelecieć nad murem; trzeba było minąć kolumny pieszo.

Thor pokierował Mycoples i zanurkowali na czerwony brzeg. Wylądowali przed kolumnami i Thor próbował pokierować Mycoples, by przeleciała pomiędzy nimi, przez szeroką bramę, by wkroczyła razem z nim do Krainy Druidów.

Lecz Mycoples znów cofnęła się, unosząc szpony.

*Nie mogę tam wejść.*

Thor poczuł, jak myśli Mycoples przepływają przez niego. Spojrzał na nią, ujrzał jak zamyka swe ogromne, błyszczące ślepia, mrugając, i pojął.

Mówiła mu, że będzie musiał wkroczyć do Krainy Druidów w pojedynkę.

Thor zszedł z jej grzbietu na czerwony piasek i stanął nad kolumnami, przyglądając się im.

- Nie mogę cię tu pozostawić, przyjaciółko – powiedział Thor. – Jest tu zbyt niebezpiecznie. Jeśli muszę iść sam, niech tak będzie. Powróć do domu i skryj się tam bezpiecznie. Zaczekaj tam na mnie.

Mycoples pokręciła łbem i opuściła go na ziemię. Położyła się z rezygnacją.

*Będę czekać na ciebie po kres świata.*

Thor widział, że zdecydowana była pozostać. Wiedział, że jest uparta, że nie odleci.

Thor pochylił się, pogładził łuski na jej długim nosie, nachylił się i pocałował ją.

Smoczyca zamruczała, uniosła łeb i wsparła go na jego piersi.

- Wróćę po ciebie, moja przyjaciółko – powiedział Thor.

Thor odwrócił się w stronę kolumn ze szczerego złota, błyszczących w słońcu i niemal go oślepiających, i dał pierwszy krok. Mijając tę bramę i wkraczając wreszcie do Krainy Druidów, czuł jak jeszcze nigdy wcześniej, że żyje.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gwendolyn jechała z tyłu powozu toczącego się po wiejskiej drodze, przewodząc wyprawie ludzi, która zmierzała powoli krętą drogą na zachód, oddalając się od Królewskiego Dworu. Gwendolyn była zadowolona, że jak dotąd wyprowadzenie ludzi przebiegało spokojnie i że pokonali już taką część drogi. Nie podobało jej się to, że musiała zostawić swe miasto, lecz była przynajmniej pewna, że znaleźli się już wystarczająco daleko, by jej lud był bezpieczny. Zbliżyli się już znacznie ku swemu celowi: zamierzali przekroczyć Zachodnie Przejście Kanionu, wsiąść na okręty czekające na Tartuwanie i przekroczyć wielki ocean ku Wyspom Górnym. Wiedziała, że to jedyny sposób, by zapewnić swemu ludowi bezpieczeństwo.

Tysiące ziomków Gwen maszerowały obok niej, tysiące innych toczyły się na swych wozach. W uszach Gwen pobrzmiwał odgłos końskich kopyt, miarowy stukot wozów, głosy ludzi. Poczła, że z wolna zatapia się w jednostajnym rytmie drogi, przyciskając Guwayne'a do piersi i kołysząc go. Obok niej siedzieli Steffen i Illepra, którzy towarzyszyli jej całą drogę.

Gwendolyn spojrzała na biegnącą przed nimi drogę i próbowała wyobrazić sobie, że jest w jakimkolwiek innym miejscu, tylko nie tu. Pracowała tak ciężko, by odbudować to królestwo, a teraz uciekała z niego. Wcielała w życie swój plan wyprowadzenia ludzi przez najazd McCloudów – lecz co istotniejsze, przez wszystkie pradawne przepowiednie, napomknięcia Argona, jej własne sny i przeczucie, że nieuchronnie zbliża się ku nim ich przeznaczenie. Lecz co – zastanawiała się – jeśli nie ma racji? Co jeśli to wszystko tylko sen, nocne zmartwienia? Co jeśli w Kręgu wszystko będzie w porządku? Co jeśli zareagowała zbyt raptownie, niepotrzebnie wyprowadziła ludzi?

Mogła wszak poprowadzić swój lud do innego miasta w Kręgu, choćby do Silesii. Nie musiała przeprowadzać ich na drugą stronę oceanu.

Przewidywała jednakże, że Krąg zostanie doszczętnie zniszczony. Sądząc po wszystkim, co przeczytała, usłyszała i przeczuwała, zniszczenie było rychłe.

Przekonywała samą siebie, że wyprowadzenie ludzi było koniecznością.

Wpatrując się w horyzont, Gwen zapragnęła, by Thor był tutaj, przy niej. Podniosła wzrok i spojrzała w nieboskłon, zastanawiając się, gdzie też on teraz jest. Czy odnalazł Krainę Druidów? Czy odnalazł swą matkę? Czy powróci do niej?

I czy kiedykolwiek odbędą się ich zaślubiny?

Gwen spojrzała w dół, w oczy Guwayne'a, i ujrzała spoglądającego na nią Thora, jego szare oczy. Przygarnęła syna mocniej do piersi. Starła się nie myśleć o ofierze, na którą musiała przystać w Nibyświecie. Czy to wszystko się spełni? Czy los będzie tak okrutny?

- Pani?

Gwen drgnęła na dźwięk tego głosu; odwróciła się i ujrzała Steffena, zwróconego w bok w powozie, wskazującego na niebo. Spostrzegła, że wokoło jej ludzie zatrzymywali się i nagle poczuła, jak jej powóz także raptownie staje. Nie rozumiała, dlaczego stangret miałby zatrzymać się bez jej rozkazu.

Gwen powiodła wzrokiem za palcem Steffena i tam, na widnokręgu, ku swemu zaskoczeniu ujrzała trzy płonące strzały wystrzelone prosto w górę. Wzniosły się i opadły łukiem, lecąc ku ziemi niby spadające gwiazdy. Była w szoku. Trzy płonące strzały mogły oznaczać tylko jedno: był to znak MacGilów. Szpony sokoła, używane, by zasygnalizować zwycięstwo. Był to znak używany przez jej ojca, a przed nim przez jego ojca, znak przeznaczony jedynie dla MacGilów. Nie można było się omylić: oznaczało to, że MacGilowie zwyciężyli. Odzyskali Królewski Dwór.

Lecz jak to możliwe? – zastanawiała się. Kiedy opuszczali miasto, nie było najmniejszej nawet nadziei na zwycięstwo ani na przetrwanie. Jej miasto zostało zdobyte przez McCloudów i nie pozostał tam nikt, by go bronić.

Gwen zauważyła, że w oddali, na widnokręgu, wznosi się chorągiew, coraz wyżej i wyżej. Zmrużyła oczy i teraz także nie było mowy o omyłce: była to chorągiew MacGilów. Mogło to oznaczać jedynie, że Królewski Dwór znalazł się na powrót w ich rękach.

Z jednej strony Gwen rozpierała radość i pragnęła natychmiast zawrócić. Z drugiej jednakże, patrząc na drogę, którą jechali, pomyślała o przepowiedniach Argona, o

zwojach, które przeczytała, o swych własnych przecuciach. W głębi duszy nadal uważała, że jej lud musi zostać wyprowadzony. Być może i MacGilowie odzyskali Królewski Dwór; lecz to nie oznaczało, że Krąg jest bezpieczny. Gwendolyn wciąż była pewna, że zbliża się coś znacznie gorszego i że musi wydostać stąd swych ludzi i poprowadzić w bezpieczne miejsce.

- Zdaje się, że odnieśliśmy zwycięstwo – powiedział Steffen.
- Mamy powody do radości! – zawołał Aberthol, zbliżając się do jej powozu.
- Królewski Dwór znów jest nasz! – wrzasnął jakiś chłop z tłumu.

Wśród jej ludzi rozległy się głośne krzyki radości.

- Trzeba natychmiast zawrócić! – zawołał inny.

Rozległy się kolejne radosne okrzyki. Gwen pokręciła jednak stanowczo głową.

Wstała i zwróciła się do swych ludzi. Spojrzenia wszystkich skierowały się na nią.

- Nie zawrócimy! – zagrzmiała do nich. – Nie zatrzymamy się. Wiem, że na Krąg czyha wielkie niebezpieczeństwo. Muszę doprowadzić was w bezpieczne miejsce, póki czas, póki wciąż mamy na to szansę.

Wśród jej ludzi rozległ się jęk niezadowolenia i kilku wieśniaków wyszło naprzód, wskazując na horyzont.

- Nie wiem, co wy na to – ryknął jeden z nich. – Ale moim domem jest Królewski Dwór! Jest tam wszystko, co znam i kocham! Nie przebędę morza do jakiejś obcej wyspy, gdy nasze miasto jest całe i w rękach MacGilów! Zawracam do Królewskiego Dworu!

Rozległ się głośny wiwat i gdy mężczyzna ruszył z powrotem, setki ludzi poszły w jego ślady, zawracając swe wozy i kierując się na powrót ku Królewskiemu Dworowi.

- Pani, czy mam ich zatrzymać? – zapytał Steffen, spanikowany, jak zawsze lojalny.
- Słyszysz głos ludu, pani – rzekł Aberthol, podchodząc do niej. – Sprzeciwienie się im byłoby niemądre. Nadto, nie możesz tego uczynić. To ich dom. Nie znają nic poza nim. Nie walcz ze swym ludem. Nie wyprowadzaj ich bez dobrego powodu.
- Ależ ja mam dobry powód – powiedziała Gwen. – Wiem, że nadciąga coś, co nas

zniszczy.

Aberthol pokręcił głową.

- Oni jednak o tym nie wiedzą – odparł. – Nie wątpię w twe słowa, pani. Lecz królowe planują naprzód, a tłum polega na instynkcie. Królowa jest potężna jedynie na tyle, na ile pozwala jej tłum.

Gwen stała, ogarnięta frustracją, patrząc, jak jej lud sprzeciwia się rozkazowi, ruszając z powrotem do Królewskiego Dworu. Po raz pierwszy otwarcie się zbuntowali, otwarcie się jej przeciwstawili. Nie podobało jej się to uczucie. Czy było to zwiastun nadchodzących wydarzeń? Czy jej dni jako królowej były policzone?

- Pani, czy rozkazać żołnierzom ich zatrzymać? – zapytał Steffen.

Miała wrażenie, że on jeden pozostał lojalny względem niej. W głębi duszy pragnęła odpowiedzieć twierdząco.

Lecz gdy patrzyła, jak odchodzą, wiedziała, że byłoby to daremne.

- Nie – rzekła cicho łamiącym się głosem, czując, jak gdyby jej dziecko właśnie się od niej odwróciło. Największy ból sprawiło jej to, że wiedziała, iż ich czyny doprowadzą jedynie do ich krzywdy, a ona nie mogła temu w żaden sposób zaradzić. – Nie mogę uchronić ich przed tym, co kryje dla nich przeznaczenie.

\*

Gwendolyn, przygnębiona, podążała za swym ludem na powrót do Królewskiego Dworu. Wjechała przez tylne bramy miasta i już tam słyszała odległe okrzyki radości dobiegające z drugiej strony. Jej ludzie nie posiadali się z radości, tańczyli i wiwatowali, i wyrzucali w górę nakrycia głowy, napływając przez bramy, powracając na dziedzińce miasta, które znali i kochali, miasta, które było ich domem. Każdy przepychał się, by powinszować Legionowi, Kendrickowi i zwycięskim Gwardzistom.

Gwendolyn jechała jednak, czując ucisk w dołku, miotana sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony – co zrozumiałe – radowała się, że jest tu z powrotem, że zwyciężyli McCloudów, że Kendrick i pozostali byli bezpieczni. Była dumna, gdy ujrzała ciała McCloudów porozrzucane wszędzie wokoło, i ogromnie się ucieszyła, ujrzawszy, że jej bratu Godfreyowi udało się przeżyć i siedzi teraz na uboczu, wsparłszy głowę, na której widniała rana, na dłoniach.

Zarazem jednak Gwendolyn nie potrafiła wyzbyć się głębokiego przeświadczenia, że



coś jest nie tak, pewności, że czyha na nich wszystkich jakieś inne nieszczęście i że najlepiej dla jej ludu byłoby, gdyby wyprowadziła ich, nim będzie za późno.

Jej ludem zawładnęła jednak radość ze zwycięstwa. Nie zamierali usłuchać głosu rozsądku i Gwen wjeżdżała wraz z tysiącami swych poddanych do rozległego miasta, które tak dobrze знаła. Gdy znaleźli się w środku, Gwen z ulgą spostrzegła, że McCloudowie zostali zabici szybko, nim zdolali wyrządzić poważne szkody w starannie odbudowanym mieście.

- Gwendolyn!

Obróciwszy się, Gwendolyn ujrzała Kendricka. Zsiadł ze swego rumaka, pospieszył ku niej i objął ją. Odwzajemniła uścisk, podawszy Guwayne'a stojącej obok Illeprze.

Zbroja Kendricka była twarda i zimna.

- Bracie mój – powiedziała, patrząc na niego. Jego oczy błyszczały zwycięsko. – Przynosisz nam chlubę. Nie tylko utrzymałeś nasze miasto, uczyniłeś znacznie więcej – rozgromiłeś najeźdźców. Ty i twoja Gwardia. Jesteś ucieleśnieniem naszego kodeksu honoru. Ojciec byłby dumny.

Kendrick skłonił się z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Dziękuję ci za te słowa, sestro. Nie mogłem pozwolić, by twe miasto, nasze miasto, miasto ojca, zostało zniszczone przez tych barbarzyńców. Nie walczyłem w pojedynkę; powinnaś wiedzieć, że to nasz brat Godfrey stawiał pierwszy opór. On, wraz z garstką innych, także Legionem – oni wszyscy pomogli zatrzymać najeźdźców.

Gwen odwróciła się i ujrzała zbliżającego się do nich z pełnym udręki uśmiechem na twarzy Godfreya. Przykładał dłoń do boku głowy, który pokryty był zakrzepłą krwią.

- Dziś stałeś się mężczyzną, bracie mój – rzekła do niego z powagą, kładąc rękę na jego ramieniu. – Przyniosłeś chlubę naszemu ojcu.

Godfrey uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Pragnąłem jedynie cię ostrzec – powiedział.

Gwen uśmiechnęła się.

- Uczyniłeś o wiele więcej.

Zbliżyli się do nich Elden, O'Connor, Conven i tuziny legionistów.

- Pani – odezwał się Elden. – Nasi ludzie walczyli dzisiaj mężnie. Ze smutkiem muszę jednak przyznać, że straciliśmy wielu spośród nich.

Gwen spojrzała ponad jego ramieniem i ujrzała zwłoki zaścieniające Królewski Dwór. Były wśród nich tysiące McCloudów – lecz także tuziny rekrutów z Legionu.

Zginęła nawet garstka Gwardzistów. Przywołało to bolesne wspomnienia czasu, gdy po raz ostatni jej miasto zostało najechane. Gwen trudno było na to patrzeć.

Odwróciła się i ujrzała tuzin McCloudów pojmanych, wciąż żywych, z opuszczonymi głowami i rękoma skrępowanymi za plecami.

- Co to za jedni? – spytała.

- Generałowie McCloudów – odrzekł Kendrick. – Pozostawiliśmy ich przy życiu.

Jedynie oni przeżyli z całej armii. Co rozkażesz z nimi uczynić?

Gwendolyn zlustrowała ich uważnie, patrząc im w oczy. Żaden nie odwrócił dumnego, wyzywającego spojrzenia. Ich gęby były prymitywne, typowe dla McCloudów.

Skrucha była im obca.

Gwen westchnęła. Niegdyś sądziła, że pokój jest w stanie rozwiązać wszystkie problemy, że jeśli tylko będzie wystarczająco dobra i łaskawa dla swych sąsiadów, jeśli okaże im wystarczająco dużo życzliwości, odpłacą jej i jej ludowi dobrocią.

Im dłużej jednak władała królestwem, tym wyraźniej dostrzegała, że inni poczytywali okresy pokoju za oznakę słabości, za coś, co należy wykorzystać. Cały jej wysiłek, by utrzymać pokój zaowocował tym: niespodziewanym atakiem. I to w Dzień Pielgrzymki, najświętszy dzień roku.

Gwendolyn czuła, że hartuje się w środku. Nie była już tak naiwna, nie pokładała takiej wiary w ludziach, jak niegdyś. Poczynała wierzyć coraz bardziej tylko w jedno: żelazne rządy.

Gdy Kendrick i pozostali spojrzeli na nią, Gwendolyn rzekła głośno:

- Zabijcie ich – powiedziała.

Otworzyli oczy szeroko z zaskoczenia. Malował się w nich szacunek. Najwyraźniej nie spodzielali się tego po swej władczyni, która dążyła zawsze do utrzymania pokoju.

- Nie przesłyszałem się, pani? – spytał Kendrick zdumionym głosem.

Gwendolyn skinęła głową.

- Nie – odparła. – Gdy skończycie, zbierzcie ich ciała i wyrzućcie je poza mury miasta.

Gwendolyn odwróciła się i ruszyła przez dziedziniec Królewskiego Dworu, a wtedy usłyszała za sobą krzyki McCloudów. Wzdrygnęła się wbrew sobie.

Gwen szła przez miasto, którego ulice zapełnione były trupami, lecz zarazem pełne radosnych okrzyków, muzyki i tanów. Tysiące ludzi tłoczyły się do swych domostw, powracając do miasta, jak gdyby nie zdarzyło się nic złego. Gdy Gwen im się przyglądała, w jej sercu wezbrała trwoga.

- Miasto jest znów nasze – powiedział Kendrick, zbliżając się do niej.

Gwendolyn pokręciła głową.

- Nie na długo.

Obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem.

- Co masz na myśli?

Zatrzymała się i zwróciła ku niemu.

- Widziałam przepowiednie – rzekła. – Pradawne pisma. Mówiłam z Argonem.

Miałam sen. Czeka nas atak. Powrót tutaj był błędem. Musimy natychmiast wyprowadzić wszystkich.

Kendrick spojrział na nią z pobladłą nagle twarzą, a Gwen westchnęła, lustrując wzrokiem swój lud.

- Lud mój nie zamierza jednak usłuchać.

Kendrick pokręcił głową.

- A co jeśli nie masz racji? – rzekł. – Co jeśli dopatrujesz się zbyt wiele w przepowiedniach? Mamy najświetniej walczącą armię na świecie. Nic nie dosięgnie

naszych bram. McCloudowie nie żyją i nie mamy już żadnych wrogów w Kręgu. Tarcza jest w górze, jest mocna. Nadto mamy Ralibara, gdziekolwiek się podziewa. Nie masz się czego lękać. *Nie mamy się czego lękać.*

Gwendolyn potrząsnęła głową.

- To właśnie w takich chwilach należy się lękać najbardziej – odrzekła.

Kendrick westchnął.

- Pani, taki atak się nie powtórzy – powiedział. – Zaskoczyli nas w Dzień Pielgrzymki. Nigdy już nie pozostawimy Królewskiego Dworu niechronionego. To miasto jest fortecą. Przetrwało tysiące lat. Nie ma już nikogo, kto mógłby nas zwyciężyć.

- Mylisz się – powiedziała.

- Cóż, nawet jeśli w istocie tak jest, widzisz, że lud nie zamierza stąd odejść. Siostro – rzekł Kendrick cicho, błagalnie. – Kocham cię. Lecz teraz mówię z tobą jako dowódca.

Jako dowódca Srebrnej Gwardii. Jeśli spróbujesz wyprowadzić ludzi, zmusić ich, by robili to, czego nie chcą, grozi ci ich bunt. Oni nie dostrzegają niebezpieczeństwa, które widzisz ty. I, prawdę powiedziawszy, ja sam także go nie widzę.

Gwendolyn spojrzała na swych ludzi i wiedziała, że Kendrick ma rację. Nie usłuchają jej. Nawet jej własny brat jej nie wierzył.

I złamało jej to serce.

\*

Gwendolyn stała sama przy balustradzie na dachu swego zamku, trzymając mocno Guwayne'a i obserwując chylące się ku zachodowi dwa słońca, zawieszane nisko na niebie. Z dołu dobiegały stłumione okrzyki jej ludzi przygotowujących się do hucznej zabawy tej nocy. Przed sobą miała to wznoszące się, to opadające ziemie rozpościerające się wokoło Królewskiego Dworu, królestwo w jego świetności.

Wszędzie roiły się plony lata, bezkresne pola zieleni, sady, ziemie bujnie porośłe dobrodziejstwem natury. Ziemia sprawiała wrażenie radej, odżyła po tak wielkiej tragedii, i Gwen patrzyła na świat żyjący w zgodzie ze sobą.

Gwendolyn zmarszczyła brwi, zastanawiając się, jakim sposobem jakiegokolwiek rodzaju mrok może osiągnąć tych ziemi. Może mrok, który uroiła sobie, nadszedł już

w postaci McCloudów. Może już go uniknęli dzięki Kendrickowi i reszcie. Być może Kendrick miał rację. Może stała się zbyt ostrożna odkąd została królową, być może była świadkiem zbyt wielkich tragedii. Może, jak rzekł Kendrick, dopatrywała się czegoś, czego nie ma.

Wszak wyprowadzenie jej poddanych z domostw, przeprowadzenie ich przez Kanion, na okręty, ku Wyspom Górnym, na których nie wiadomo czego mogli się spodziewać, było drastycznym posunięciem, posunięciem odpowiednim na czas wielkiej katastrofy. Co jeśli to zrobi, a żadna tragedia nie spadnie na Krąg? Pamiętana będzie jako królowa, która poddała się panice, gdy żadne niebezpieczeństwo nawet się jeszcze nie ukazało.

Gwendolyn westchnęła, przygarniając Guwayne'a, który wiercił się na jej rękach, i zastanawiała się, czy traci rozum. Podniosła wzrok i rozejrzała się po nieboskłonie za jakimkolwiek śladem Thorgrina, modląc się, by go ujrzeć. Miała przynajmniej nadzieję, że spostrzeże jakiś ślad Ralibara, gdziekolwiek teraz był. Lecz on także nie powrócił.

Gwen wpatrywała się w puste niebo, raz jeszcze zawiedziona. Znow będzie musiała polegać na sobie. Nawet jej poddani, którzy zawsze ją popierali, którzy traktowali ją jak boga, teraz zdawali się jej nie ufać. Jej ojciec nie przygotował jej na to. Jakiego rodzaju królową będzie bez poparcia swego ludu? Będzie bezsilna.

Gwen rozpaczliwie pragnęła zwrócić się do kogoś po pociechę, po odpowiedź. Lecz Thorgrin wyruszył na wyprawę; jej matka odeszła; zdawało się, że każdy, kogo znała i kochała, zniknął. Miała wrażenie, że stoi na rozstajnych drogach. Nigdy nie była bardziej skołowana.

Gwen zamknęła oczy i zwróciła się do Boga, by przyszedł jej z pomocą. Z całej siły swej woli próbowała przyzwać go. Nigdy nie modliła się wiele, lecz wierzyła mocno i była pewna, że Bóg istnieje.

*Proszę, Boże, jestem taka skołowana. Wskaż mi, jak najlepiej chronić mój lud. Wskaż, jak najlepiej chronić Guwayne'a. Wskaż, jak być wspaniałą przywódczynią.*

- Modlitwa jest potężna – dobiegł ją głos.

Gwen odwróciła się raptownie. Na dźwięk tego głosu natychmiast odczuła ulgę.

Kilka stóp od niej stał Argon, odziany w swą białą pelerynę i kaptur. W dłoni trzymał laskę i wpatrywał się nie w Gwendolyn, a w horyzont.

- Argonie, muszę usłyszeć odpowiedzi na pewne pytania. Proszę. Pomóż mi.
- Zawsze poszukujemy odpowiedzi – odparł. – Lecz one nie zawsze nadchodzą.

Nasze życia muszą się wypełnić. Nie zawsze możemy poznać przyszłość.

- Można jednak odczytać wskazówki – powiedziała Gwendolyn. – Wszystkie przepowiednie, które przeczytałam, wszystkie zwoje, historia Kręgu – wskazują na głęboki mrok, który się zbliża. Rzeknij mi. Czy nadejdzie?

Argon odwrócił się i patrzył na nią, a oczy jego wypełnione były płomieniem ciemniejszym i straszniejszym niż kiedykolwiek w nich widziała.

- Tak – odrzekł.

Ostateczność jego odpowiedzi strwożyła ją nade wszystko. Jego, Argona, który zawsze mówił zagadkami.

Gwen zadrżała wewnątrz.

- Czy dotrze tutaj, do Królewskiego Dworu?

- Tak – odparł.

Gwen poczuła, jak jej lęk się pogłębia. Umocniła się także w przekonaniu, iż od samego początku miała rację.

- Czy Krąg zostanie zniszczony? – spytała.

Argon zwrócił spojrzenie w jej stronę i powoli skinął głową.

- Mogę wyjawić ci jeszcze tylko kilka rzeczy – rzekł. – Jeśli tak postanowisz, ta będzie jedną z nich.

Gwen rozważała to długo i intensywnie. Wiedziała, że przepowiednie Argona są cenne. Jednakże było to coś, czego musiała się dowiedzieć.

- Rzeknij – powiedziała.

Argon wciągnął głęboko powietrze, odwrócił się i patrzył w horyzont przez, jak się zdawało, całe wieki.

- Krąg zostanie zniszczony. Wszystko, co znasz i kochasz, zostanie zmiecione z

powierzchni ziemi. Na miejscu, w którym teraz stoisz, pozostaną jedynie żar i popiół.

Cały Krąg obróci się w proch. Twój naród zniknie. Nadciąga mrok. Mrok głębszy niż wszystkie wcześniejsze w naszych dziejach.

Gwendolyn poczuła, jak prawdziwość jego słów dociera do każdej komórki jej ciała, jak głęboki tembr jego głosu przechodzi ją aż do szpiku kości. Wiedziała, że każde jego słowo to prawda.

- Mój lud tego nie dostrzega – rzekła drżącym głosem.

Argon wzruszył ramionami.

- Jesteś królową. Czasem siła jest koniecznością. Nie tylko w stosunku do wrogów.

Także w stosunku do własnych poddanych. Postąp tak, jak uważasz. Nie szukaj zawsze aprobaty swego ludu. Aprobata przemija. Czasem, gdy twój lud najbardziej cię nienawidzi, jest to znak, że czynisz to, co dla nich najlepsze. Twemu ojcu dane było sprawować pokojowe rządy. Lecz ciebie, Gwendolyn, czeka znacznie trudniejszy sprawdzian: czekają cię żelazne rządy.

Gdy Argon odwrócił się, by odejść, Gwendolyn dała krok naprzód i wyciągnęła w jego stronę rękę.

- Argonie – zawołała.

Zatrzymał się, lecz nie odwrócił.

- Rzeknij mi jeszcze jedno. Błagam. Czy ujrzę jeszcze Thorgrina?

Argon nie odzywał się i zaległa długa, głucha cisza. W tej ponurej ciszy czuła, jak jej serce rozpada się na dwoje. Modliła się, by udzielił jej jeszcze tej jednej odpowiedzi.

- Tak – odrzekł.

Stała przed nim z mocno bijącym sercem. Pragnęła usłyszeć coś więcej.

- Czy nie możesz mi rzec nic więcej?

Odwrócił się i spojrzał na nią ze smutkiem.

- Pamiętaj o wyborze, którego dokonałaś. Nie każdej miłości dane jest trwać wiecznie.

Wysoko w górze Gwen usłyszała pisk sokoła i podniosła wzrok, zamyślona.

Zwróciła się na powrót ku Argonowi, lecz on już zniknął.

Przycisnęła Guwayne'a mocno do piersi i objęła wzrokiem swe królestwo. Patrzyła długo, po raz ostatni, pragnąc takim właśnie je zapamiętać, gdy było jeszcze wciąż pełne życia. Nim obróci się w popiół. Trwogą napawała ją myśl, jakie wielkie niebezpieczeństwo może czyhać za tym pozornym pięknem. Zadrżała, gdyż nie miała ani cienia wątpliwości, że dosięgnie ich wszystkich już niebawem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stara krzyczała, spadając i młóćąc rękoma w powietrzu. Obok niej leciał Reece, a obok niego Matus i Srog. Zeskoczyli z muru zamku w zacinającym deszczu i wietrze i lecieli prosto w dół. Stara skuliła się, gdy spostrzegła ogromne krzewy zbliżające się szybko w jej kierunku. Zrozumiała, że może przeżyć jedynie dzięki nim.

Chwilę później, gdy wpadła w krzak – który niemal wcale nie stłumił jej upadku – poczuła, jak gdyby każda kość w jej ciele pękła, i spadała dalej, aż uderzyła w ziemię.

Poczuła, że brakuje jej tchu i pewna była, że stłukła sobie zebro. Jednocześnie zapadła się kilka cali i zdała sobie sprawę, że ziemia jest bardziej miękka, bardziej błotnista, niż sądziła, i złagodziła jej upadek.

Pozostali uderzyli w ziemię obok niej i wszyscy zaczęli się ześlizgiwać. Stara nie przewidziała, że wylądują na stromym zboczu i nim zdołała się zatrzymać, ześlizgiwała się już, pędziła w dół zbocza, a pozostali wraz z nią, nie mogąc wydostać się z lawiny błotnej.

Staczali się i ślizgali i niebawem poniosły ich rwące wody i zjeżdżali w dół zbocza z zawrotną prędkością. Ześlizgując się, Stara obejrzała się przez ramię i ujrzała, jak zamek jej ojca szybko znika jej z oczu. Przynajmniej znajdą się daleko od swych przeciwników.

Stara przeniosła wzrok na powrót w dół i usunęła się, unikając o włos skał znajdujących się na jej drodze. Osuwała się tak szybko, że niemal nie była w stanie złapać tchu. Błoto było nieprawdopodobnie śliskie, a deszcz padał teraz silniejszy.



Wszystko wokół niej przemieszczało się z szybkością błyskawicy. Próbowła zwolnić, wczepiając palce w błoto, lecz było to daremne.

Gdy Stara zastanawiała się, czy kiedykolwiek przestaną zjeżdżać, ogarnęła ją panika, gdyż przypomniała sobie, dokąd prowadzi to zbrocze: prosto w przepaść.

Zrozumiała, że jeśli wkrótce się nie zatrzymają, wszyscy zginą.

Stara spostrzegła, że także żaden z pozostałych nie potrafił się zatrzymać. Młócili dokoła rękoma, pojękując, i robili, co w ich mocy, by się zatrzymać, byli jednak bezsilni.

Stara spojrzała przed siebie i ku swemu przerażeniu ujrzała zbliżający się spadek. Nie potrafiąc się zatrzymać, zmierzali prosto w przepaść.

Nagle Stara ujrzała, że Srog i Matus skręcają raptownie na lewo, ku niewielkiej jaskini zatkniętej na skraju przepaści. Jakimś sposobem zdołali uderzyć w skałę stopami i zatrzymali się tuż nad krawędzią.

Stara usiłowała wbić pięty w błoto, lecz nic nie przynosiło skutku; obróciła się jedynie. Wrzasnęła, ujrawszy zbliżającą się przepaść, wiedząc, iż za chwilę znajdzie się za krawędzią.

Nagle Stara poczuła, jak ktoś chwyta ją mocno za tył koszuli, spowalniając, a później zatrzymując. Zadarła głowę i ujrzała Reece'a. Schwycił się wątego drzewka nad skrajem przepaści. Oplótł je jedną ręką, a drugą wyciągał w dół i trzymał Starę. Woda i błoto płynęły gwałtownie, spychając ją w dół. Osuwała się i niemal zwiślała już nad przepaścią.

Zatrzymał ją, lecz osuwała się w dół.

Reece nie mógł jej dłużej utrzymać i wiedziała, że jeśli jej nie puści, niebawem oboje spadną w przepaść. Oboje zginą.

- Puść mnie! – krzyknęła do niego.

On jednak pokręcił zdecydowanie głową.

- Nigdy! – odkrzyknął przez strugi deszczu. Po twarzy ściekała mu woda.

Nagle Reece puścił drzewo, by móc schwycić przeguby jej dłoni obojgiem rąk; zarazem oplótł drzewo nogami, trzymając się go z tyłu. Z całej siły przyciągnął Starę

do siebie. Od upadku w przepaść chroniły ich jedynie jego nogi.

Reece jęknął i krzyknął, i zdołał wyciągnąć Starę jednym szarpnięciem z nurtu na bok i pchnąć ku jaskini, ku reszcie. Reece przetoczył się razem z nią i sam wytoczył się z lawiny, po czym pomógł jej przedostać się do jaskini.

Gdy znaleźli się bezpiecznie w środku, Stara osunęła się, wycieńczona, i leżała na brzuchu w błocie, niezwykle wdzięczna, że żyje.

Leżała, dysząc ciężko i ociekając wodą, i myślała nie o tym, jak blisko śmierci się znalazła, lecz o czymś zgoła innym: czy Reece wciąż ją kocha? Zrozumiała, że na tym zależało jej bardziej nawet niż na tym, czy przeżyje.

\*

Stara siedziała skulona przy niewielkim ognisku rozpalonym wewnątrz jaskini.

Pozostali znajdowali się nieopodal. Wreszcie zaczęli wysychać. Rozejrzała się i zauważyła, że cała czwórka wygląda tak, jak gdyby przeżyli wojnę. Mieli zapadnięte policzki i wpatrywali się w płomienie, wyciągając ku nim dłonie i rozcierając je, próbując schronić się przed nieustępującymi wilgocią i zimnem. Wsłuchiwali się w wicher i deszcz, nieodłączne elementy Wysp Górnych, hulające na zewnątrz. Zdawało się, że nigdy nie ustaną.

Zapadła już noc. Zwlekali z roznieceniem ogniska cały dzień z obawy, by ich nie spostrzeżono. Wreszcie byli już tak wyziębieni, znużeni i przygnębieni, że podjęli to ryzyko. Stara sądziła, że upłynęło wystarczająco dużo czasu od ich ucieczki – nadto nie było mowy, by ci mężczyźni odważyli się wyruszyć tak daleko w dół, do klifów. Było zbyt stromo i mokro i gdyby spróbowali, zginęliby.

Utknęli tutaj jednak niby więźniowie. Gdyby dali choć krok z jaskini, trafiliby w końcu w ręce wyspiarzy i zginęli. Jej brat nie okazałby jej łaski. Sytuacja była beznadziejna.

Siedziała w pobliżu nieobecnego, pogrążonego w zadumie Reece'a i rozmyślała nad minionymi wydarzeniami. Tam, w forcie, ocaliła Reece'owi życie, lecz on ocalił ją nad przepaścią. Czy wciąż zależało mu na niej, jak niegdyś? Tak jak jej wciąż zależało na nim? Czy też był nadal rozgoryczony przez to, co stało się z Selese? Czy winił ją za to?

Czy kiedykolwiek jej przebaczy?

Stara nie potrafiła wyobrazić sobie bólu, jaki go dręczył, gdy siedział tak, z głową

wspartą na dłoniach, wpatrując się w płomienie jak człowiek, który był zagubiony.

Zastanawiała się, jakie myśli przemykają mu przez głowę. Wyglądał jak człowiek, który nie ma nic do stracenia, jak ktoś, kto otarł się o tragedię i nie doszedł jeszcze do siebie.

Człowiek dręczony poczuciem winy. Nie przypominał chłopca, którego znała niegdyś, pełnego miłości i radości, prędkiego do uśmiechu, który obsypywał ją miłością i czułością. Teraz, miast tego, wyglądał jak gdyby coś wewnątrz niego obumarło.

Stara podniosła wzrok, lękając się spojrzeć w oczy Reece'owi, lecz pragnąc ujrzeć jego twarz. Skrycie żywiła nadzieję, że będzie na nią patrzył, myślał o niej. Lecz gdy spojrzała na niego, serce jej pękło, gdy spostrzegła, że wcale na nią nie patrzy. Miast tego utkwiał wzrok w płomieniach. Nigdy jeszcze nie zdał się jej bardziej samotny.

Stara nie potrafiła przestać o tym myśleć. Po raz milionowy zastanawiała się, czy to, co ich łączyło, zniknęło, zniszczone przez śmierć Selese. Po raz milionowy przeklęła swych braci – i ojca – za wcielenie w życie tak przebiegłego planu. Zawsze, co oczywiste, pragnęła Reece'a dla siebie; nigdy jednak nie przystałaby na podstęp, który doprowadził do jej śmierci. Nie chciała, by Selese zginęła, ani by spotkała ją jakaś krzywda. Żywiła nadzieję, że Reece przekaze jej wieści delikatnie i choć będzie zmartwiona, przyjmie je – a z pewnością nie odbierze sobie życia. Ani nie zniszczy życia Reece'owi.

Teraz wszystkie plany Stary, cała jej przyszłość, sypały się na jej oczach przez jej okropną rodzinę. Matus był jedynym rozsądnym, w którego żyłach płynęła ta sama krew. Stara zastanawiała się jednak, co się z nim stanie, co stanie się z całą czwórką. Czy będą siedzieć tutaj, w tej jaskini, aż umrą? Będą musieli w końcu z niej wyjść. Wiedziała, że ludzie jej brata są nieustępliwi. Nie ustanie, póki nie uśmierci każdego z nich – zwłaszcza po tym, jak Reece zabił jej ojca.

Stara wiedziała, że powinna odczuwać żal przez wzgląd na śmierć swego ojca – nie odczuwała go jednak wcale. Nienawidziła tego mężczyzny. Zawsze tak było. Odczuwała miast tego ulgę, a nawet wdzięczność względem Reece'a za to, że go zabił. Był kłamliwym, pozbawionym honoru wojownikiem i królem całe swe życie i wcale o nią nie dbał.

Stara zerknęła na trzech wojowników. Wyglądali na zrozpaczonych, siedząc tak w milczeniu od wielu już godzin, i zastanawiała się, czy którykolwiek z nich ma jakiś plan.

Srog był ciężko raniony. Matus i Reece także odnieśli rany, choć lżejsze. Zdawało się,

że ziąb przeniknął każdego z nich do szpiku kości i siedzieli przybici aurą tego miejsca, okolicznościami, które zwróciły się przeciw nim.

- Będziemy tu siedzieć, w tej jaskini, po wsze czasy i tu umrzemy? – spytała Stara, przerywając głuchą ciszę, nie mogąc już znieść tej jednostajności i mroku.

Srog i Matus z wolna podnieśli na nią wzrok. Reece wciąż nie podnosił głowy ani nie patrzył na nią.

- A dokąd mielibyśmy pójść? – spytał Srog defensywnie. – Na całej wyspie roi się od ludzi twego brata. Jaką szansę mamy, by ich zwyciężyć? Zwłaszcza, gdy są rozwścieczeni naszą ucieczką i śmiercią twego ojca.

- Wpędziłeś nas w niezłe tarapaty, kuzynie – rzekł Matus z uśmiechem, kładąc dłoń na ramieniu Reece'a. – Postąpiłeś odważnie. Nie widziałem chyba w całym swym życiu odważniejszego czynu.

Reece wzruszył ramionami.

- Pojmał moją oblubienicę. Zasługiwał na śmierć.

Stara zastygła na dźwięk słowa *oblubienica*. Serce jej pękło. Wybór tego właśnie słowa wyjawiał jej wszystko – najwyraźniej Reece wciąż darzył uczuciem Selese. Nie spojrział nawet Starze w oczy. Miała chęć się rozpłakać.

- Nie troskaj się, kuzynie – powiedział Matus. – Raduję się, że ojciec mój nie żyje i jestem zadowolony, że to ty zadałeś mu śmierć. Nie mam ci tego za złe. Podziwiam cię.

Mimo tego, żeśmy niemal zginęli przez ciebie, gdyś tego dokonywał.

Reece skinął głową, doceniając słowa Matusa.

- Żaden z was mi nie odpowiedział – rzekła Stara. – Jaki jest wasz plan? Umrzeć tutaj?

- A jaki ty masz plan? – odwarknął Reece.

- Nie mam żadnego – powiedziała. – Wykonałam, co do mnie należało.

Wyprowadziłam nas stamtąd.

- To prawda – przyznał Reece, wciąż wpatrując się w płomienie i nie patrząc na nią.

- Uratowałaś mi życie.

W Starze zakiełkowała nadzieja, gdy usłyszała słowa Reece'a, mimo tego, że wciąż nie patrzył jej w oczy. Zastanawiała się, czy może jednak omyliła się, sądząc, że ją nienawidzi.

- A ty mnie - odparła. – Nad przepaścią. Wyrównaliśmy rachunki.

Reece wciąż wpatrywał się w płomienie.

Czekała, czy rzeknie coś w odpowiedzi, czy rzeknie, że ją kocha, czy rzeknie cokolwiek. Lecz on się nie odzywał. Stara poczuła, że do twarzy napływa jej krew.

- To tyle? – powiedziała. – Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia? Sprawy między nami są skończone?

Reece uniósł głowę, po raz pierwszy patrząc jej w oczy z konsternacją.

Stara nie była w stanie dłużej tego znieść. Skoczyła na nogi i ruszyła szybkim krokiem ku wyjściu z jaskini, gdzie zatrzymała się tyłem do nich. Wyjrzała w noc, w deszcz, wiatr i zamyśliła się: czy między nią a Reece'em wszystko było skończone? Jeśli w istocie tak było, nie widziała powodu, by dalej żyć.

- Moglibyśmy skryć się na okrętach – rzekł w końcu Reece po zdającej się nie mieć końca ciszy. Jego skąpe słowa rozbrzmiały w nocy.

Stara obróciła się i spojrzała na niego.

- Skryć się na okrętach? – zapytała.

Reece przytaknął ruchem głowy.

- Tam, w porcie, są nasi ludzie. Musimy do nich dotrzeć. To ostatni teren w tym miejscu należący do MacGilów.

Stara potrząsnęła głową.

- To nierozważny plan – powiedziała. – Okręty będą otoczone, o ile już nie zostały zniszczone. Musielibyśmy przedrzeć się przez wszystkich ludzi mego brata, by się tam dostać. Lepiej skryć się gdzie indziej na wyspie.

Reece pokręcił głową, zdecydowany.

- Nie – rzekł. – To nasi ludzie. Musimy się do nich dostać bez względu na to, jak

przyjdzie nam za to zapłacić. Jeśli zostaną zaatakowani, polegniemy walcząc u ich boku.

- Chyba nie pojmujesz – odrzekła, równie zdecydowana. – O świcie tysiące ludzi mego brata rozproszy się po brzegu. Nie zdołamy ich ominąć.

Reece podniósł się, strząsając wilgoć z odzienia, a w oczach jego rozgorzał ogień.

- Nie będziemy zatem czekać do świtu – powiedział. – Wyruszymy teraz. Nim słońce wzejdzie.

Matus także z wolna się podniósł, a Reece spojrział na Sroga.

- Srogu? – zapytał Matus. – Podołacie?

Srok skrzywił się, wstając nieporadnie. Matus podał mu rękę.

- Nie będę was spowalniał – powiedział Srog. – Idźcie beze mnie. Zostanę tutaj, w jaskini.

- Umrzecie tutaj, w jaskini – rzekł Matus.

- Zatem wy nie umrzecie ze mną – odparł.

Reece pokręcił głową.

- *Nikt nie zostaje z tyłu* – powiedział. – Pójdiesz z nami, bez względu na to, jakie będą tego skutki.

Reece, Matus i Srog podeszli do Stary stojącej u wyjścia z jaskini i wyjrzeli w wyjący wicher i deszcz. Stara omiotła spojrzeniem trzech mężczyzn, zastanawiając się, czy postradali zmysły.

- Pytałaś o plan – rzekł Reece, zwracając się ku niej. – Cóż, właśnie go wymyśliliśmy.

Pokręciła powoli głową.

- Jest nierozważny – powiedziała. – Tak właśnie mają w zwyczaju postępować mężczyźni. Najpewniej zginiemy w drodze ku okrętom.

Reece wzruszył ramionami.

- Kiedyś i tak wszyscy umrzemy.

Stali, przyglądając się szalejącej na zewnątrz pogodzie, czekając na odpowiedni moment. Stara czekała, by Reece coś zrobił – cokolwiek – by ujął jej dłoń, by pokazał jej, choćby w nieznacznym sposób, że wciąż mu na niej zależy.

Nie uczynił tego jednak. Trzymał dłoń przy sobie i Stara czuła, jak hartuje się, pęka wewnątrz. Zebrała się w sobie, gotowa wyruszać, nie dbając już o to, co szykuje dla niej los. Dali krok w ciemność i do Stary dotarło, że – pozbawiona miłości Reece'a – nie ma już nic do stracenia.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Alistair stała na statku, przerażona, z rękoma skrępowanymi za plecami, a serce waliło jej jak młotem, gdy tuziny marynarzy zacieśniały się dokoła niej z pożądaniem i śmiercią w oczach. Pojęła, że ci mężczyźni zamierzali ją pohańbić, torturować i zabić, i że będą czerpać z tego przyjemność. Nie mogła się nadziwić, że takie zło istnieje na świecie i przez chwilę miała trudności ze zrozumieniem ludzkości.

Całe swe życie słynęła z tego – gdzie by się nie udała – że jest najpiękniejszą dziewczyną i nieraz wpadła przez to w tarapaty. Pragnęła jedynie, by wszyscy pozostawili ją w spokoju. Pragnęła zawsze wyglądać zwyczajnie, jak każdy inny. Nie chciała zwracać na siebie uwagi – a już z całą pewnością nie chciała ściągać na siebie kłopotów.

Zawieszony wysoko w sieci Erec krzyczał bezradnie, rozwścieczony.

- ALISTAIR! – wrzeszczał raz za razem, gorączkowo próbując się wydostać.

Marynarze na pokładzie śmiali się, czerpiąc niebywałą przyjemność z jego pojmania i bezradności.

Alistair spojrzała na nich i wezbrał w niej ogromny gniew; zmusiła się, by być odważną, nieulękłą.

- Dlaczego chcecie wyrządzić mi krzywdę? – spytała głosem pełnym współczucia. – Czy nie dostrzegacie, że wasze czyny przynoszą szkodę jedynie wam samym? Wszyscy jesteśmy częścią tej samej planety.

Mężczyźni roześmiali się jej w twarz.

- Wymyślne słówka z ust głupiej dziewczuchy – wrzasnął jeden z nich, unosząc ogromną łapę i zamachując się, gotując się, by zdzielić ją w twarz.

Opuścił rękę w jej kierunku, gdy wtem Alistair przydarzyło się coś dziwnego.

Ogarnęło ją uczucie, którego nigdy uprzednio nie doświadczyła: jak gdyby cały świat zwolnił i ręka mężczyzny poruszała się w powietrzu w ślimaczym tempie. Skupiła na niej swą uwagę i zdało jej się, że stanęła w miejscu. Cały świat zdawał się stanąć w miejscu. Widziała każdą drobinę w najmniejszym szczególe, cząstki natury w duchu i duszach tych mężczyzn.

Nagle Alistair poczuła przypływ energii. Czuła, że znajduje się w innej rzeczywistości, że jest w stanie przeniknąć wszystko przed sobą, że jest zdolna zapanować nad tym poprzez zrozumienie, miłość i współczucie. Czuła, jak wzbiera w niej ogromna siła, siła, której nawet ona sama nie jest w stanie pojąć. Miała wrażenie, że przez jej żyły przepływa moc tysiąca słońc.

Alistair mrugnęła i świat powrócił znów do życia z wielkim błyskiem światła.

Spojrzała w górę, na rękę mężczyzny, wciąż zawieszoną w powietrzu, a jego nagle zdjął paniczny strach, gdy spojrzał na swą dłoń, nie mogąc nią poruszyć. Przeniósł wzrok z Alistair na swą rękę i z powrotem, zaszokowany.

- Czary! – wykrzyknął.

Alistair stała w miejscu, nie lękając się, wyczuwając w sobie moc jakiegoś większego ducha i wiedziała, że ci mężczyźni, znajdujący się na innej duchowej płaszczyźnie, nie mogą jej tknąć. Czuła, że porywają ją siła i moc świata większego niż ona sama.

Alistair odchyliła się w tył i uniosła dłonie ku nieboskłonowi, a wtedy strumienie białego światła wystrzeliły z nich prosto w górę, przecinając nieboskłon i rozświetlając noc, ku czarnej nocy.

Wtem okręt zakołysał się gwałtownie z boku na bok. Wycie wichru wzmogło się i dokoła statku wzniosły się wielkie fale, a prąd przybrał na sile, wynosząc go gwałtownie w górę i w dół.

Wszystkich stojących naprzeciw niej mężczyzn rzuciło na pokład i gdy okręt przechylił się, prześlizgnęli się, aż na drugą stronę i walnęli w drewnianą burłę. Statek zakołysał się w drugą stronę i mężczyźni polecili na przeciwległy koniec i uderzyli o burłę, pojękując z bólu. Alistair stała mocno na pokładzie i czuła się pewna jak góra.



Utrzymała równowagę, czując, jak gdyby znajdowała się pośrodku samego jądra świata.

Okręt zakołysał się znów i mężczyzn rzuciło w drugą stronę. Krzyczeli, uderzając o burty statku, raz po raz, aż popękały im zębra.

Prześlizgnęli się raz jeszcze na drugą stronę, a okręt niemal położył się.

Wykrzyknęli, przerażeni, spojrzawszy za burtę: rozległ się głośny plusk, jak gdyby dno oceanu próbowało wydostać się na powierzchnię, i z głębin wyłonił się olbrzymi potwór morski. Był dwukrotnie większy niż okazały wieloryb, miał płaski łeb, pokryty był błyszczącą czerwoną łuską i miał tysiące ostrych jak brzytwa zębisk. Cielsko jego było grubsze niż okręt i wynurzył się z wody pionowo, miotany wielką wściekłością.

Wyrzucił z siebie pisk tak gwałtowny, że niemal przepołowił maszt. Mężczyźni przysłonili uszy dłońmi, próbując stłumić dźwięk, lecz mimo tego z uszu wielu spośród nich dobyła się krew.

Wieloryb wyłonił się całkowicie z wody – a większy był niż smok, większy niż wszystko, co Alistair kiedykolwiek widziała – a następnie zanurkował łbem w dół, wprost na okręt, z szeroko rozwartymi szczękami.

Mężczyźni unieśli ręce i krzyknęli. Było już jednak za późno; zębiska wieloryba opadły prosto na nich i uderzyły w okręt w połowie, roztrzaskując go na kawałki.

Potwór chwycił mężczyzn w paszczę, a ich krew wypłynęła spomiędzy jego zębisk, gdy zwarł szczęki. Zniknął równie prędko, wciągając ich ze sobą z powrotem w dół, w głębinę oceanu.

Okręt, teraz opustoszały, zniszczony, tonął szybko. Podniósłszy wzrok, Alistair ujrzała Erecą, kołyszącego się w tę i w tę w tę w sieci. Zobaczyła, że lina pęka i Erec spada na pokład. Erec rozciął sieć swym sztyletem i uwolnił się. Podniósł się i rzucił w jej kierunku.

Padli sobie w objęcia.

- Alistair – powiedział. – Dzięki bogu, nic ci nie jest.

Okręt nabierał prędko wody. Przez wycie wichru i odgłos fal dobiegły ją krzyki mężczyzn. Obróciwszy się, Alistair spostrzegła kapitana; zbiegał z górnego pokładu wraz z tuzinami marynarzy z tyłu statku.

- Tam! – wrzasnął Erec.

Alistair obróciła się i podążyła wzrokiem za jego palcem. Ujrzała niewielką łódź wiosłową, długą na dwadzieścia stóp, z niedużym żaglem, która przymocowana była linami do boku statku. Najwyraźniej służyła jako szalupa ratunkowa tego potężnego okrętu. Marynarze pędzili w jej stronę. Erec schwycił dłoń Alistair i puścili się biegiem przez pokład. Znajdowali się znacznie bliżej niej niż marynarze.

Dopadli szalupy pierwsi. Erec podniósł Alistair i usadowił ją w niedużej łodzi, a okręt zachybotał się; schwyciła się liny, próbując utrzymać równowagę.

- Nie ważcie się wsiąść do naszej łodzi! – zakrzyknął kapitan.

Erec odwrócił się raptownie, a gdy kapitan zbliżył się do niego, Erec przeszył jego serce mieczem. Mężczyzna wciągnął gwałtownie powietrze i osunął się na kolana, wybałuszając oczy w szoku, a Erec stał nad nim z grymasem na twarzy.

- Powinienem był to uczynić dawno temu – rzekł Erec.

Kilku marynarzy zbliżyło się do niego, a Erec, rozwścieczony, walczył, mszcząc się, siekąc i zabijając tuziny mężczyzn, którzy unosili miecze i nieskutecznie próbowali się bronić. Nie mogli się z nim równać.

- Erecu, musimy ruszać! – zawołała Alistair, gdy okrętem zakołysało.

Statek zachybotał się gwałtownie i nabrał jeszcze więcej wody, a kolejne tuziny marynarzy poczęły biec ku niemu. Erec odwrócił się, wskoczył do łodzi i natychmiast przeciął liny.

Alistair poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła, gdy spadali ku oceanowi.

Uderzyli w fale z wielkim pluskiem i, bujając się i kołysząc, wypłynęli na rozszalały ocean.

Uciekli w sam czas; po chwili ogromny okręt położył się na bok. Marynarze, którzy pozostali na pokładzie, krzyczeli przeraźliwie, gdy ocean wciągał ich w swe głębiny wraz ze statkiem, czemu towarzyszył odgłos pękającego drewna.

Erec wiosłował z całych sił, oddalając się od okrętu i wrzaski rychło ucichły.

Niebawem pozostali sami i płynęli w ciemną noc pod milionem czerwonych gwiazd, kierując się bóg wie dokąd.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Thor przemierzał Krainę Druidów. Jej otoczenie, zarazem egzotyczne i niepokojąco znajome, napawało go podziwem. Idąc polem kwiatów, wyciągał dłoń i z zachwytem dotykał ich, próbując pojąć, gdzie uprzednio je widział, gdzie widział cały ten krajobraz.

Im dłużej się mu przyglądał, tym bardziej stawało się to dla niego jasne: był już na tym polu kwiatów. Polu przed Królewskim Dworem. Miejscu, w którym odbyła się jego pierwsza randka z Gwendolyn. Było to dla niego magiczne miejsce, miejsce, które wryło mu się w pamięć, w którym po raz pierwszy zakochał się. Miejsce, którego nigdy nie zapomni.

Lecz cóż robiło ono tutaj, po drugiej stronie świata, w Krainie Druidów? Czy przemierzył świat jedynie po to, by powrócić do domu? To nie miało najmniejszego sensu.

Idąc coraz dalej kwietnym polem, trudno było mu pojąć, co się dzieje. Poczuł mrowienie w całym ciele i poznał po tym uczuciu, że w istocie znajduje się w innej krainie, innym miejscu. W powietrzu wyczuwał inną energię, wiatr miał inny ciężar i woń. Po raz pierwszy w życiu Thor poczuł, że energia ta zbiega się w jedno z jego energią. Jak gdyby znalazł się w domu, pośród swoich. Takich, którzy są jak on. Którzy go rozumieją. Nigdy, w żadnym miejscu na świecie, nie czuł się tak pełen życia, tak silny.

Zarazem otoczenie jego zdało mu się inne, obce. Miał złe przeczucia, przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo, nie wiedział jednak jakie.

Thor spojrział w dal, ku widnokręgowi, z nadzieją, że ujrzy coś znajomego – strzelisty zamek ze swych snów, pałac swej matki, prowadzący do niego most – albo choć biegnącą do niego ścieżkę.

Nie ujrzał ich jednak. Miast tego, gdy minął pole kwiatów, podążając krętą, zakurzoną ścieżyną, jego oczom ukazała się nagle nieduża wieś, przez którą owa dróżka wiodła, a we wsi – białe kamienne chaty.

Thor wstrzymał oddech, zaszokowany, a włoski na jego skórze uniosły się: była to *jego*

osada. Jego rodzinna wieś.

Jak to możliwe? – zastanawiał się. Czy przemierzył pół świata po to tylko, by dotrzeć na powrót do domu?

Thor szedł dalej ostrożnie pustymi drogami, aż w oddali przed sobą ujrzał jakąś postać, pochyloną nad czymś po jednej stronie drogi. Gdy zbliżył się do niej, z zaskoczeniem ujrzał, iż to jakaś starucha, schylająca się nad zawieszonym nad ogniem kotłem. Ona także zdała mu się znajoma.

Podniosła na niego wzrok i skrzywiła się.

- Uważaj, gdzie chodzisz! – zganiła go.

Thor rozpoznał ten głos i nagle przypomniał sobie: była to starucha z jego wsi, ta, która zawsze pochylona była nad gotującą się strawą i zawsze krzyczała na niego, gdy przebiegał obok, płosząc jej kury. Czyżby mu się przywidziało?

- Co wy tutaj robicie? – zapytał, osłupiały.

- A co ty tutaj robisz?

Thor zamrugnął, zbity z tropu.

- Przybyłem, by odnaleźć mą matkę.

- Ach tak? A jak masz zamiar tego dokonać?

Thor opuścił wzrok na swój medalion i spostrzegł, że strzałka nie wskazuje już żadnego kierunku. Rozpadła się. Dotarł tutaj, lecz teraz, gdy już się tu znalazł, mógł liczyć jedynie na siebie. Nie miał pojęcia, jak ją odnaleźć.

Thor spojrzął na kobietę.

- Nie wiem – odrzekł w końcu. – Jak duża jest Kraina Druidów?

Starucha odrzuciła głowę w tył i zarechotała. Paskudny, zgrzytliwy dźwięk przyprawił go o dreszcze.

W końcu odezwała się:

- Mogę ci wyjawić, gdzie ją znajdziesz.

Thor spojrział na nią zaskoczony.

- Możecie? A skąd wiecie, gdzie ona jest?

Zamieszła swą strawę.

- Zapłacisz – rzekła. – A wyjawię ci wszystko.

- Czym mam zapłacić? – zapytał Thor.

- Swą bransoletą.

Thor opuścił wzrok na swą złotą bransoletę, którą podarowała mu Alistair, błyszczącą w słońcu. Zawahał się. Wyczuwał, że ma ona niezwykłą moc i że jest to jedyna rzecz, która chroni go w tej krainie. Ogarnęło go złe przeczucie, że jeśli jej ją odda, straci całą swą siłę.

Z drugiej strony, musiał dowiedzieć się, gdzie jest jego matka.

- To podarek – rzekł. – Przepraszam. Nie mogę.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Nie mogę ci zatem pomóc.

Thor obrzucił ją zdumionym spojrzeniem, sfrustrowany.

- Proszę – powiedział. – Potrzebuję waszej pomocy.

Przez długi czas mieszała w kotle. W końcu westchnęła.

- Zajrzyj do mego kotła. Co w nim widzisz?

Thor spojrział na nią skołowany, po czym wreszcie zerknął w dół, do kotła.

Zamrugał kilkakrotnie, zaskoczony, i pochylił się niżej, by dobrze się przyjrzeć.

W nieruchomej wodzie z wolna pojawiło się odbicie. Z początku wyglądało jak jego twarz; wtem jednak powoli dotarło do niego, że to nie on. Była to twarz Andronicusa.

Thor spojrział na kobietę, która wpatrywała się w niego, zła.

- Kim jesteście? – zapytał.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Jestem każdym – powiedziała. – I nikim.

Odskoczyła od kotła, wyciągnęła rękę i zerwała Thorowi bransoletę z nadgarstka.

Gdy Thor wyciągnął rękę, by ją odzyskać, kobieta nagle przemieniła się w długiego, grubego białego węża. Thor przyglądał się temu z przerażeniem i zdał sobie sprawę, że to jadowity biało grzbiet, ten sam wąż, którego spostrzegł na pierwszej randce z Gwendolyn. Omen śmierci.

Wąż stawał się coraz dłuższy i dłuższy i nim Thor zdołał zareagować, jego ogon owinał się wokoło jego kostek, następnie dokoła łydek, kolan, ud, pasa i piersi.

Unieruchomił jego ręce i Thor stał, ledwie będąc w stanie oddychać, gdy zaciskał się wokół niego.

Wtem wąż odchylił się w tył i rozwarł szeroko paszczę, a Thor odwrócił twarz, czując na karku jego oddech i wiedząc, że gad za chwilę zatopi kły w jego gardle.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Romulus maszerował przez południową prowincję Kręgu, przyglądając się z radością dziesiątkom tysięcy swych ludzi, którzy przypuszczali szarżę na bramy Savarii.

Setki mieszkańców Kręgu napływały ku bramom miasta. Żołnierze trzymający straż opuścili ogromną żelazną bronę i zamknęli ją z hukiem za ostatnią osobą, po czym unieśli most zwodzony znad fosy. Romulus przyglądał się temu i uśmiechnął się szerzej.

Ci Savarianie naprawdę sądzili, że uda im się go odeprzeć. Nie mieli pojęcia, co zbliża się w ich kierunku.

Romulus usłyszał głośny ryk i podniósłszy głowę ujrzał wysoko nad sobą dziesiątki swych smoków. Latały, zataczających koła, oczekując jego rozkazu. Uniósł pięść i opuścił ją, a wtedy smoki rzuciły się w przód, mknąc ku horyzontowi. Ku Savarii.

Smoki przeleciały nad masywnymi murami, nad bramami miasta, jak gdyby w ogóle nie istniały, i zbliżywszy się do ziemi, plunęły ścianą ognia.

Krzyki tysięcy ludzi rozległy się za murami miasta, gdy bezradni mieszkańcy dziesiątkowani byli smoczym oddechem i płonęli żywcem, próbując uciec, choć nie mieli dokąd. Romulus obserwował przez żelazne bramy, jak rycerze nieskutecznie unosili miecze, a te topiły się im w dłoniach i spływały na nadgarstki, jak ich zbroje topiły się na nich, a oni krzyczeli, gdy płonęli żywcem.

Przed gniewem smoka nikt nie mógł się schronić. Wielkie mury, które miały zatrzymać najeźdźcę na zewnątrz, miast tego utworzyły zamkniętą przestrzeń i zatrzymały fale smoczych płomieni w środku. Nawet jeden smok mógłby obrócić miasto w perzynę. Tuzin sprowadził na nie zagładę.

Romulus odetchnął głęboko i czerpał ogromne zadowolenie z piekła, które rozpętało się przed nim. Na jego twarzy gościł szeroki uśmiech, gdy jechał powoli na swym wierzchowcu, czując żar bijący od fal ognia. Płomienie osmałały mury miasta, pełzły coraz wyżej i wyżej, wylewały się z okien, niby ogromny płonący kocioł, którego nie da się ugasić.

Ludzie Romulusa zatrzymali się na skraju fosy, nie mogąc zbliżyć się bardziej przez wzgląd na ogromny żar. Czekali i czekali, aż Romulus wreszcie uniósł dłoń i smoki zawróciły i zataczały znów koła nad jego głową.

Płomienie opadły wreszcie nieco, a wtedy ludzie Romulusa ruszyli naprzód i opuścili długi drewniany prowizoryczny most nad fosą. Pierwszy batalion przemknął po nim, trzymając długi żelazny taran, i uderzał w żelazną bronę, która wciąż stała w płomieniach. Wokoło posypały się iskry, a oni uderzali w nią raz po raz. Wreszcie ustąpiła, w obłoku płomieni i iskier, a za nią ukazała się ściana ognia.

Żołnierze czekali, a Romulus poprowadził powoli swego konia przed pierwszy szereg. Za nim, na jego wierzchowcu, siedziała jego zdobycz, jego nowa zabawka – Luanda – ze skrępowanymi nadgarstkami i dłońmi, zakneblowana, z kostkami przywiązanymi do siodła. Zmuszono ją, by jechała z nim. Mógł oczywiście zabić ją, lecz wolał przedłużyć jej mękę, zmusić ją, by była świadkiem tego, co zamierzał uczynić z jej ojczyzną. Było w niej coś nieposłusznego i złego, co zaczynało mu się podobać, i zastanawiał się nawet, czy nie byłaby odpowiednią kobietą dla niego.

Dotarłszy do skraju fosy, Romulus zatrzymał się i skinął nieznacznie głową. Setki jego ludzi, oczekujących rozkazu, wpadły do miasta galopem z głośnym krzykiem, przy dźwięku rogów, i niebawem miasto zapełniło się jego ludźmi. Z dumą patrzył, jak chorągiew Imperium zostaje zatknięta nad bramami.

Wiedział, że Savaria to jedno z wielkich miast Kręgu. A teraz każda osoba w środku w

ciągu kilku minut – każdy rycerz, żołnierz, chłop i pan – była martwa. A on nie stracił ani jednego żołnierza. Tak było całą drogę aż z Kanionu. Romulus powoli i dokładnie równał z ziemią każde miasto i wieś, na które natrafił, pragnąc zniszczenie Kręgu uczynić całkowitym.

Oczywiście Królewski Dwór wciąż był wolny, lecz Romulus nie chciał się spieszyć.

Pragnął uprzednio zniszczyć wszystko, tak, by nie pozostało nawet źdźbło trawy, mszcząc się za poprzednią porażkę. Dopadnie Gwendolyn i jej Królewski Dwór w swoim czasie. Pośle swe smoki i sprawi, że pożałuje. Lecz wpierw zniszczy każde miasto w jej ukochanym Kręgu.

Romulus odrzucił głowę w tył i ryknął triumfalnym śmiechem. Tak długo, jak zakłęcie się utrzyma, będzie niezniszczalny. I jak długo żyje, nic ani nikt na świecie go nie powstrzyma.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Gwendolyn leciała na grzbiecie Ralibara, trzymając się z całych sił, zastanawiając się, jak się tam znalazła. Ralibar leciał nierówno, jak nigdy wcześniej, na przemian wznosząc się i opadając, mknąc przez chmury, jak gdyby chciał, by zsiadła z jego grzbietu.

- Ralibarze, proszę, zwolnij! – zawołała.

Lecz Ralibar nie usłuchał. Jak gdyby stał się innym zwierzęciem, smokiem, którego nie znała. Wydał z siebie ryk – a był to przerażający dźwięk – i rzucił się w dół przez chmury, prosto na, jak spostrzegła Gwen, Królewski Dwór.

- Nie utrzymam się! – krzyknęła Gwen, przechylając się.

Lecz Ralibar leciał szybciej, bardziej pionowo i po chwili Gwen pisnęła, ześlizgując się.

Spadała w powietrzu, obracając się, lecąc w dół ku Królewskiemu Dworowi. A Ralibar, miast rzucić się za nią, by ją złapać, odleciał daleko.

Gwendolyn skuliła się, piszcząc, gdy ziemia zbliżała się w jej kierunku.



Uderzyła mocno o błotnistą ziemię, czując ból w każdej części ciała. Była jednakże żywa. Podniosła się powoli, zastanawiając się, jak mogła przeżyć. Rozejrzała się wokoło i ledwie rozpoznała Królewski Dwór. Był doszczętnie zniszczony, a ona leżała pośrodku niego, jako jedyna żywa.

Usłyszała płacz dziecka i obróciła się raptownie, natychmiast rozpoznając zawodzenie swego syna. Po przeciwnej stronie placu spostrzegła Guwayne'a. Leżał zupełnie sam, a jego łkanie niosło się aż po nieboskłon.

Gwen serce się krajało. Próbowwała podbiec do niego, lecz poczęła ślizgać się na błocie.

- Guwayne! – zawołała.

Biegła, potykając się, aż wreszcie dotarła do niego. Podniosła go i trzymała mocno, kołysząc płaczące dziecko. Nie potrafiła pojąć, jakim sposobem znalazł się tam, i to zupełnie sam.

Gwendolyn podniosła wzrok i przed sobą, pod wielką, łukowatą bramą miasta, ujrzała swego ojca. Króla MacGila. Jego nieruchoma twarz była zacięta i zimna. Utkwił w niej ponure spojrzenie.

- Córkó – zagrzmiął, a głos jego zdał jej się niezwykle odległy. – Opuść to miejsce.

Opuść je natychmiast.

Gwen uniosła płaczącego Guwayne'a w ramionach; miała zamiar odpowiedzieć, zapytać swego ojca, co tu robi, przed czym ją ostrzega, gdy wtem usłyszała trzepot skrzydeł. Wyciągnęła szyję i spojrzała ku niebu, i w końcu dojrzała smoka wynurzającego się spośród chmur. Z początku uradowała się, sądząc, że to Ralibar; wtem jednak z przerażeniem spostrzegła, że to nie on. Był to ohydny smok, żółtej barwy, którego nigdy wcześniej nie widziała, o długich, ostrych jak brzytwa zębiskach, łbie zbyt dużym w stosunku do ciała i skrzydłach pokrytych kolcami i cierniami.

Smok wygiął szyję, wrzasnął aż po nieboskłon, a następnie opuścił łeb i zionął ogniem wprost na nią. Powietrze przeszła ściana ognia i Gwen krzyczała i przyciskała dziecko do piersi, by ochronić je przed żarem. Chciała uniknąć płomieni, lecz choć próbowała usunąć się z drogi, czuła jak z wolna spalają ją żywcem.

Gwen obudziła się z krzykiem. Podniosła się na łożu, dysząc ciężko, rozglądając się wokoło, próbując ugasić płomień. Wskoczyła z łoża i minęła chwila, nim pojęła, iż to jedynie zły sen.

Gwen stała w komnacie w swym zamku, zrana potem, dysząc ciężko. Z wolna jej oddech uspokoił się. Spojrzała w stronę okna i spostrzegła pierwsze ze wschodzących słońc, które zalało pomieszczenie fioletem. Rozejrzała się i ujrzała Guwayne'a śpiącego spokojnie w swej kolebce przy jej łożu. Odetchnęła głęboko, gdy dotarło do niej, że wszystko jest w porządku.

Gwen przemierzyła komnatę, ochlapała twarz wodą, a następnie przeszła w stronę otwartego łukowatego okna. Wyjrzała przez nie, po takim śnie spodziewając się najgorszego.

Lecz w jej królestwie panował spokój. Cały jej dwór spał i nie dostrzegła najmniejszego nawet ruchu. Wszystko wskazywało na to, iż nie ma powodów, by się trwożyć.

Jednak gdy Gwen stała tak, jej sen wciąż nie dawał jej spokoju. Przeczuwała, że to, co ujrzała, były prawdziwe; przeczuwała, że było to ostrzeżenie, iż powinna opuścić to miejsce – i jej ludzie także. Musiała ich wyprowadzić. Nie mogła już dłużej zwlekać.

Gwendolyn ubrała się prędko, przemierzyła komnatę i gwałtownie otworzyła drzwi.

Strażnicy odwrócili się i spojrzeli na nią, stając na baczność.

- Pani – odezwał się jeden z nich.

Spojrzała na niego poważnie, jak królowa. Podjęła decyzję – bez względu na to, jakie będą jej konsekwencje.

- Niech zadmą w rogi – rozkazała. – Natychmiast.

W jej głosie rozbrzmiała władczość. Słudzy spojrzeli na nią, rozwierając oczy szeroko ze zdziwienia. Wykonali jednak jej rozkaz i od razu odbiegli, spiesząc by wykonać polecenie.

Gwen obróciła się, podniosła Guwayne'a i poczęła zbierać swe najcenniejsze przedmioty. Powiodła po komnacie spojrzeniem po raz ostatni, następnie podeszła do okna i ostatni raz wyjrzała na Królewski Dwór. Wiedziała, że nigdy już go nie ujrzy.

\*

Gwendolyn stała pośrodku dziedzińca Królewskiego Dworu we wczesnorannym słońcu, otoczona tysiącami swych poddanych, poruszonym, rozwścieczonym tłumem.

Obok niej stali Steffen, Aberthol i wszyscy jej doradcy wraz z jej braćmi, Godfreyem i Kendrickiem. Trwali u jej boku, wspierając swą królową, gdy wściekły tłum stał naprzeciw niej. Na obrzeżach Królewskiego Dworu ustawiły się setki jej żołnierzy.

Przyglądali się uważnie z bronią w ręku, gotowi na jedno jej skinienie podjąć działania względem tych, którzy nie przystaną na jej rozkaz.

Gdy rozbrzmiały rogi, jej lud zebrał się na dziedzińcu, wyprowadzony przez żołnierzy z domostw; rozwścieczony tłum stał teraz naprzeciw niej, z zapuchniętymi oczyma, żądając wyjaśnienia. Nie widziała nigdy, by jej ludzie byli na nią tak źli i nie podobało jej się to uczucie. Nie z nim nawykła łączyć bycie królową.

- Żądamy wyjaśnienia! – wrzasnął ktoś z tłumu i wszyscy zawtórowali mu, wściekli.
- Nie możesz nas ot tak zabierać z naszych domów! – wykrzyknął inny.
- Dlaczego chcesz nas stąd wyprowadzić? Nikt nas nie atakuje!
- Nie będę uciekał z domu, w którym się urodziłem, z najlepiej umocnionego miasta na świecie!
- Odrzeknij coś!

Tłum ponownie zakrzyknął z aprobatą. Gwendolyn zwróciła się do nich, czując ich nienawiść. Choć było to trudne, w głębi duszy wiedziała, że postępuje słusznie.

Gwen dała krok naprzód. Tłum ucichł i wszystkie oczy zwróciły się ku niej.

- Miałam sen – zawołała Gwen w stronę tłumu. – Sen o zagładzie zbliżającej się ku nam.
- Sen! – wrzasnął ktoś.

Tłum wybuchnął drwiącym śmiechem.

- Mamy opuścić ojczyznę i pozostawić całe nasze życie tutaj z powodu twych snów?

W tłumie rozległy się krzyki, a Gwendolyn, zakłopotana, poczuła, że do twarzy napływa jej krew.

- Gwendolyn jest waszą królową i będziecie traktować ją z należnym szacunkiem! – wrzasnął rozeźlony Steffen.

Gwendolyn położyła dłoń na przegubie jego dłoni, chcąc go uspokoić; doceniała jego wsparcie, lecz nie chciała, by bardziej jeszcze rozwścieczył tłum.

- Jeśli chcesz stąd odejść, opierając się na swoich snach – wykrzyknął jeden z nich. – Uczyń to! Znajdziemy sobie nowego władcę!

Tłum poparł go krzykiem.

- My nie odejdziemy! – zakrzyknął jeszcze inny.

W rozgorączkowanym tłumie rozległy się wrzaski.

Stojący obok niej Godfrey ruszył naprzód i stanął przed tłumem, machając rękoma.

- Gwendolyn zawsze była dobrą i sprawiedliwą królową! – wrzasnął. – Trwała przy was w znoju i dostatku. Teraz musicie się jej odwdzięczyć. Jeśli ma powód, by wierzyć, że powinniśmy opuścić te ziemie, musicie usłuchać!

- Nawet dobra królowa może podjąć złą decyzję! – zawołał ktoś w tłumie, a reszta poparła jego słowa krzykiem.

Gwen rozejrzała się po twarzach swych poddanych i dostrzegła, że na każdej jednej z nich maluje się złość, determinacja i być może trwoga. Żaden z nich nie chciał wyruszyć w nieznane. Rozumiała to.

- Rozumiem, co czujecie – krzyknęła Gwendolyn. – Lecz podjęłam tę decyzję nie tylko na podstawie snów, lecz także przepowiedni. Pradawnych przepowiedni, które przeczytałam. Znaków zwiastujących nadchodzące wydarzenia. Przepowiedni Argona.

Nie wierzę, by Królewski Dwór miał jeszcze długo ustać. Pragnę, byście byli bezpieczni, nim nadejdzie zniszczenie. Wiem, że trudno wam opuścić wasze domy. Ja także nie chcę opuszczać swego domu. Kocham Królewski Dwór. Jednak proszę was, byście mi zawierzyli. Rozumiem, że niełatwo wyruszyć w nieznane. Lecz będziemy tam bezpieczniejsi niż tutaj.

- Jak możemy ci zaufać, gdy nie widać żadnego zagrożenia? – wrzasnął jeden z nich, a tłum zgodził się z nim krzykiem.

- Nie odejdziemy stąd! – wrzasnął inny.

Gdy tłum krzyczał i wiwatował, Gwendolyn nie wierzyła własnym oczom. Czy tłum w istocie jest tak zmienny? Czy rzeczywiście w jednej chwili ją kocha, a w kolejnej pała

do niej nienawiścią?

Gwen przypomniała sobie coś, co rzekł jej niegdyś ojciec, coś czego wtedy nie pojęła. *Tłum będzie cię kochać i będzie cię nienawidzić. Nie pozwól się porwać żadnemu z tych uczuć.*

- Przykro mi – powiedziała Gwendolyn. – Ale jestem waszą przywódczynią i muszę podjąć najlepszą dla was decyzję. Jeśli nie wyruszyacie z własnej woli, moi żołnierze będą zmuszeni wyprowadzić was z miasta. Miasto zostanie zamknięte, a ludzie wyprowadzeni – nikt w nim nie pozostanie. Nie, gdy ja czuwam.

Tłum począł pohukiwać i gwizdać, a jeden z mężczyzn wyszedł naprzód i stanął przed Kendrickiem.

- Dlatego właśnie nie powinna rządzić nami kobieta – powiedział. – Kobieta zawiera swym ulotnym snom. Jesteś pierworodnym synem króla MacGila.

Wolelibyśmy, byś ty nas poprowadził.

Tłum za nim zawiwatował, a Gwen nie wierzyła własnym uszom. Kendrick poczerwieniał.

- To twoja szansa – mówił dalej mężczyzna. – Przejmij rządy nad MacGilami.

Srebrna Gwardia opowie się za tobą. Nie będziemy słuchać jej – lecz usłuchamy ciebie.

Gwendolyn przeniosła wzrok na Kendricka, zaniepokojona, zastanawiając się, jak się zachowa. Wiedziała, że nie popiera wyprowadzenia ludzi. To rzeczywiście była jego szansa.

W tłumie zaległa głucha cisza, aż wreszcie przerwał ją Kendrick.

- Popieram mą siostrę! – zagrział. – Zawsze będę honorowo służył mojej królowej – czy się z nią zgadzam, czy nie. Tego pragnąłby nasz ojciec. I tak nakazuje nasz kodeks honoru.

Tłum, zaskoczony i rozczarowany, wyrzucił w górę zaciśnięte pięści i pokrzykiwał.

- GWARDZIŚCI! – zagrział Kendrick. – Wasza królowa przemówiła. Wypełnijcie jej rozkaz! Natychmiast wyprowadźcie wszystkich!

Rozbrzmiał chór rogów, a tłum krzyczał i szarpał się, gdy tysiące Gwardzistów zacieśniły krąg wokół nich, spychając ich w kierunku bram. Tłum napierał na nich, stawiał opór. Jednakże Gwardziści mieli oręż, zbroje na sobie i byli elitarną siłą walczącą i tłum nie mógł się z nimi równać. Gwardziści spychali ich powoli i miarowo ku bramom miasta.

Z wolna, osoba za osobą, miasto pustoszało.

Gwen stała, przyglądając się. Podeszła do Kendricka, który również się przyglądał.

- Dziękuję ci, mój bracie – rzekła, kładąc dłoń na przegubie jego dłoni. – Nigdy tego nie zapomnę.

Odwrócił się ku niej i skinął głową, lecz oblicze jego było poważne.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, siostrze – powiedział.

Gwen spojrzała na niego. Sama czuła się rozdarta, patrząc na opuszczających miasto ludzi i gotując się, by do nich dołączyć.

- Ja także – odrzekła.

Ruszyła wraz z Kendrickiem, Godfreyem, Steffenem, Abertholem i swymi doradcami za tłumem przez bramy Królewskiego Dworu. Gwendolyn wiedziała, że tym razem opuszcza go na dobre.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Thor szarpał się, próbując wyrwać się z uścisku białego węża – lecz stwór był zbyt silny. Muskularne ciało gada oplotło się dokoła niego od kostek po pierś, ściskając go niby imadło. Odwrócił się teraz ku niemu z sykiem, gotując się, by zacisnąć obnażone kły na jego gardle.

Thor próbował rzucać się i szarpać, w jakikolwiek sposób wyrwać, lecz był bezradny. Mógł jedynie zamknąć oczy i odwrócić się, gotując się na nieuniknione ukąszenie w twarz.

Thor nie pojmował, co działo się tutaj, w tym miejscu. Wyobrażał sobie zawsze, że gdy

odnajdzie Krainę Druidów, zostanie dobrze przyjęty, powitany przez matkę.

Spodziewał się, że natychmiast odnajdzie w tym miejscu swój dom. Nie spodziewał się żadnej z rzeczy, które go spotkały.

Nie mógł uwierzyć, że spędzi swe ostatnie chwile tutaj, że zginie tutaj – niemal odnalazłszy swą matkę – zdany na łaskę tej okropnej bestii.

Gotując się na ukąszenie, Thor otworzył oczy. Zmusił się, by patrzeć na swe ostatnie sekundy na ziemi. Gdy wąż opuszczał swe zębiska, Thor spostrzegł jakiś ruch kątem oka. Ujrzał mężczyznę sporej postury, który przekroczył już może pięćdziesiąty rok życia, o długiej brodzie i zmierzwionych brązowych włosach – mężczyznę, którego Thor jakby rozpoznawał. Miał na sobie olśniewającą zbroję, zbroję króla, i spostrzegłszy Thora, ruszył naprzód. Wyciągnął odzianą w rękawicę dłoń i schwycił węża za gardło w powietrzu, zaledwie kilka cali od twarzy Thora.

Thor przyglądał się zdumiony, jak mężczyzna ściska węża coraz mocniej i mocniej, a gad syczy i próbuje złapać powietrze. Thor poczuł, jak mięśnie węża z wolna rozluźniają się dokoła jego ciała, gdy mężczyzna dusił go.

Gdy uścisk węża począł się rozluźniać, Thor oswobodził jedną rękę, uniósł miecz i przepołowił jego ciało.

Połowa węża owinięta wokół Thora opadła bezwładnie na ziemię, lecz druga połowa, którą trzymał mężczyzna, wciąż walczyła o życie. Mężczyzna ściskał go coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie ślepią węża wyszły na wierzch, a następnie zamknęły się i jego ciało opadło bezwładnie w dłoni mężczyzny.

Mężczyzna rzucił je na ziemię, a Thor z niedowierzaniem podniósł na niego wzrok.

Rozpoznał go; był to mężczyzna, którego kochał; za którym gorąco tęsknił; mężczyzna, którego nie spodziewał się już nigdy ujrzeć.

Król MacGil.

\*

Król MacGil upuścił głowę węża i spojrzał na Thora. Broda przysłaniała jego szeroki uśmiech. Dał krok naprzód i uściskał go, objął jak ojciec syna.

- Królu mój – rzekł Thor nad jego ramieniem, a MacGil odsunął się i spojrzał na niego.

- Thorgrinsonie – powiedział MacGil, zaciskając ciepłą dłoń na jego ramieniu, uśmiechając się do niego z aprobatą. – Rzekłem ci, że jeszcze się spotkamy.

Thorowi słowa uwięzły w gardle. Nie pojmował, co się dzieje. Czyżby umarł i trafił do nieba? Czy też może tracił rozum?

- Lecz... Jakim sposobem? – spytał Thor. – Jak się tu znaleźliście? Jesteście żywi?

Król MacGil uśmiechnął się i otoczył Thora ramieniem, odwrócił się i począł iść razem z nim, prowadząc go polną dróżką.

- Zawsze stawiałeś wiele pytań.

- Czy ja nie żyję? – zapytał Thor.

Król MacGil roześmiał się serdecznie i Thor uradował się, słysząc ten dźwięk.

Tęsknił bardzo za śmiechem króla; tak naprawdę aż do tego dnia nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo tęsknił za nim samym. Król MacGil, choć znał go tak krótko, był dla Thora w pewien sposób jak ojciec i ujrzawszy go poczuł, jak gdyby odzyskał ojca.

- Nie, chłopcze – odparł król MacGil, wciąż się śmiejąc. – Żyjesz. W zasadzie dopiero zacząłeś żyć. Teraz będziesz żył naprawdę.

- Ale... Przecież umarliście. Jakim cudem się tu znaleźliście?

- Nikt z nas nie umiera naprawdę – odrzekł MacGil. – Nie istnieję już w fizycznej rzeczywistości, to prawda, lecz żyję w innych. W Krainie Druidów granica pomiędzy żyjącymi i umarłymi jest cieńsza, mniej widoczna. Łatwiej ją przekroczyć. Twa matka posłała mnie tu, bym cię odnalazł. Bym poprowadził cię ku niej.

Na wzmiankę o swej matce Thor otworzył oczy szeroko z zaskoczenia i podniecenia.

- A zatem ona *istnieje* – powiedział.

MacGil uśmiechnął się.

- Jak najbardziej – westchnął. – Nie da się przemierzyć tej krainy bez przewodnika.

Ja będę twoim. Powinieneś być poczekać na mnie cierpliwie u bramy, aż po ciebie przyjdę. Nie znalazłbyś się wtedy w tych tarapatach. Cierpliwość jednak nigdy nie była



twoją mocną stroną, Thorgrinsonie. Dlatego właśnie cię Kocham! – rzekł ze śmiechem.

Szli ścieżką, a Thor próbował to wszystko objąć myślą.

- Wcale a wcale nie rozumiem tego miejsca – powiedział Thor. – Zdaje się tak znajome... a zarazem tak obce.

MacGil skinął głową.

- Kraina Druidów jest inna dla każdej osoby, która do niej wkracza – powiedział. – Dla mnie jest czym innym niż dla ciebie. Być może widzimy nawet dwie różne krainy.

Wiesz, Thorgrinsonie, wszystko, co tu widzisz, jest jedynie odzwierciedleniem twojej świadomości. Twych wspomnień, twych nadziei, potrzeb, chęci i obaw. Twych pragnień.

Możesz przemierzać te ziemie i ujrzeć swą rodzinną wieś; ujrzeć swą pierwszą miłość; każde miejsce, które było dla ciebie ważne; najważniejsze chwile twego życia, które rozegrają się przed tobą. Możesz sięgnąć ku swym najwspanialszym momentom, najwyższym ambicjom – lecz możesz także napotkać swe najmroczniejsze demony.

Dzięki temu Kraina Druidów jest najbezpieczniejszym i najprzyjemniejszym miejscem spośród wszystkich – a zarazem najmroczniejszym i najbardziej niebezpiecznym.

Wszystko zależy od ciebie. Od twego umysłu. Twych demonów. Tego, jak postrzegasz siebie. Jak postrzegasz świat. A nade wszystko, jak bardzo jesteś w stanie panować nad swym umysłem. Czy potrafisz odegnąć mroczną myśl? Utrwalić dobrą?

Thor, przytłoczony, słuchał uważnie, próbując to zrozumieć. Coś do niego dotarło, gdy słuchał słów króla.

- Wy – rzekł Thor. – Wy także jesteście odzwierciedleniem mego umysłu.

MacGil przytaknął, uśmiechając się.

- Kochałeś mnie – powiedział. – Byłem dla ciebie ważny. Byłem dla ciebie pewnego rodzaju nauczycielem.

- Gdy opuszczę to miejsce, znikniesz – rzekł Thor, zaczynając rozumieć, i posmutniał na tę myśl.

MacGil skinął głową.

- Gdy opuścisz to miejsce – *jeśli* kiedykolwiek je opuścisz – rzeczywiście, świat powróci do takiego, jakim go znasz. Lecz na razie jesteśmy tutaj. Prawdziwi i żywi jak nigdy. Cały twój umysł, cała twa świadomość rozpostarte są przed tobą. Czy nie widzisz, Thorgrinie – powiedział, otaczając go ramieniem. – Cała ta kraina jest odzwierciedleniem *ciebie*. To nauka panowania nad umysłem, Thorgrinsonie. Niektóre z twych najszcześniejszych chwil, niektóre z najpiękniejszych wspomnień pojawią się przed tobą w czasie tej wędrówki. Muszę cię jednak przestrzec: nie pozwól, by zawładnęły tobą mroczne myśli, nawet przez chwilę. Mroczne myśli przetaczają się przez Krainę Druidów niby nawałnice. Jeśli nie dowiesz się, jak je okiełznać, zniszczą cię.

Thor przełknął ślinę, podenerwowany, zaczynając rozumieć.

- Więc ta wieś, którą minąłem – zorientował się. – Moja rodzinna wieś. Ja ją stworzyłem. Mój umysł ją stworzył.

MacGil skinął głową.

- Było to ważne miejsce w twym życiu. Miejsce, w którym pragnąłeś czuć się mile widziany.

Do Thora dotarło coś jeszcze.

- I to kwietne pole, którym szedłem – powiedział. – Było w rzeczy samej miejscem, w którym po raz pierwszy umówiłem się z Gwendolyn. A ten biały wąż, którego widziałem...

Thor zamilkł, składając wszystko w całość. Zaczynało to mieć sens. W końcu zaczynał rozumieć. Miejsce to było znacznie potężniejsze, niż sądził. Bardziej niezwykle, bardziej obiecujące, niż kiedykolwiek sobie wyśnił. A zarazem bardziej przerażające.

Szli przez dłuższą chwilę w ciszy, aż coś dotarło do Thora.

- A moja matka? – zapytał. – Czy ona żyje? Czy jest prawdziwą osobą? Czy jedynie wytworem mojej nadziei i wyobraźni? Czy ona jest tutaj jedynie dlatego, że istnieje gdzieś głęboko w mej podświadomości? Dlatego, że zawsze pragnąłem, by istniała?

Dlatego, że potrzebuję jej? Jedynie dlatego, że marzyłem o wspinałym rodzicu?

Król MacGil milczał, a twarz jego pozbawiona była wyrazu. Szli dalej.

- Poszukujesz odpowiedzi ostatecznych – odezwał się. – Przekonasz się, że w Krainie

Druidów nie ma prawd absolutnych. Odpowiedzi odnajdziesz jedynie wewnątrz siebie. Jak bardzo potężny jesteś wewnątrz, tak potężny będzie świat przed tobą. Gotuj się, młody Thorgrinie, bowiem czeka cię nauka panowania nad najwspanialszą, najtrudniejszą do władania bronią ze wszystkich: własnym umysłem.

\*

Thor przemierzał Krainę Druidów od wielu godzin z MacGilem u boku. Śmiali się i żartowali, wspominając dawne czasy, łowy, na które wybierali się wspólnie, Królewski Dwór i chwilę, gdy Thor poznał córkę króla. Mówili o przyjęciu Thora przez MacGila do jego rodziny; mówili o bojach, rycerzach, honorze i męstwie. Mówili o zabójcy króla MacGila i zemście, która się dokonała. Mówili o polityce. Najwięcej jednak mówili o bojach. Obaj byli nieustraszonymi wojownikami i znakomicie rozumieli jeden drugiego.

Thor odnosił nawet wrażenie, że rozmawia sam ze sobą. Tak dobrze było toczyć znów rozmowę z królem MacGilem, iść obok niego. Thor czuł się oderwany od rzeczywistości, jak gdyby wędrował w nierealnej krainie, w śnie, z którego nie można się obudzić.

Mijali miejsca, które Thor – ku swej radości – rozpoznawał, miejsca, które zdały mu się znajome, miejsca z jego rodzinnej wsi, jego okolicy, sprzed Królewskiego Dworu.

Czuł się tam niezwykle bezpieczny. Idąc, jak przez mgłę wyczuwał, jak jego umysł tworzy te miejsca i trudno mu było rozdzielić te dwie rzeczy; Thor czuł, jak gdyby stał na rozstajnych drogach pomiędzy swym umysłem a rzeczywistością świata. Potęga jego umysłu napawała go lękiem. Skoro mógł stworzyć cokolwiek, w mgnieniu oka mógł wznieść najwspanialsze królestwa. Lecz jeśliby pozwolił sobie być słabym, oznaczało to, że w ledwie kilka chwil mógł stworzyć najmroczniejsze królestwa. Przerazało go to. Jak mógł zapełniać swój umysł jedynie dobrymi myślami?

Wspięli się na wzgórze i zatrzymali, patrząc w dal. Thor gwałtownie wciągnął powietrze, zachwycony widokiem. Ledwie był w stanie to pojąć: rozpościerał się przed nim Królewski Dwór. Była to idealna replika, tak prawdziwa, że Thor był pewien, że jest rzeczywisty. Wyglądał wspanialej niż kiedykolwiek. Tysiące rycerzy w lśniących zbrojach stały przed pradawnymi kamiennymi murami, przed broną, wzdłuż balustrad.

Było tam więcej żołnierzy, niż kiedykolwiek widział. Wspaniali wojownicy bronili wspaniałego miasta.

Król MacGil stanął przy nim i uśmiechnął się.

- Umysł twój to piękne miejsce, Thorgrinie – powiedział, rozglądając się i podziwiając widok. – Nigdy nie miałem tylu rycerzy w Królewskim Dworze. Zdaje się, że zwiększyliście ich liczbę!

Król MacGil odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

- Tak w zasadzie nie sędzę, bym kiedykolwiek widział tylu rycerzy naraz – dodał. – Promienie słoneczne odbite od ich zbroi oślepiają mnie. Zaprawdę, jesteś wojownikiem.

Thorowi trudno było uwierzyć, że to wszystko sprawka jego umysłu; wszystko zdawało się tak prawdziwe, tak doskonałe, bardziej prawdziwe niż wszystko, co kiedykolwiek widział.

Thor ruszył ścieżką z MacGilem, idealnie utrzymaną drogą, zmierzając ku bramom.

Gdy szli, kolejne tysiące rycerzy pojawiły się na drodze, ustawione wzdłuż jej brzegów, i stanęły na baczność. W oddali rozbrzmiały trąby.

Przekroczyli most nad fosą, przeszli pod broną i wkroczyli do Królewskiego Dworu.

Gdy przekraczali masywną, łukowatą kamienną bramę, jakaś postać czekała, by ich powitać, z uśmiechem i wyciągniętą ku nim dłonią.

Gwendolyn.

Thor rozpromienił się na jej widok. Jej długie, jasne włosy i przejrzyste błękitne oczy nigdy nie zdały mu się piękniejsze. Odziana była w królewską suknię, uśmiechała się i wyciągała ku niemu dłoń.

Thor pospieszył ku niej, objął ją, a ona nachyliła się i pocałowała go, przytulając mocno.

Następnie odwrócili się i ruszyli razem przez Króleski Dwór. Król MacGil zrównał się ze swą córką.

- Raduje mnie, że widzisz mą córkę w tak pięknym świetle – wyszeptał do niego król MacGil. – Ja widzę ją w taki sam sposób.

- Thorgrinsonie – wyszeptała Gwendolyn, oplatając rękę dokoła jego ręki, nachylając się i całując go w policzek. Wyczuwał miłość, jaką go darzyła i dodało mu to sił.

- Gwendolyn – powiedział, ujmując jej dłoń i trzymając ją mocno. Nagle coś mu się przypomniało. – Gdzie jest Guwayne?

Ledwie wypowiedział te słowa, a rozległ się płacz dziecka. Thor spojrział w bok i ujrzał swego syna w ramionach Gwendolyn. Trzymała go delikatnie, kołysząc, uśmiechając się.

Thor wyciągnął ręce i wziął chłopca, który skoczył mu w ramiona, większy i starszy, niż Thor pamiętał. Guwayne objął Thora, a on odwzajemnił uścisk.

- Tato – powiedział Guwayne do jego ucha.

Thor po raz pierwszy usłyszał, jak jego syn mówi. Zdało mu się to nierzeczywiste.

Nagle Gwendolyn i MacGil zatrzymali się, a Thor obrócił się, by przekonać się czemu. Gdy dojrzał go, także się zatrzymał.

Stał przed nimi mężczyzna, który wiele dla Thora znaczył: Argon. Odziany był w swą białą pelerynę i kaptur, w dłoni trzymał laskę, a utkwione w twarzy Thora oczy błyszczały. Oblicze jego pozbawione było wyrazu.

- Thorgrinsonie – rzekł Argon.

Thor wyciągnął ręce, chcąc oddać Guwayne'a Gwendolyn, lecz gdy opuścił wzrok, spostrzegł, że Guwayne'a tam nie było. Zniknął.

Spojrzął na Gwendolyn, lecz ujrzał, iż ona także zniknęła. Podobnie jak król MacGil.

Obróciwszy się ujrzał, że wszyscy – wszyscy rycerze, wszyscy ludzie, którzy jeszcze kilka chwil wcześniej zapełniali Królewski Dwór – zniknęli.

Miasto stało teraz opustoszałe. Znajdowali się w nim jedynie Thor i Argon, stali naprzeciw siebie w tym pustym miejscu.

- Nastal czas, by podjąć twe szkolenie – powiedział Argon. – Jedyne tutaj, w Krainie Druidów, możesz sięgnąć ku najwyższym poziomom swego istnienia; możesz począć czerpać z najgłębszych poziomów swych mocy. Jedyne tutaj możesz pojąć, co znaczy być tym, kim jesteś – co znaczy być druidem.

Thor ruszył za Argonem przez Królewski Dwór. Towarzyszyła im jedynie cisza i wycie wiatru. Wreszcie Thor odezwał się.

- Na czym polega bycie druidem? – zapytał.

- Jest się wszystkim i niczym. By być druidem, trzeba zapanować nad naturą i nad sobą. Trzeba połączyć kruchość ludzkiego istnienia z nieograniczoną mocą czerpaną z okiełznanej natury. Czy widzisz tego lwa, o tam, biegnącego na nas?

Thor obrócił i ujrzał pędzącego ku nim rozwścieżonego lwa. Serce zabiło mu szybciej z przestachu, gdyż zwierzę zbliżało się prędko, lecz Argon jedynie wyciągnął dłoń i lew zatrzymał się, skoczywszy i upadłszy u ich stóp, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Argon opuścił dłoń.

- Lew sprzeciwia ci się do czasu, aż pojmiesz jego naturę. Istnieje prąd, który przepływa przez wszystko. Tutaj, w Krainie Druidów, prąd ten nie kryje się pod powierzchnią. Tutaj prąd *jest* powierzchnią.

- Czuję to – powiedział Thor, zamykając oczy, oddychając głęboko, wyciągając dłonie ku wiatrowi. – Wyczuwam to. Jest jakby... gęstością w powietrzu... niemal niewyczuwalnym drżeniem, niby brzęczenie w powietrzu.

Argon skinął głową z aprobatą.

- Tak. Jak gdybyś przesuwiał dłoń po rozpędzonej wodzie. Jest wszędzie, a tutaj łatwiej jest go ujarzmić, zrozumieć. A zarazem łatwiej jest utracić nad nim panowanie.

Thor obrócił się i ujrzał pędzącego ku niemu z zawrotną prędkością ryczącego niedźwiedzia. W pierwszym odruchu Thor miał ochotę odwrócić się i uciec, lecz miast tego wyciągnął dłoń, wyczuwając energię tego miejsca, wiedząc, iż to tylko natura. Tylko energia. Energia, którą może ujarzmić.

Thor wyciągnął obie dłonie, czekając mimo lęku, zmuszając się do spokoju; w ostatniej chwili niedźwiedź rzucił się z rykiem, po czym zatrzymał się. Stał, wyciągając łapy w powietrzu i przebierając nimi, i wreszcie osunął się na ziemię i legł na grzbiecie.

Argon obrócił się i odszedł, a Thor, zdumiony, obrócił się i pospieszył, by go dogonić.

Szli i szli, aż minęli bramy Królewskiego Dworu, a Thor zastanawiał się, dokąd idą.

- Jeśli pragniesz poznać swą matkę – rzekł w końcu Argon. – Czeką cię długa wędrówka. Kraina Druidów nie jest krainą, którą można przemierzyć z łatwością.

Trzeba *zasłużyć*, by ją przemierzyć. Musi ci na to pozwolić. Jest to kraina, która

wymaga od ciebie, która cię sprawdza. Jedyne godni mogą ją przebyć. Twa matka znajduje się w najodleglejszym krańcu tej krainy. Będziesz musiał czerpać ze wszystkiego, co wiesz, by do niej dotrzeć. Musisz stać się silniejszy.

- Ale w jaki sposób? – zapytał Thor.

- Będziesz musiał nauczyć się pozbywać demonów, które kryją się w tobie.

Dawnych, bolesnych wspomnień. Każdego, kto traktował cię źle. Uczuć gniewu, nienawiści, pragnienia zemsty. Zranienia i bólu. Musisz nauczyć się wznieść ponad nie, pozostawić je w przeszłości. To ostateczny test wojownika – i druida.

Thor zmarszczył brwi, próbując zrozumieć. Ruszyli dalej.

- Lecz jak mam tego dokonać? – zapytał.

Argon zatrzymał się. Thor rozejrzał się i spostrzegł, że rozciągają się przed nimi bezkresne, osnute mrokiem ziemie. Błotnista ziemia poprzecinana była powalonymi drzewami, a ciemne chmury wiszące nad nimi dzięki swej barwie wtapiały się w krajobraz. Leniwa, kręta rzeka płynęła przez te ziemie, a jej wody miały kolor błota.

Thor natychmiast poznał, gdzie się znalazł.

- Zaświaty – powiedział Thorgrin, wspomniawszy Imperium. – Kraina Umarłych.

Argon skinął głową.

- Miejsce z twych najmroczniejszych snów – rzekł. – Bezkresne pustkowia. Leży ono wewnątrz ciebie. Mrok oraz światło. Musisz je przemierzyć. To pierwszy etap twej wędrówki.

Thor spojrział z przerażeniem na jałową ziemię. Słyszał paskudne, odległe krakanie wron i czuł wszechogarniający mrok osnuwający to miejsce. Zwrócił się ku Argonowi, by zadać mu kolejne pytanie – lecz z zaskoczeniem spostrzegł, że czarnoksiężnik już zniknął.

Thor odwrócił się w tył, by schronić się bezpiecznie w Królewskim Dworze, zastanawiając się, czy powinien zawrócić – lecz on także zniknął. Thor stał sam pośrodku niemającego kresu pustkowia, otoczony śmiercią, najmroczniejszymi zakątkami swej psychiki – nie mogąc udać się w kierunku innym, jak tylko przed siebie.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Reece biegł przez zacinający deszcz ze Starą, Matussem i Srogiem u boku. Potykając się, zmierzali w dół błotnistej zbocza w mroku nocy. Matus biegł, podtrzymując jedną ręką w pasie Sroga, który mocno utykał, a Reece ściskał dłoń Stary, nie z miłości, lecz by pomóc jej utrzymać równowagę i by samemu także ją utrzymać. Czuł się winny – choć jedynie trzymał jej dłoń – i myślał o Selese. Przez wzgląd na sytuację nie miał jednak wyboru.

Biegli wzdłuż brzegu klifu, ślizgając się na błocie, ostrożnie, by nie osunąć się w dół.

Reece wiedział, że morze nie znajduje się daleko, że fale huczą gdzieś w dole, a mimo tego ledwie był w stanie je dosłyszeć poprzez dźwięk tłukącego się deszczu. Reece wiedział, że natkną się tam na żołnierzy i że są najpewniej na misji samobójczej.

Wiedział, że liczne szeregi wyspiarzy będą na nich czekać na brzegu, zagradzając im każdą możliwą drogę ucieczki, unicestwiając marzenie o tym, że dotrą do floty jego siostry, która zakotwiczona była na morzu.

Reece nie dbał już o to. Przynajmniej mieli plan i zginą z honorem, a nie siedząc jak tchórze w jaskini. Jakaś część niego i tak zginęła razem z Selese i teraz walczył jedynie o przetrwanie.

Reece wiedział, że niedługo wstanie świt, a wtedy wyspiarze z pewnością wyruszą, by pomścić się na flocie jego siostry. Nawet jeśli nie dotrą bezpiecznie do okrętu, Reece wiedział, że muszą przynajmniej spróbować dotrzeć do floty po to, by ich ostrzec. Reece nie mógł pozwolić, by oni wszyscy zginęli, nie mógł mieć ich śmierci na sumieniu. Wszak to on zabił Tirusa i nieumyślnie sprowadził na nich wszystkich karę.

Klif wreszcie urywał się, opadając stromo. Potykając się, schodzili w dół, próbując dotrzeć do leżącego niżej brzegu, ślizgając się i podtrzymując wzajemnie. Reece dojrzał rozpościerający się w dole ocean i wreszcie znalazł się wystarczająco blisko, by dosłyszeć huk fal poprzez uderzenia deszczu.

Dotarli do niewielkiego występu skalnego i zatrzymali się, z trudnością łapiąc powietrze.

- Zostawcie mnie – wydyszał Srog, chwytając się pod bok. – Nie podołam z tą raną.
- Nikt nie zostaje z tyłu – upierał się Reece.



Reece z trudem chwycił powietrze. Spojrzawszy w dół, ujrzał setki ludzi Tirusa na brzegu, trzymających straż, rozglądających się za nimi, zagradzających im drogę ku okrętom, a okrętom przybicie do brzegu. Reece wiedział, że nie zginęli jeszcze tylko dzięki mrokowi nocy i zacinającemu deszczowi, wichrowi i mgle.

- Tam – odezwała się Stara, wskazując coś palcem.

Reece podążył wzrokiem za jej ręką i ujrzał kolejne tuziny ludzi Tirusa ściśnięte wewnątrz jaskini na brzegu, chroniące się przed wiatrem. Zanurzali długie strzały w kubłach, a następnie owijali ich groty pasem tkaniny, powoli, starannie, jedną po drugiej.

- Nafta – rzekła Stara. – Gotują się, by podpalić strzały. To długie strzały.

Przeznaczone na okręty. Zamierzają podpalić flotę.

Reece przypatrzył się, przerażony, i zdał sobie sprawę, że Stara ma rację. Poczuł ucisk w żołądku, gdy dotarło do niego, jak niewiele brakuje, by zniszczono okręty Gwendolyn.

- Te strzały nigdy nie doleczą w takim wietrze i deszczu – rzekł Matus.

- Nie muszą – odparła Stara. – Doleczą, jak tylko deszcz ustanie.

- Nie mamy wiele czasu – powiedział Srog. – Jak według was mamy przedrzeć się przez tych wszystkich mężczyzn? Jak zdołamy dotrzeć do okrętów królewskich?

Reece rozejrzał się po brzegu. Spojrzał w dal, na kołyszące się na wzburzonych wodach statki, zakotwiczone jakieś sto jardów od brzegu; marynarze z pewnością nie mieli pojęcia, co stało się na brzegu, nie mieli pojęcia, co ich czeka. Nie mógł pozwolić, by coś im się stało. Musiał także dotrzeć do nich, by samemu się uratować. Reece rozejrzał się wokoło, zastanawiając się, jak tego dokonać.

- Możemy dopłynąć – powiedział Reece.

Srog potrząsnął głową.

- Nie podołałbym – odrzekł.

- Żadne z nas by nie podołało – dodał Matus. – Te wody są bardziej wzburzone, niż się zdaje. Nie jesteś stąd; nie pojmujesz. Fale wznoszą się wściekle na otwartym morzu.

Utonęlibyśmy wszyscy. Wolę zginąć na suchym lądzie niż w wodzie.

- A te skały? – rzekła nagle Stara.

Odwrócili się wszyscy i powiedli wzrokiem w stronę, którą wskazywała palcem.

Próbując dojrzeć cokolwiek przez deszcz, ocierając wodę spływającą mu na oczy, Reece ujrzał utworzony ze skał pomost, wychodzący w ocean jakieś trzydzieści jardów.

- Jeśli dotrzemy na skraj tych skał, moje strzały sięgną – powiedziała Stara, unosząc łuk.

- Sięgną czego? – zapytał Matus.

- Najbliższego okrętu – powiedziała, jak gdyby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Reece obrzucił ją zdezorientowanym spojrzeniem.

- Dlaczegoż miałabyś wypuszczać strzały w nasze okręty?

Stara potrząsnęła głową, zniecierpliwiona.

- Nie rozumiesz – rzekła. – Możemy przywiązać sznur do strzały. Jeśli strzała utkwi w okręcie, zyskamy połączenie. Poprowadzi nas przez wodę. Będziemy mogli przyciągać się, płynąc do okrętu.

Reece spojrział na nią, będąc pod wrażeniem jej śmiałego planu. Był wystarczająco szalony, by mógł się powieść.

- A jak postąpią żołnierze królowej, gdy ujrzą strzałę ze sznurem lądującą w ich okręcie ciemną nocą? – spytał Srog. – Odetną ją. Albo zabiją nas. Skąd będą wiedzieli, że to my?

Reece przemyślał wszystko spieszenie.

- Znak MacGilów – powiedział. – Szpony sokoła. Każdy MacGil z Kręgu go rozpozna.

Trzy płonące strzały wypuszczone pionowo w powietrze. Jeśli wystrzelimy je najpierw, poznają, że to my, a nie wróg.

Srog spojrział na Reece'a sceptycznie.

- A jak płonące strzały miałyby nie zagasnąć w taką pogodę?

- Niech zgasną – odparł Reece. – Muszą jedynie przez kilka sekund utrzymać się w górze, wystarczająco długo, by dostrzegli je marynarze, nim deszcz zagasi płomień.

Srog pokręcił głową.

- To szalony pomysł – rzekł.

- A czy mamy lepszy? – spytał Reece.

Srog potrząsnął głową.

- Zatem postanowione – powiedział Reece.

- Ten sznur, tam – rzekła Stara, wskazując palcem. – Ten długi, zwinięty na plaży, nieopodal ludzi Tirusa. Jest wystarczająco długi. Właśnie takiego potrzebujemy.

Możemy przywiązać go do strzały i wtedy się uda.

- A jeśli spostrzegą nas ludzie twego brata? – zapytał Srog.

Stara wzruszyła ramionami.

- Wtedy zabiją nas nasi ludzie.

- A co z tymi dziesięcioma mężczyznami zagrażającymi drogę na pomost? – spytał Srog.

Reece spojrział w tamtą stronę i dostrzegł sześciu żołnierzy stojących przed nim.

Odwrócił się, wyrwał Starze łuk, wyciągnął strzałę, namierzył wysoko i wystrzelił.

Strzała przecięła powietrze, poszybowała czterdzieści jardów i utkwiała w gardle jednego z żołnierzy. Padł martwy.

- Widzę dziewięciu – powiedział Reece i puścił się biegiem.

\*

Pozostali podążyli za Reece'em, który puścił się biegiem w dół zbocza, potykając się i ślizgając, biegnąc ku pomostowi. Minęła chwila, nim ludzie Tirusa zorientowali się, że jeden z nich padł; niebawem jednak spostrzegli to i dobyli oręża, czujni, wypatrując

wroga w ciemności nocy.

Reece i reszta rzucili się odważnie ku zwięzieniu prowadzącemu do pomostu. Reece pomyślał, że jeśli dotrą tam wystarczająco szybko, może uda im się położyć trupem stojących na straży żołnierzy, zanim spostrzegą, co się dzieje. Co ważniejsze, może uda im się ich minąć.

- Atakujcie ich, lecz bez względu na wszystko nie zatrzymujcie się! – wrzasnął Reece do pozostałych. – Nie znaleźliśmy się tutaj, by z nimi walczyć, musimy jedynie ich minąć i dotrzeć na koniec pomostu.

Ciemność wczesnego poranka poczyniała się z wolna rozrzedzać. Biegli z wyciągniętymi mieczami i Reece z trudem chwycił powietrze, uderzając stopami o piasek, potykając się, zdając sobie sprawę, że biegnie być może po raz ostatni w życiu.

Żołnierze zagradzający drogę na pomost nie widzieli ich, gdyż ich uwaga skupiona była na martwym żołnierzu. Wszyscy byli skołowani tym, kto go zabił. Trzech żołnierzy pochyliło się nad nim, próbując przywrócić go do życia.

Robiąc to, popełnili jednak poważny błąd. Reece i Matus rzucili się naprzód z wyciągniętymi mieczami, gdy tylko do nich dobiegli, a Srog kuśtykał tuż za nimi ze swoim, i nim trzej żołnierze z odsłoniętymi bokami zorientowali się, dźgnęli każdego z nich w serce. Pozostało więc sześciu.

Stara, która deptała im po piętach, dobyła sztyletu i zaatakowała jednego od tyłu.

Poderżnęła mu gardło, a ten osunął się na ziemię; następnie obróciła się zwinnie i dźgnęła innego w serce. Pozostało zatem czterech.

Reece zdzielił wierzchnią stroną rękawicy jednego i kopnął drugiego, a Srog uderzył głową kolejnego. Matus uchylił się, gdy napastnik zamachnął się na jego głowę buzdyganem, następnie wyprostował się i ciął go w brzuch.

W ciągu kilku chwil żołnierze zagradzający pomost byli martwi, a Reece i pozostali wyrwali do przodu gwałtownie niby nawałnica.

Rozległ się dźwięk rogu i obróciwszy się Reece ujrzał, że pozostali ludzie Tirusa – były ich setki – spostrzegli ich. Przez plażę poniósł się donośny okrzyk bitewny.

Mężczyźni odwrócili się i ruszyli w ich kierunku.

- Sznur! – krzyknęła Stara.

Reece podbiegł do ogromnego zwoju leżącego nieopodal i chciał przerzucić go sobie przez ramię; był cięższy niż sądził. Matus podbiegł i pomógł mu i nieśli go razem, biegnąc po pomoście co sił w nogach. Stara biegła ostatnia. Zatrzymała się, obróciła, uniosła łuk i wystrzeliła jedną po drugiej sześć strzał, kładąc trupem sześciu znajdujących się najbliżej żołnierzy, których ciała zaległy u wejścia na pomost.

Z trudem chwytając powietrze, dotarli wreszcie na skraj. Dokoła nich rozbijały się fale, a piana rozbryzgiwała się na ich stopach. Reece stracił na chwilę równowagę, lecz Stara wyciągnęła rękę i podtrzymała go. Obok nich Srog i Matus spieszenie przywiązywali sznur do końca jednej ze strzał Stary.

- Wpierw ostrzeżenie! – zawołał Reece, przypominając Starze.

Stara wyciągnęła trzy strzały z zamkniętego kołczanu przywiązanego do jej pleców.

Owinięte były nasączoną naftą tkaniną, przygotowane uprzednio, jak mieli w zwyczaju robić wszyscy dobrzy łucznicy, w osobnym kołczanie. Dobyła stamtąd także suche krzemienie i uderzała nimi o siebie, wytwarzając iskry. Uderzała raz po raz, lecz iskry nie chciały utrzymać się w deszczu. Reece obrócił się i ujrzał ludzi Tirusa wbiegających na pomost. Wiedział, że nie mają wiele czasu.

- Dalej! – krzyknął Reece.

Wreszcie tkanina zajęła się i wszystkie trzy strzały zapłonęły.

- Mierz w górę! – powiedział Reece. – Niemal zupełnie nad głową! Nieco w stronę okrętów! Tak wygląda ten znak!

Stara wypuściła trzy płonące strzały, jedną po drugiej, które poleciały idealnie, blisko siebie. Utworzyły płonące sokole szpony wysoko na niebie, pradawny znak MacGilów, i każdy dobry dowódca obserwujący niebo by go spostrzegł. Reece z ulgą ujrzał, że strzały płonęły przez dobre pięć sekund, nim zagasły.

- Sznur! – powiedział Matus. – Strzelaj teraz!

Stara podniosła strzałę ze sznurem i obrała cel wysoko, na odległy okręt.

- Mamy jedną szansę – powiedział do niej Reece. – Nie miń celu.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Spostrzegł nagle, jak piękna jest jej twarz w deszczu, jak dumna, szlachetna – jak nieustraszona. Patrząc na nią, uspokajająco skinął głową.

- Uda ci się – rzekł. – Wierzę w ciebie.

Skinęła głową.

Obróciła się i wystrzeliła. Reece wstrzymał oddech i patrzyli wszyscy, jak strzała szybkuje wysoko w powietrzu, opadając łukiem. Reece wiedział, że jeśli spadnie za szybko, znajdą się na straconej pozycji.

Wreszcie, ku swemu zadowoleniu, Reece usłyszał daleki odgłos strzały wbijającej się w drewno i ujrzał, jak sznur sztywnieje. Wiedział, że Stara trafiła: strzała utkwiała w okręcie. Sznur rozwinął się, lecąc w powietrzu, i pozostało go jedynie kilka stóp, gdy wreszcie się zatrzymał.

Reece odwrócił się i ujrzał setki krzyczących ludzi Tirusa. Znajdowali się już bardzo blisko, dobywając mieczy i łuków, i prędko pokonywali dzielącą ich odległość.

- Woda nie będzie cieplejsza! – zawołał Matus, patrząc w dół na wzburzone morze.

Jak jeden mąż chwycili sznur i zeskoczyli ze skał w spienione morze.

Reece'a zaszokowało, jak zimna była woda; z trudem łapał oddech, gdy połknął haust słonej wody morskiej, kołysząc się w górę i dół w rozszalałym oceanie. Trzymał się sznura, nie puszczając za żadne skarby świata, i przyciągał się, stopa po stopie, w stronę odległego okrętu.

Reece przyciągał się mocno i szybko wraz z pozostałymi i poczęli przesuwać się w wodzie, z każdym pociągnięciem oddalając się od brzegu i przybliżając do okrętu.

Reece usłyszał stłumione krzyki ludzi Tirusa na brzegu za nimi, a następnie inny dźwięk, który go zaniepokoił – dźwięk wpadającej do wody strzały. Dźwięk rozległ się znów i jeszcze raz i obróciwszy się Reece ujrzał strzały przecinające powietrze, wpadające do wody po obu jego stronach. Zrozumiał, że ludzie Tirusa strzelają do nich.

Wtem Reece usłyszał krzyk tuż przy uchu. Stara. Odwrócił się i zobaczył, że w jej nodze, w udzie, utkwiała strzała. Obejrzał się za siebie i ujrzał w powietrzu dziesiątki strzał, przelatujących ze świstem obok ich głów.

Srog wrzasnął jako następny i Reece spostrzegł, że i on został trafiony.

Reece wiedział, że musi działać szybko. Wyciągnął rękę i chwycił Starę, oplatając jednym ramieniem młócaącą rękoma dziewczynę.

- Trzymaj się mnie mocno – powiedział.

Ustawił się tak, że znalazł się pomiędzy nią a brzegiem, osłaniając ją przed strzałami. Stara złapała się go, a on przyciągał sznur za nich dwoje.

Reece wrzasnął, gdyż nagle poczuł, jak strzała przeszywa bok jego uda. Ból był nie do zniesienia. Czerpał przynajmniej pocieszenie z faktu, że gdyby nie znalazł się tam, strzała trafiłaby Starę.

Coraz więcej strzał latało obok nich i Reece zastanawiał się, jak długo jeszcze przetrwają, ile czasu upłynie, nim któraś ze strzał okaże się śmiertelna. Przyciągał się z całych sił, zdwajając tempo. Reece wiedział, że znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji; jeśli niebawem nie nadejdzie pomoc, wszyscy zginą.

Reece usłyszał inny odgłos, odgłos strzały szybującej nad jego głową – lecz tym razem z innej strony. Podniósł wzrok i z zaskoczeniem spostrzegł strzały lecące wysoko nad jego głową w kierunku brzegu, wypuszczane z okrętu królewskiego. Z początku Reece skulił się, sądząc, że ludzie królowej mierzą w niego. Po chwili jednak, gdy wysoko nad głową widział coraz więcej strzał i gdy słyszał krzyki ludzi Tirusa, zrozumiał: ludzie królowej przychodzili im z pomocą.

Setki strzał przemknęły nagle nad nimi z okrętu królewskiego, zabijając ludzi Tirusa, którzy strzelali w ich kierunku. Niebawem strzały z brzegu przestały nadlatywać.

Gdy zagrożenie ustało, poczęli przyciągać się coraz mocniej i mocniej w niespokojnym morzu. Niebawem Reece poczuł szarpnięcie i zrozumiał, że to ludzie królowej wciągają ich. Tuziny marynarzy chwyciły sznur i przyciągały mocno. Wkrótce przemieszczali się coraz szybciej w kierunku okrętu.

Kołysząc się desperacko pośród fal, próbując złapać powietrze, ranieni, dotarli do okrętu. Ktoś wyciągnął rękę w stronę Reece'a, a gdy ten schwycił ją i spojrział w górę, ujrzał jednego ze swoich, MacGila z ziem głównych, chcącego mu pomóc.

Marynarz spojrział w dół i uśmiechnął się.

- Radzi jesteście, żeście dołączyli do nas – powiedział.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

Romulus przewodził, jadąc na czele swej milionowej armii. Wspięli się właśnie na ostatnie wzniesienie przed Królewskim Dworem. Jego koń stanął na szczycie, Luanda siedziała spętana za nim, a przed nim rozpostarł się widok, przez który w sercu jego wezbrała niespokojna ekscytacja.

Romulusa skołowało jednak to, co ujrzał. Spodziewał się zobaczyć miasto pełne ludzi, spodziewał się zaskoczyć swego dotąd niepokonanego wroga, Gwendolyn. Sądził, że ujrzy wszystkich jej ludzi, Srebrną Gwardię, ostatni bastion siły w Kręgu, dogodnie skupiony w jednym miejscu, w którym będzie mógł ich rozgromić za pomocą swych smoków. Wyczekiwał tej chwili, przeżywał ją w myślach, gotując się, by pławić się w kulminacyjnej chwili swego zwycięstwa.

Tymczasem to, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie. Z miejsca, w którym się zatrzymał, mógł wejrzeć przez bramy do Królewskiego Dworu. Nie mógł się z tym pogodzić: miasto było puste.

Gwendolyn zbiegła. Jakimś sposobem dowiedziała się, że nadchodzi, choć nie wiedział jakim. Raz jeszcze okazała się sprytniejsza.

- To niemożliwe – rzekł głośno Romulus, nie rozumiejąc. Dokąd mogła się udać?

Skąd mogła wiedzieć, że nadchodzi? Romulus dbał o to, by zniszczyć każdego, kogo spotkał na swej drodze – niemożliwe, by mógł do niej dotrzeć jakiś posłaniec. Nawet smokom rozkazał lecieć z tyłu, by nie usłyszeli ich ryków i nie ujrzeli spustoszenia, jakie sieją.

Jednak mimo jego przygotowań, jego starannie ułożonych planów, jakimś cudem Gwendolyn dowiedziała się. Jak zdołała wyprowadzić całe miasto w tak krótkim czasie?

Jego twarz zapłonęła z gniewu. Odebrała mu jego zwycięstwo.

Najbardziej frapowało go jednak pytanie, dokąd też się udali? Terytorium Kręgu było ograniczone i mogli się skryć jedynie w jego granicach.

Rozwścieczony Romulus spiął konia i ruszył w dół dobrze utrzymaną drogą, prosto ku rozwartym szeroko bramom Królewskiego Dworu – pozostawionym rozwartymi jak gdyby po to, by go udręczyć. Wszyscy jego ludzie ruszyli za nim, a Luanda wciąż siedziała spętana za nim na jego wierzchowcu. Wjechali prosto do wspaniałego miasta.

Romulus ledwie był w stanie powściągnąć swą wściekłość; odebrano mu chwilę największej przyjemności. Marzył, że sam zniszczy te bramy, że ukatrupi każdego na



swej drodze, że podłoży ogień pod to miejsce i będzie radował się okrzykami bólu.

Teraz jednak nie mógł zrobić nic, jedynie wjechać do środka.

Wcale nie czuł, by odniósł zwycięstwo. Czuł, że poniósł porażkę. Połowę przyjemności w zdobywaniu miasta stanowi zadawanie bólu, tortury, zniszczenia. Nie, to wcale a wcale nie było zwycięstwo.

Ludzie Romulusa wiwatowali, wjeżdżając do miasta, a ich krzyki rozwścieczyły go jeszcze bardziej; cóż to za głupcy, radują się ze zwycięstwa, którego nawet nie odnieśli.

Romulus nie mógł już dłużej tego znieść.

Zeskoczył z konia, szarpnięciem ściągając Luandę ze sobą, ruszył szybkim krokiem ku najbliższemu stojącemu żołnierzowi, dobył miecza i ściał mu głowę. Następnie ruszył naprzód i ściał kolejnego, potem jeszcze jednego, i jeszcze.

Wreszcie jego żołnierze pojęli. Przestali się radować i ucichli, odsuwając się, by mógł przejść. Ustawili się w szeregu na baczność, oczekując jego rozkazu, trzęsąc się ze strachu. Nad dziedzińcem miasta, jeszcze kilka chwil wcześniej wypełnionym radością, teraz zawisła atmosfera śmierci.

Romulus stanął pomiędzy swymi ludźmi, którzy rozsunęli się, tworząc wokoło niego krąg, i zagrzmiął:

- Nie mamy czego świętować, głupcy! Wręcz przeciwnie, powinniście się wstydić.

Przechytrzyła was królowa- *młódka*. Wymknęła się nam, ocaliła przed nami swój lud.

Czy to powód, by się radować?

Jego ludzie stali, nie poruszając najmniejszym choćby mięśniami, a Romulus kroczył wzdłuż szeregów, rozważając, czy zabić jeszcze któregoś spośród nich. Musiał w jakiś sposób dać ujście swej wściekłości. Ani jeden z nich się nie poruszył; nazbyt dobrze go znali.

Wsparkłszy ręce na biodrach, Romulus odwrócił się i przyjrzał murom, przyjrzał wszystkiemu, licząc, że spostrzeże kogoś, ślad jakiegokolwiek życia. Tak się jednak nie stało. Dokąd też mogli się udać?

Przenikliwy ryk przeszył powietrze, a zaraz za nim dał się słyszeć trzepot skrzydeł;

odgłos stawał się coraz głośniejszy i wkrótce nad głową Romulusa pojawiły się dziesiątki jego smoków. Zataczały koła, rozwścieczone do granic możliwości. Ich wielkie szpony zwieszały się pod nimi, gdy obniżały lot i wznosiły się, kołując raz po raz, jak gdyby zamierzały ziać ogniem na nich wszystkich. Romulus wyczuwał, iż są wściekłe, gdyż nie poląła się krew. Podzielał tę wściekłość.

Cóż to ma być za zwycięstwo bez śmierci i zniszczenia? Cóż to ma być za zwycięstwo, gdy Gwendolyn żyje, gdy nie została zmiażdżona pod jego stopami, a wszyscy jej ludzie rozniesieni w proch?

Romulus zastanawiał się, gdzie może być Gwendolyn i nagle coś przyszło mu do głowy. Któż inny mógłby wiedzieć, gdzie podziła się ta przebiegła dziewczucha, jak nie jedna spośród nich?

Romulus obejrzał się na Luandę; stała kilka stóp dalej, zakneblowana. Próbowwała wyrwać się z więzów, które krępowały jej nadgarstki i kostki. Romulus ruszył szybkim krokiem naprzód i uniósł nóż, a Luanda rozwarła oczy szeroko ze strachu, gdy się do niej zbliżył.

On jednak wyciągnął rękę i rozciął krępujące ją sznury, także knebel.

- Gdzie twoja siostra? – zapytał Romulus.

Luanda, uwolniona z więzów, spojrzała na niego gniewnie, rozcierając przeguby dłoni.

- A niby skąd ja mam to wiedzieć? – powiedziała. – Kazałeś mnie związać jak zwierzę. Ty nikczemniku.

Luanda wyciągnęła rękę i zdzieliła go w twarz, a odgłos ten rozszedł się echem przed wszystkimi jego ludźmi. W pierwszym odruchu Romulus chciał uderzyć ją pięścią, i to mocniej niż ona jego. Powstrzymał się jednak. Uderzenie było przyjemne, odwróciło jego uwagę od mrocznych myśli. Podziwiał też jej wybuchowość, to, że patrzyła na niego z tak ogromną nienawiścią. Tak naprawdę dzięki niej uśmiechnął się: uwielbiał widzieć ludzi równie pełnych gniewu, co on.

- Rzeknij mi, gdzie jest – powtórzył powoli. – Znasz ją. Znasz to miejsce. Dlaczego stąd odeszła? Dokąd się udała?

Luanda wsparła ręce na biodrach i rozejrzała się po Królewskim Dworze, jak gdyby zastanawiając się.

- A gdybym wiedziała – powiedziała. – Dlaczego miałabym ci to wyjawić?

Romulus wpatrywał się w nią, a jego oblicze spochmurniało. Wiedział jednak, że jej potrzebuje i zmusił się, by przybrać swój najbardziej uwodzicielski ton.

Dał krok w jej kierunku i uśmiechnął się, unosząc jedną dłoń i gładząc jej włosy.

- Dlatego, że uczynię cię moją królową – rzekł cicho gardłowym głosem. – Będiesz najpotężniejszą kobietą w Imperium.

Spodziewał się, że zasypie go zachwytem i podziękowaniami; lecz Luanda zaskoczyła go: miast tego prychnęła śmiechem.

- Niczego nie pragnęłabym mniej – syknęła. – Prędzej umrę.

Obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- Dam ci zatem śmierć – powiedział. – Lub cokolwiek, czego pragniesz. Jeśli nie życzysz sobie zostać moją królową, rzeknij mi po prostu, czego pragniesz – co by to nie było – a to otrzymasz.

Luanda patrzyła na niego długo i intensywnie, jak gdyby go oceniała, jak gdyby namyślała się. Wreszcie zmrużyła oczy.

- Pragnę – rzekła powoli. – Być osobą, która zada śmierć mej siostrze. Chcę, by została pojmana żywa. Chcę, by doprowadzono ją do mnie – do mnie osobiście – by błagała o litość.

Romulus zlustrował ją z góry do dołu, zaszokowany jej odpowiedzią. Przypominała go bardziej, niż sądził. Po raz pierwszy wzbudziła jego podziw.

Romulus uśmiechnął się szeroko. Być może i tak uczyni z niej swą królową – czy będzie jej się to podobało, czy nie.

- Zgoda – powiedział.

Luanda postąpiła kilka kroków naprzód, zwrócona do niego plecami, i przyjrzała się bramom, dziedzińcowi, ziemi, zdając się zastanawiać.

- Jeśli dobrze znam mą siostrę – rzekła. – To zaplanowała drogę ucieczki. Zawsze planuje naprzód. Planuje wszystko. I jest znacznie sprytniejsza niż ty. Gdyby chciała ocalić swój lud, nie wyruszyłaby w inne miejsce w Kręgu – założyłaby, że w końcu ją odnajdziesz. Zatem dokądkolwiek się udała, jest to miejsce poza granicami Kręgu. Po drugiej stronie Kanionu. Najpewniej po drugiej stronie morza. Prawdopodobnie jej

okręty stawiają żagle w tej właśnie chwili.

Romulus rozważał jej słowa, które skołowały go. Gdy je wypowiedziała, natychmiast wiedział, że ma rację. Gwendolyn w istocie *postąpiłaby* w taki sposób. Nie wyprowadzałaby swego ludu po to, by pozwolić się odnaleźć w Kręgu. Jakże był głupi.

Spojrzał na Luandę z zupełnie nowym szacunkiem. Pojął, że jeśli chce zatrzymać Gwendolyn, pozostało mu niewiele czasu.

Romulus odchylił się w tył, wyciągnął szyję ku nieboskłonowi i uniósł dłonie.

- SMOKI! – wrzasnął. – NAD KANION!

Smoki ryknęły chóralnie, gdy Romulus wydał im rozkaz. Jego ludzie nie zdołają dotrzeć do przejścia nad Kanionem na czas, by ją zatrzymać, ani do morza – lecz smoki tak. Mógł posłać je przed nimi, niby skrzydlatą armię, by dopadły Gwendolyn, nim on do niej dotrze.

Pozbawi go to niejakej satysfakcji.

Lecz lepszy był to sposób niż żaden.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Erec otworzył oczy, przebudzony ze snu łagodnym kołysaniem. Skołowany, rozejrzał się wokoło, próbując zorientować się, gdzie jest. Przez te wszystkie lata jako wojownik nigdy nie pozwolił sobie usnąć, gdy postanawiał czuwać – szczególnie w nieznanym mu otoczeniu. Poczł się wielce zdezorientowany, gdy przebudził się i nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje.

Zamrugł i spostrzegł, że leży na plecach w niewielkiej łodzi, długiej może na dwadzieścia stóp, z prowizorycznym, płóciennym żaglem zaczepionym na maszcie. Łódź unosiła się delikatnie na rozkołysanych falach oceanu, posyłając ich w górę i w dół, jak gdyby kołysała ich do snu.

Erec podniósł wzrok na niebo nad nimi i zachwycił się jego pięknem. Spojrzał w górę i hen, daleko jak okiem sięgnąć ujrzał czyste niebo, pod którym cały świat budził się do

życia. Świt obrzucał wszystko szerokimi pasami różu i fioletu. Ciepła bryza musnęła jego twarz i Erec odetchnął głęboko, ukojony oceanicznym powietrzem i miękkimi barwami świata wokoło. Nie zaznał nigdy spokojniejszej chwili i pojął już, dlaczego usnął.

Erec opuścił wzrok na postać leżącą w jego ramionach i zrozumiał, iż istniał jeszcze większy powód jego spokoju: Alistair. Erec poczuł ciężar jej ciała jeszcze zanim ją zobaczył. Spojrzał na jej długie, jasne włosy, sięgające talii, jej piękny profil, idealnie wyrzeźbioną twarz, przymknięte powieki. Spała spokojnie, niby anioł, na jego piersi.

Leżąc na plecach z Alistair w ramionach i rozpostartym przed nimi całym światem Erec czuł ukojenie, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Miał wrażenie, że cały wszechświat został stworzony jedynie dla nich dwojga.

Erec wrócił pamięcią do wydarzeń minionej nocy i serce zabiło mu gwałtownie, gdy przypomniał sobie, że został pojmany przez tych najemników, a Alistair niemal zaatakowana. Wezbrało w nim poczucie winy za to, że pozwolił się tak zaskoczyć, że nie był w stanie jej obronić. Przypomniał sobie moce Alistair, to, jak przyzywała sztorm i potwora i strach w jego myślach ustąpił miejscu zdumieniu. Utkwił spojrzenie w jej anielskiej twarzy. Czuł bijącą od niej potężną energię i wiedział, że Alistair pochodzi po części z innego świata. Zamyślił się nad pokładami mocy, które w niej krążyły. Wiedział, że są ogromne. Zarazem jednak – być może – nieprzewidywalne.

Choć Erec darzył ją podziwem, być może także – musiał to przyznać – odrobinę się jej lękał. Cóż jej moce zmieniają pomiędzy nimi? W ich wspólnym życiu? W ich dzieciach, które jeszcze się nie narodziły? Erec pomyślał o tym, jak potężny jest Thorgrin. Czy zatem synowie Ereca będą równie potężni? A jego córki? I czy Alistair będzie w stanie kochać go i szanować, choć nie posiada takich mocy jak ona?

I myśl, która najbardziej mąciła mu w głowie: co jeśli jej moce doprowadzą w jakiś sposób do jej śmierci? Czy przeznaczone jej jest żyć krócej?

Erec przyjrzał się jej twarzy i poczuł, że ogarnia go miłość i wdzięczność względem niej i modlił się, by żyła wiecznie. Niecierpliwie wyczekiwał, aż przedstawi ją swym ludziom, aż nastąpią ich zaślubiny. Radował się z jej towarzystwa i był podekscytowany, że przedstawi ją swej rodzinie. Uczucia te przyćmiły nawet żal spowodowany nadchodzącą śmiercią jego ojca.

Erec odsunął Alistair delikatnie od swej piersi, pragnąc przekonać się, gdzie się znajdują. Przyklęknął na rozkołysanej łodzi, a następnie wstał, próbując utrzymać równowagę i się nie przewrócić. Stał pośrodku łodzi i spojrzał w dal, w horyzont.

Jego serce wezbrało podnieceniem.

Wyspy Południowe leżały przed nimi, tak piękne i wspaniałe, jakimi Erec zapamiętał je jako chłopiec. Nierówne klify otaczające wyspę wyrastały z oceanu niby żółtawe dzieła sztuki, przysłonięte lekką mgłą. Słońce rzucało promienie prosto na wyspy, i to tak mocno, że znane były jako słoneczne wyspy. Zdawały się świecić pośrodku ciemnego oceanu, niby wielkie kule światła pośród ciemności.

Erec wyczuł obok siebie jakiś ruch, poczuł, że łódź nieznacznie się porusza i obróciwszy się ujrzał stojącą obok Alistair. Uśmiechała się. Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń, i razem spojrzeli na wyspy.

- Jednego dnia będziesz ich królową – powiedział. – Będziemy rządzić tymi ziemiami wspólnie.

- Jeśli tylko będziemy tam razem – odparła Alistair. – Pójdę z tobą choćby na kraniec świata.

Serce Ereca biło niespokojnie, a każda fala przybliżała ich do wysp. Czy jego rodzina wyjdzie, by go powitać? Jak przyjmą Alistair? Jak będzie się czuł, powracając do miejsca, którego nie widział od lat dziecięcych?

Byli coraz bliżej i bliżej, a on zastanawiał się: czy jest to to samo miejsce, które niegdyś znał i kochał?

\*

Erec rozglądał się po brzegu z radością, gdy ich łódź uderzyła o piasek. Oczekiwały ich setki mieszkańców Wysp Południowych, wznoszących wiwaty na ich przybycie. Jego ludzie rozciągali się hen, daleko jak okiem sięgnąć, i witali ich hucznie, jak króla i królową. Tuziny ludzi pospieszyły naprzód, chwyciły za brzeg łodzi i wciągnęły ją na piasek, a Erec zeskoczył na ziemię i wyciągnął rękę do Alistair. Wsparła się o nią i zeszła na piasek.

Wtem wokoło rozległy się głośnie wiwaty i Erec rozejrzał się, przepełniony dumą, że jego ludzie witają go tak radośnie, i że jest u boku Alistair. Jedna osoba po drugiej przeciskała się do przodu, by go uścisnąć i ucałować dłoń Alistair, a Erec przyglądał się twarzom, usiłując rozpoznać kogokolwiek ze swego dzieciństwa. Wszystko zdało mu się niewyraźną plamą.

Erec zapomniał, jak ciepli i przyjaźni są mieszkańcy Wysp Południowych, lud, którego serdeczność i gościnność były legendarne, którzy – jak podaje legenda – zostali

stworzeni przez słońce. Szczodrze rozdawali uśmiechy, śmiali się, obejmowali i klepali po plecach; lecz ich dobroć nigdy nie była mylona ze słabością, gdyż byli także legendarnymi wojownikami. Wyspa słynęła z silnych, dumnych i szlachetnych wojów, jednych spośród najbardziej zręcznych we wszystkich krajach. Taki był lud Ereca.

Gdy odwzajemniał uściski, z oczu Ereca płynęły łzy i dotarło do niego, jak bardzo tęsknił za ojczyzną, za swymi ludźmi, miejscem, w którym spędził kształtujące go lata, miejscem, o którym wciąż często śnił. Poczł się znakomicie, gdy postawił stopę na ojczystej ziemi, gdy znalazł się na powrót w domu, gdzie był kochany. Nie był pewien, czy jego lud będzie go w ogóle pamiętał, a oto witał go niczym powracającego bohatera.

Serce Ereca wezbrało radością także gdy ujrzał, z jaką serdecznością witają Alistair, że traktują ją już jak swoją, jak swą królową. Obdarzyli ją tą samą miłością i troskliwością, jakie zachowali dla Ereca i za to Erec był im dozgonnie wdzięczny.

Przez wszystkie lata spędzone w Kręgu, od dnia, w którym ojciec posłał go tam jako chłopca, by szkolił się pod opieką króla MacGila i jego Srebrnej Gwardii, Erec traktował Krąg jak swój dom. Król MacGil stał się mu ojcem, a Gwardziści – braćmi. Nie wracał myślami zbyt często do Wypu Południowych, gdyż nie sądził, że kiedykolwiek tam powróci. To Krąg był jego domem.

A jednak teraz, gdy znów się tu znalazł, Erec poczuł, że zalewa go fala dawnych wrażeń, wspomnień, uczuć i zdał sobie sprawę, że to miejsce także jest jego domem.

Jego pierwszym domem. Miejsce, któremu winien był równą lojalność, co Kręgowi. Byli to wszak jego ludzie, jego krew. To tutaj przyszedł na świat i dorastał, nim został posłany do Kręgu, by stać się wielkim wojownikiem.

Osiągnął, co zamierzył dla niego jego ojciec – stał się najświetniejszym wojownikiem spośród wszystkich – i przyniósł swemu ludowi chlubę. Pojął, że winien teraz spłacić zaciągnięty wobec ojca – i ludu – dług. Nastał czas, by im służyć. Wzywał go obowiązek i nadszedł czas nie tylko na to, by spotkać się z umierającym ojcem, lecz także by przyjąć rolę przeznaczoną mu od dnia narodzin: objąć we władanie Wyspy Południowe. Wiedział, że tego zażądają jego ludzie, tego zażąda jego ojciec – czy mu się to podoba, czy nie – a on gotów był służyć. Z Alistair u boku jako królową, nie mógłby sobie wyśnić lepszego powrotu.

- Bracie mój – dobiegł go głos.

Erec obrócił się, uradowany, że słyszy znajomy głos. Ucieszony i zaskoczony, ujrzał przed sobą swego młodszego brata, Stroma, uśmiechającego się szeroko.

- Spodziewałem się, że przybędziesz na okręcie wspanialszym niż ten – dodał Strom ze śmiechem, postąpił naprzód i objął go.

Erec uściskał go, po czym odsunął się i zlustrował go od góry do dołu: zaszokował go widok jego młodszego brata, teraz, tak wiele lat później, dorosłego już mężczyzny, postury niemal tak wielkiej jak on, muskularnego. Twarz jego była obliczem zahartowanego w bojach wojownika, takiego, który sprawdził się w bitwie. Był teraz mężczyzną.

- Stromie – powiedział Erec, a oczy jego błyszczały z aprobatą. Tak dobrze było go znów ujrzeć.

Strom także zlustrował Ereca z góry do dołu, oceniając go. Pokręcił głową.

- Byłem pewien, że urosłem wystarczająco i jestem wyższy od ciebie! Sukinkot!

Brakło mi tylko cala! – zaśmiał się Strom, ściskając ramię Ereca. – Wygląda na to, że przynajmniej jestem większy niż ty.

Erec potrząsnął głową. Taki właśnie był jego brat.

- Ani o krztynę się nie zmieniłeś – powiedział. – Wciąż próbujesz być lepszy niż ja.

- Jak to „próbujesz”? – rzekł Strom. – *Udaje mi się*. Udowodnię ci to później, gdy staniemy do walki.

Strom roześmiał się serdecznie, a Erec wiedział, że jego młodszy brat mówi poważnie. Erec także się zaśmiał, zadziwiony tym, jak szybko powrócili do swych dawnych relacji.

Erec kochał swego młodszego brata i nigdy nie czuł się jego rywalem ani nie był zazdrosny. Strom jednak nie podzielał tego punktu widzenia. Dla swego młodszego brata Erec był zawsze tym, którego należało pokonać, celem, który trzeba było przeskoczyć; Erec mógłby przysiąc, że Strom poświęcił swe życie, by zwyciężyć go w czym tylko mógł.

Erec zbył jego słowa śmiechem, lecz dla Stroma była to sprawa śmiertelnej wagi.

Erec poznał wielu ludzi, lecz nigdy nie natknął się na bardziej zaciętą rywalizację pomiędzy rodzeństwem – mimo tego, że była jednostronna. Jego stosunki ze Stromem zawsze były skomplikowane. Erec czuł, że Strom darzy go miłością, lecz jednocześnie



nie potrafi zapanować nad pragnieniem, by go pokonać. Erec obarczał winą ojca, który wychowywał ich jako rywali, który zawsze wystawiał ich przeciwko sobie. Jego ojciec sądził, że uczyni to z nich lepszych mężczyzn – stwarzało to jednak jedynie podział między nimi. Erec nie wierzył w stymulowanie rywalizacji i postanowił, że jeśli będzie miał synów, nigdy nie wychowa ich w ten sposób; miast tego, sądził, lepiej wychować ich tak, by dbali o siebie, chronili się wzajemnie, i pobudzać lojalność oraz bezinteresowność. Erec wierzył, że są to cechy prawdziwego wojownika. Rywalizacja jest istotna, lecz nie w rodzinie – rywalizacji można się nauczyć na polu bitewnym, a zręczność szlifować na inne sposoby. Owszem, czasem rywalizacja wydobywała z ludzi to, co najlepsze – lecz w innych przypadkach jedynie pobudzała to, co najgorsze.

- I przywiozłeś ze sobą oblubienicę? – zauważył Strom, patrząc na Alistair i kręcąc głową. – W tym także musiałeś być lepszy? Nie znalazłem jeszcze swojej oblubienicy, a teraz wątpię, czy znajdę równie piękną jak twoja – powiedział Strom. Podszedł do Alistair, ujął jej dłoń i ucałował ją.

Alistair uśmiechnęła się.

- To doprawdy przyjemność poznać cię – odrzekła. – Brat Ereca jest mym bratem.

- Cóż, nim go poślubisz powinnaś wiedzieć – powiedział Strom. – Że jestem lepszym bratem Ereca. Spędzisz tu trochę czasu i być może wybierzesz mnie. Dlaczego wszak miałabyś zadowolić się słabszym okazem?

Strom wybuchnął śmiechem, a Erec pokręcił głową. Strom był zadufany w sobie i nietaktowny jak zwykle.

- Dziękuję, lecz wiem, że będę w pełni zadowolona z mego obecnego wyboru – odrzekła Alistair z uśmiechem, jak zawsze dyplomatycznie.

Strom odsunął się na bok, a tłum rozstał się i ktoś zbliżył się do nich. Erec ze zdumieniem spostrzegł, kto to:

Dauphine. Jego młodsza siostra.

Gdy widział ją ostatnim razem, sięgała mu do pasa, a teraz Erec ledwie mógł uwierzyć, jak wysoka była; niemal tak wysoka, jak on, miała szerokie ramiona, nienaganną postawę i oszłamiający uśmiech. Nie mógł także uwierzyć, na jak piękną kobietę wyrosła, o długich rudoblond włosach i jasnych, zielonych oczach.

Stała przed nim i wpatrywała się w niego z tą samą intensywnością, którą pamiętał z czasów, gdy byli dziećmi. Była tylko kilka lat młodsza od niego i zawsze widziała w

nim bohatera, zawsze skupiona była zwracaniem na siebie jego uwagi. Była także niezwykle zazdrosna i nieufnie podchodziła do każdego, kto odwracał od niej jego uwagę. Być może przez wzgląd na to, że ich ojciec zawsze był nieobecny, zajęty władaniem królestwem, Dauphine traktowała go jak ojca przez lata, gdy wychowywali się samotnie.

Erec poznał po jej spojrzeniu i po tym, że ignorowała Alistair, iż po wszystkich tych latach ani o krzywność się nie zmieniła.

- Bracie – rzekła Dauphine, zbliżając się i obejmując go, przyciągając mocno, nie chcąc puścić.

Erec trzymał ją i czuł łzy spływające po jej twarzy i swoim karku. Dotarło do niego, że gorąco tęsknił za swą rodziną, pomimo wszystkich ich osobliwości, i ujście ich wszystkich w jednym miejscu poruszyło go do głębi. W pewien sposób czuł, jak gdyby nigdy stąd nie wyjeżdżał. Było to dziwaczne, niezwykle uczucie.

- Siostrze – powiedział. – Tęskniłem za tobą gorąco.

Odsunęła się i spojrzała na niego.

- Nie tak, jak ja za tobą. Czy dotarły do ciebie wszystkie moje listy?

- Każdy jeden – rzekł Erec.

Dauphine pisała do niego bez ustanku przez te lata i sokoły jeden za drugim dostarczały mu jej listy. Erec odpisywał, gdy tylko mógł, lecz nie był w stanie pisać tak często i dużo jak ona. Najwyraźniej wciąż o nim myślała i po części czuł się winny, że jest tak daleko od niej, niemal tak, jak gdyby porzucił córkę.

- Te wyspy nie były takie same bez ciebie – powiedziała. – Ubolewam, że dopiero zbliżająca się śmierć naszego ojca sprowadziła cię z powrotem. Czy ja nie byłam wystarczającym powodem, by powrócić?

Słyszając te słowa, Erec poczuł ukłucie winy. Nie wiedział, co odrzec.

- Wybacz – rzekł w końcu. – Obowiązki nakazywały mi pozostać gdzie indziej.

Erec obrócił się ku Alistair, nie chcąc, by poczuła się wykluczona, z nadzieją, że Dauphine okaże się dla niej uprzejma, lecz lękając się, że będzie odwrotnie. Poczł ucisk w dołku, gdy je sobie przedstawiał.

- Dauphine, oto moja przyszła żona, Alistair.

Alistair uśmiechnęła się z wdziękiem, wcale a wcale nie zazdrosna, i wyciągnęła do niej dłoń.

Dauphine spojrzała na nią, jak gdyby ktoś podawał jej węża. Skrzywiła się i obróciła ku Erecowi, ignorując Alistair.

- A dlaczegoż nie wybierzesz sobie oblubienicy spośród swoich ludzi? – spytała Dauphine. – Czy twoją wolą jest, by władała nami obca?

Oblicze Erecy spochmurniało i zamarł, zakłopotany przez wzgląd na Alistair.

- Dauphine – rzekł stanowczo. – Alistair to moja oblubienica. Kocham ją z całego serca. Proszę, okaż jej należny szacunek. Jeśli kochasz mnie, ją także pokochasz.

Dauphine odwróciła się i obrzuciła Alistair zimnym spojrzeniem, jak gdyby patrzyła na ohydny stwór, którego woda wyrzuciła na brzeg. Wtem zwróciła się do niej tyłem i odeszła, wpadając w rozweselony tłum.

Erec poczerwieniał, zakłopotany. Taka była jego siostra. Zawsze pozwalała, by rządziły nią emocje – głównie wywołane przez nią samą – i zawsze była nieprzewidywalna. Było to niezwykle; mimo upływu lat nic się nie zmieniło.

Erec obrócił się do Alistair, która sprawiała wrażenie zawiedzionej.

- Tak bardzo mi przykro – powiedział. – Proszę, daruj jej. Ona nie wie, co robi. Nie chodzi o ciebie.

Alistair skinęła głową i spuściła oczy, lecz Erec dostrzegł, że wstrząsnęło nią to, jak została przyjęta. Czuł się okropnie.

Pragnął dodać jej otuchy, lecz tłum rozstąpił się i naprzód wyszła matka Erecy. Erec nie posiadał się z radości, widząc ją. Poczł, jak gdyby powróciła do niego cząstka jego samego.

Jego matka wyciągnęła dłonie, idąc naprzód, nie by objąć jego, lecz wpierw Alistair.

Taka właśnie była – zawsze nieprzewidywalna i zawsze wiedziała doskonale, jak się zachować, co dokładnie zrobić i kiedy. Erec odczuł ulgę na jej widok i był zachwycony tym, że uczyniła Alistair zaszczyt i powitała jako pierwszą.

- Moja przyszła córko – odezwała się, wyciągając ręce i ujmując serdecznie dłonie Alistair. Alistair podniosła na nią wzrok z uśmiechem, zaskoczona, a matka Ereca uścisnęła ją, przyciskając mocno, jak dawno niewidzianą córkę. Odsunęła się i zmierzyła ją wzrokiem z góry do dołu.

- O twej urodzie śpiewano pieśni, lecz nie oddają ci one sprawiedliwości. Nie widziałam nigdy nikogo piękniejszego niż ty. Jestem zachwycona, że Erec wybrał cię na swą żonę. Dokonał w swym życiu wielu słuszných wyborów, lecz żaden nie był słuszniejszy niż ten.

Alistair rozpromieniła się w uśmiechu, a w jej oczach pojawił się błysk. Erec spostrzegł, jak bardzo jest poruszona. Zrobiło mu się ciepło na sercu. Jego matka zdołała, raz jeszcze, naprawić zniszczenie, którego dokonała Dauphine.

- Dziękuję, moja pani – powiedziała Alistair. – To zaszczyt móc cię poznać. Matkę Ereca pokocham całym moim sercem.

Jego matka uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Niebawem zostaniesz jego żoną i to ty będziesz królową. Będziesz dzierżyła mój tytuł. Nic nie uszczęśliwi mnie bardziej.

Matka Ereca odwróciła się do niego i objęła go, przyciskając mocno.

- Matko – rzekł, gdy odsunęła się i otarła łzę z oka. Wyglądała dużo starzej, niż gdy stąd odpływał. Ten widok napełnił go smutkiem. Był daleko przez długi czas i przegapił wiele wspaniałych lat jej życia. Widząc ją, uświadomił to sobie. Na jej twarzy ujrzał nowe zmarszczki i na myśl przyszedł mu jego ojciec.

- Twój ojciec oczekuje cię – powiedziała, jak gdyby czytała mu w myślach. – Wciąż żyje. Jednak już niedługo. Nie zostało mu już wiele czasu. Pójdź teraz.

Ujęła jego dłoń, a także dłoń Alistair i ruszyli szybkim krokiem przez wiwatujący tłum. Erec gotował się na spotkanie z ojcem, zaniepokojony tym, że ujrzy go podczas jego ostatnich chwil. Bez względu na wszystko, był w domu.

Był w domu.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

Gwendolyn jechała w powozie za swymi ludźmi, kierując się na południo-zachód wzdłuż brzegu Kanionu. Jechali już cały dzień, zmierzając ku przejściu. Gwen czerpała pociechę z tego, że pomimo protestów jej ludu, niebawem znajdą się po drugiej stronie Kanionu i znacznie zbliżą się ku okrętom, które czekają, by zawieźć ich na Wyspy Górne.

Sercem jej targały zarazem wyrzuty sumienia i niecierpliwość. Wiedziała, że postępuje słusznie, lecz wcale nie chciała tego robić.

Nade wszystko jednak Gwen wierciła się niespokojnie, patrząc na tysiące swych ludzi. Maszerowali z Królewskiego Dworu niechętnie, rozzaleni, pod okiem jej czujnych żołnierzy, którzy otaczali ich z każdej strony i pilnowali, by szli dalej. Jak gdyby kontrolowali bunt. Jej ludzie wyraźnie nie chcieli iść naprzód i z każdym zakrętem Gwen słyszała, że narzekają głośniejsze. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła ich kontrolować; byli jak nawałnica, która lada moment rozpęta się.

- Władanie królestwem nie zawsze jest przyjemne – usłyszała obok siebie głos.

Gwen obejrzała się i zobaczyła, że Kendrick podjeżdża do niej na swym wierzchowcu, dumnie, szlachetnie, a Sandara, jego ukochana, siedzi za jego plecami.

Gwen czerpała pociechę z jego widoku. Uśmiechnęła się, spięta.

- Ojciec tak by rzekł – odparła Gwen.

Kendrick uśmiechnął się do niej.

- Robisz to, co wydaje ci się najlepsze dla twego ludu.

- Lecz ty się z tym nie zgadzasz – powiedziała Gwen.

Kendrick wzruszył ramionami.

- To nieistotne. Podziwiam cię za to, że to robisz.

- Lecz nie zgadzasz się z moimi czynami – naciskała.

Kendrick westchnął.

- Czasami ty i Argon widzicie coś, czego ja nie dostrzegam. Niezupełnie to pojmuję.

Nigdy nie pojmowałem. Jestem rycerzem; nie pragnę wiele więcej niż to. Nie posiadam twych umiejętności i daru, by wejrzeć w istotę rzeczy; nie znam innych rzeczywistości, lecz ufam ci. Zawsze ufałem. Ojciec także, i to mi wystarczy. Sądzę, że nasz ukochany ojciec wybrał cię właśnie przez wzgląd na takie czasy.

Gwendolyn spojrzała na niego, poruszona.

- Nie mogłabym pragnąć brata lepszego niż ty – powiedziała. – Zawsze trwasz przy mnie. Nawet kiedy się ze mną nie zgadzasz.

Kendrick uśmiechnął się do niej.

- Jesteś moją siostrą. I moją królową. Poszedłbym dla ciebie na kraniec świata – czy się z tobą zgadzam, czy nie.

Wtem rozległ się krzyk i obróciwszy się Gwendolyn ujrzała grupę ludzi odpychających ze złością żołnierzy, którzy pilnowali, by przemieszczali się po obranej przez nią drodze. Wyczuła, że pozorny porządek, który udawało im się utrzymać, z wolna burzy się. Zaczęła się zastanawiać, jak też uda jej się przeprowadzić ludzi przez Kanion. Gdy ich krzyki wzmożyły się, zastanowiła się, czy może wybuchnąć otwarty bunt przeciwko niej.

Minęli zakręt i Gwendolyn zapało dech w piersi, gdy spojrzała w dal i ujrzała przed sobą rozległy Kanion. Zobaczyła warstwy mgły, różnobarwne, unoszące się w powietrzu, nieskończony przestwór, który zdawał się sięgać samego nieboskłonu.

Ujrzała także wielki most spinający obydwie brzegi, jak gdyby czekający na nich.

Gdy jej lud dotarł do przejścia, nagle zatrzymał się. Krzyki przybrały na sile i Gwen spostrzegła, że jej ludzie nie są już w stanie zapanować nad tłumem, który szarpał się tam i z powrotem, niby zwierzęta zamknięte w klatce. Jej poddani nie zamierzali postawić ani jednego kroku więcej. Widziała, że boją się przekroczyć most.

- Nie opuścimy Kręgu! – wykrzyknął jakiś mężczyzna.

Tłum poparł go krzykiem.

- Nasz dom jest tutaj! Jeśli czyha tu jakieś niebezpieczeństwo, zginiemy tutaj – wrzasnął inny.

Tłum znów zakrzyknął.

- Nie zmusisz nas, byśmy poszli dalej – wykrzyknął jeszcze inny.

Rozległ się chór krzyków poparcia. Lud rozzuchwalał się coraz bardziej.

Gwendolyn wiedziała, że musi coś zrobić. Wstała w swym powozie, wysoko nad tłumem, i wyciągnęła ręce, dając znak, by wszyscy się uciszyli.

Z wolna lud ucichł i oczy wszystkich skierowały się na nią.

- Nie – zagrzmiała. – Nie mogę was zmusić. Macie rację. Lecz jestem waszą królową i proszę was o to. Przyrzekam, jest po temu dobry powód. Przyrzekam też, że jeśli tu pozostaniecie, zginiecie.

Tłum począł gwizdać, przerywając jej i Gwendolyn krew napłynęła do twarzy, gdyż poczuła, jak to jest być znienawidzonym władcą. Po raz pierwszy zapragnęła nie być królową.

- Do Królewskiego Dworu! – zakrzyknął jakiś mężczyzna.

Ludzie odwrócili się i zaczęli zmierzać na powrót w jej kierunku, oddalając się od mostu. Widziała, że jej ludzie zaczynają tracić nad nimi panowanie, że nie są w stanie ich powstrzymać.

Gwen stała z tłukącym się w piersi sercem, przyciskając do siebie mocno Guwayne'a i zastanawiając się, jak postąpić, gdy wtem na niebie rozległ się przeraźliwy ryk, wystarczająco głośny, by włoski z tyłu karku Gwen uniosły się.

Jej ludzie zamilkli i stali, patrząc ku nieboskłonowi. Gwen obróciła się i spojrzała ku wschodowi, ku widnokręgowi, przeczuwając już, co tam ujrzy.

*Nie, pomyślała Gwen. Nie teraz. Nie kiedy tak niewiele brakuje, byśmy zdołali uciec.*

Rozległ się kolejny ryk, potem kolejny i jeszcze jeden. Rozpoznałaby ten odgłos wszędzie. Był to przedwieczny ryk, najpotężniejszy na świecie.

Ryk smoka.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Reece siedział w ładowni okrętu królewskiego. W powietrzu niósł się odgłos deszczu uderzającego o drewno. Opierał się o ścianę, pozwalając, by opatrzone mu ranę na nodze i radując się, że przeżył. Obok niego siedzieli Stara, Srog i Matus, popijając ciepłe piwo. Ich rany także były opatrywane – każdego z nich doglądała jedna z królewskich uzdrowicielek. Reece skrzywił się, gdy kobieta zaszywała głęboki ślad na jego udzie, który pozostał, gdy wyciągnął strzałę. Rana paliła, lecz Reece odetchnął z ulgą, że strzała została wyciągnięta i że przyjął ją, gdy chronił Starę.

Siedząca obok niego Stara dzielnie znosiła zszywanie rany, niemal nie drgnęła. Jej uzdrowicielka skończyła i posmarowała ranę różnymi maściami. Reece poczuł ukłucie chłodu, gdy doglądająca go uzdrowicielka owinęła jego nogę zimną tkaniną nasączoną maściami; poczuł, jak zimne substancje z wolna wnikają w jego ranę. Po kilku sekundach przyniosły mu ulgę. Reece rozluźnił się i poczuł lepiej.

Pociągnął kolejny długi łyk piwa. Ciepły trunek rozgrzewał w tę zimną, deszczową noc i od razu uderzał do głowy. Reece nie pamiętał, kiedy ostatnio coś jadł. Siedząc tak, poczuł się niezwykle rozluźniony po koszmarnych wydarzeniach nocy i wdzięczny, że pomimo niesprzyjających okoliczności dotarli do okrętu. Reece zrozumiał, ile szczęścia mieli, że udało im się odnieść jedynie niewielkie rany. Nawet Srog, raniony najmocniej, otrzymywał opiekę, której potrzebował i gdy kilka uzdrowicielek opatrywało jego rany i zapewniało go, że nic mu nie będzie, Reece po raz pierwszy ujrzał, że jego twarz nabiera znów koloru.

Naprzeciw nich siedział Wolfson, dowódca królewskiej floty, szpakowaty wojownik o brodzie poprząkanej siwymi pasmami, leniwym oku i szerokiej, zaciętej twarzy wojownika. Miał na sobie mundur królewskiego marynarza, przystrojony wszystkimi medalami stosownymi dla jego pozycji. Reece wiedział, że to dobry dowódca, który służył jego ojcu podczas wielu wojen na morzu. Odczuł ulgę, gdy dowiedział się, że dotarli właśnie do jego okrętu.

Gdy zostali wciągnięci na pokład, Reece natychmiast przestrzegł Wolfsona przed ognistymi strzałami, które spadną na jego flotę, gdy tylko deszcz ustanie. Wolfson od razu rzucił się do działania. Kazał podnieść kotwice całej floty i wyprowadził okręty dalej w morze, poza zasięg strzał wypuszczanych z brzegu.

Teraz tkwili tutaj, zakotwiczeni niemal milę od brzegu, na bardziej wzburzonych wodach, chłostani deszczem. Ich okręt kołysał się na falach. Raz za razem omawiali szczegóły minionych wydarzeń i kolejne posunięcia.

- Ocaliliście nas dzisiaj – rzekł Wolfson. – Gdyby nie wy, zaskoczyliby nas i nasze okręty stanęłyby w ogniu gdy tylko deszcz ustanie.



- Mimo tego nie jesteśmy tu bezpieczni – powiedział Matus. – Owszem, nie osiągną nas strzały, lecz nie sądźcie, że wyspiarze pozostawią nas w spokoju. O świtaniu mój brat Karus wezwie swe okręty z drugiej strony wyspy i przypuści atak na to, co pozostało z naszej floty na otwartym morzu. Mają dziesiątki więcej okrętów niż wy, a tu, na pełnym morzu, będziecie odsłonięci.

- Nie możecie też postawić stopy na suchym lądzie, gdyż czeka tam na was armia – dodał Srog.

Wolfson skinął głową, jak gdyby już to wszystko przemyślał.

- Zatem polegniemy w walce – odparł.

- Po co czekać do ranka? – spytała Stara. – Po co czekać, aż zastawią na nas zasadzkę i zaatakują na pełnym morzu? Dlaczego nie wyruszymy już teraz do Kręgu?

Wolfson pokręcił głową.

- Ostatnim rozkazem królowej MacGil było utrzymanie floty w tej zatoce, utrzymanie pozycji. Nie otrzymałem innego rozkazu, nie porzucę zatem pozycji. Chyba że królowa zarządzi odwrót.

- To szaleństwo – powiedziała Stara.

Srog westchnął.

- Jesteśmy żołnierzami – rzekł. – Królowa MacGil rozkazała nam utrzymać tę wyspę.

Nie sprzeciwiamy się tym, którzy wydają nam rozkazy.

- Lecz ona nie wie, jakie nastąpiły okoliczności – zauważyła Stara. – Nie spodziewała się wszak, że jej brat zabije króla Tirusa i wznieci rewoltę.

Reece spostrzegł, że wszyscy patrzą na niego i krew napłynęła mu do twarzy.

Zastanawiał się, czy Stara celowo go gnębi i czy nienawidzi go, gdyż zabił jej ojca.

- Był zdrajcą – powiedział Reece. – Zasługiwał na śmierć.

- Choćby i tak, to twoje czyny rozpętały wojnę – odparła. – Sądzę, że wasza królowa zrozumie, czemu się wycofaliśmy.

Wolfson potrząsnął głową.

- Nie wycofamy się bez wyraźnego rozkazu.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Srogowi, który podejmował decyzje w imieniu królowej na wyspie. Po długiej chwili westchnął, zrezygnowany. Pokręcił głową.

- Nie otrzymałem innych rozkazów – powiedział. – Nie możemy opuścić naszych pozycji. Zostaniemy na miejscu i będziemy walczyć.

Wszyscy mężczyźni przytaknęli i mruknęli z zadowoleniem, zgadzając się z nim.

Przygotowali się, przeglądając broń i gotując się psychicznie do nieuniknionej potyczki, która miała nastąpić rankiem.

Srog i Matus przyłączyli się do Wolfsona, który przemierzył pomieszczenie, by

zaczerpnąć więcej piwa. Obaj utykali, lecz chodzili o własnych siłach. Reece znalazł się sam ze Starą. Siedzieli obok siebie, trzymając w dłoniach gorące piwo. Reece odstawił trunek, wyciągnął kamień z za pasa i począł ostrzyć miecz. Nie wiedział, co powiedzieć Starze, ani czy ona w ogóle chce z nim rozmawiać, siedzieli więc w milczeniu, a szcęk ostrzonego miecza pobrzmiwał cicho w pomieszczeniu.

Reece sądził, że Stara gniewa się na niego – najpewniej przez wzgląd na Selese albo przez to, że zabił jej ojca – i spodziewał się, iż podniesie się i wraz z pozostałymi przemierzy pomieszczenie; z zaskoczeniem spostrzegł jednak, że wciąż siedzi kilka stóp od niego. Reece nie wiedział, jak czuć się przy niej; po części odczuwał w jej towarzystwie wstyd, gdy myślał o Selese i o tym, jak złamał swą obietnicę, że po nią wróci. Czuł się winny tylko patrząc na nią, gdyż niesamowicie kochał Selese i odczuwał żal po jej śmierci, który przytłaczał go. Wewnątrz niego wrzały emocje i nie wiedział sam, co myśleć. Jakaś część niego nie chciała jej widzieć, przez to, co zdarzyło się Selese.

Jednakże inna jego część – musiał to przyznać – pragnęła, by była blisko. W głębi duszy pragnął, by odezwała się do niego, by wszystko było tak, jak dawniej. Czuł się winny na samą myśl o tym.

Najwyraźniej wszystko zniszczył, w każdym możliwym przypadku. Stara najpewniej nienawidziła go i nie dziwił jej się.

- Dziękuję, że mnie ocaliłeś – odezwała się wreszcie Stara głosem tak cichym, że Reece nie był wcale pewien, czy rzeczywiście go słyszał.

Reece odwrócił się i spojrzał na nią, zszokowany, zastanawiając się, czy w istocie wyrzekła te słowa, czy też jedynie je sobie wyobraził. Stara wbiła wzrok w podłogę, nie patrzyła na niego. Kolana przyciągnęła do piersi i sprawiała wrażenie opuszczonej.

- Nie ocaliłem cię – powiedział.

Odwróciła się i spojrzała na niego rozgnionymi oczyma; jak zawsze, i tym razem uderzyło go, jak bardzo były hipnotyzujące.

- Ocaliłeś – powiedziała. – Ostrzyłeś mnie przed strzałami.

Reece wzruszył ramionami.

- Nie zawdzięczasz mi więcej niż ja tobie – odparł. – Wręcz odwrotnie. Uratowałaś mi życie kilkakrotnie.

Reece skupił się na ostrzeniu miecza, a ona opuściła wzrok na powrót na podłogę i znów zapadła pomiędzy nimi cisza, choć tym razem nieco mniej niezręczna. Reece był zaskoczony, że odezwała się do niego i że zdawała się nie żywić wobec niego żadnych złych uczuć.

- Sądziłem, że mnie nienawidzisz – powiedział po chwili Reece.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nienawidzę? – rzekła, podnosząc głos z zadziwienia.

Reece obrócił się i spojrzał na nią.

- Zabiłem wszak twego ojca.

Stara prychnęła śmiechem.

- To kolejny powód, by cię lubić – rzekła. – Nastał najwyższy czas, by tak się stało.

Jestem zaskoczona, że sama go nie zabiłam.

Reece spojrzał na nią, w szoku. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

- Musisz zatem... nienawidzić mnie z innych względów – rzekł Reece.

Stara patrzyła na niego, dezorientowana.

- Jakich względów?

Reece westchnął.

- Przysięgłem wrócić po ciebie – powiedział, zrzucając ciężar z serca. – Przysięgłem odwołać ślub z Selese. I nie dopełniłem tej przysięgi. Sprawilem ci zawód. Wstyd mi za to.

Stara westchnęła.

- Byłam rozczarowana, rzecz oczywista. Sądziłam, że nasza miłość jest prawdziwa.

Rozczarowałam się, gdy okazało się, że tak nie jest. Że twe słowa były puste.

- Lecz moje słowa *nie były* puste – upierał się Reece.

Obrzuciła go skonsternowanym spojrzeniem.

- Dlaczego zatem rozmyśliłeś się i postanowiłeś jednak poślubić Selese?

Reece westchnął, zmieszany, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Kłębiły się w nim sprzeczne emocje.

- Rzecz nie w tym, że cię nie kochałem – rzekł. – Lecz zdałem sobie sprawę, że kocham także Selese. Być może w inny sposób. Być może nawet nie tak mocno, jak ciebie. Lecz kochałem ją. I dałem jej swe słowo. A gdy wypłynąłem, gdy znaleźliśmy się daleko od siebie, dotarło do mnie, że muszę tego słowa dotrzymać.

Zmarszczyła brwi.

- A co ze słowem, które dałeś mnie? – spytała. – Co z miłością, którą mnie darzyłeś?

Czy to nic dla ciebie nie znaczyło?

Reece pokręcił głową, nie wiedząc, co odrzec.

- Znaczyło bardzo wiele – rzekł w końcu. – I wiem, że zламаłem twe serce.

Przepraszam.

Stara wzruszyła ramionami.

- Cóż, chyba już za późno na to – powiedziała. – Dokonałeś wyboru. Twa przyszła żona, ta, której zdecydowałeś się poświęcić resztę swego życia, nie żyje. Z pewnością obwiniasz mnie o to.

Reece zamyślił się nad jej słowami, zastanawiając się, czy w istocie tak jest. Czy rzeczywiście winił ją za to? Po części tak. W głębi duszy wiedział jednak, że jedynie on sam był temu winny.

- Winię siebie bardziej niż ciebie – odrzekł. – Znacznie bardziej. To był mój wybór.

Nie twój.

Reece westchnął.

- Tak jak rzekłaś, teraz to nie ma już znaczenia – dodał. – Wraz ze śmiercią Selese umarła częśćka mnie. Poprzysiągłem nigdy już nie kochać. I tym razem zamierzam dopełnić przysięgi.

Stara spojrzała na niego i ujrzał, jak jej twarz się zmienia, jak raz jeszcze maluje się na niej udręka. Dostrzegł coś w jej spojrzeniu, jakby ogromne rozczarowanie.

Rezygnację. W tej chwili dotarło do niego, że Stara wciąż go kocha, wciąż liczyła na to, że będą razem. A on nieumyślnie znów ją skrzywdził.

Nagle Stara skinęła głową, po czym wstała i odeszła bez słowa.

Reece opuścił wzrok, ostrząc miecz, nienawidząc siebie jeszcze bardziej i próbując wyprzeć to wszystko ze swych myśli, lecz odgłos kroków Stary przemierzającej pokład rozbrzmiewał echem w jego czaszce, gdy oddalała się coraz bardziej od niego, a każdy krok był jak gwóźdź wbijany w trumnę jego serca.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

Gwen stała nieopodal Kanionu i wpatrywała się w horyzont, zastygła ze strachu. Z obłoków z wolna wyłoniły się dziesiątki smoków, ogromnych i pradawnych, ziejących ogniem. Zbliżały się ku nim. Ich ryki raz po raz przecinały powietrze, wstrząsając ziemią, i były tak głośne, że Gwen musiała przycisnąć dłonie do uszu. Przyglądając się, jak lecą, czuła, jak gdyby urzeczywistniał się jej koszmar. Obserwowanie zagłady, którą przewidywała od tak wielu księżyców, zdało jej się nierealne.

Wokoło niej wszyscy jej ludzie, zaledwie kilka chwil wcześniej tak niechętni, by przekroczyć Kanion, poczęli nagle panicznie krzyczeć, obrócili i biegli co sił w nogach, pędząc przez most, przeciwko wejściu na który tak się wzbraniali. Biegli co sił w nogach, by znaleźć się tak daleko od Kręgu, jak to tylko możliwe, obierając jak na ironię tę samą drogę, którą Gwen przez cały czas chciała ich poprowadzić.

Teraz jednak było już zbyt późno. Okazało się, że Gwen miała rację. Od samego początku miała rację. Nie uradowało jej to jednak zbytnio.

Smoki zanurkowały, będąc już coraz bliżej i bliżej, ziejąc ogniem. Nadeszła ku nim ściana płomieni i Gwen, czując już bijący od nich żar, wiedziała, że za zaledwie kilka chwil ona i wszyscy, których zna i kocha zginą.

U jej boku stali jej doradcy, a za nią wszyscy jej rycerze, lojalni Gwardziści. Nie przeleżeli się i żaden z nich nie uciekał, lecz trwali przy niej, osłaniając tyły, by chronić ludzi. Za sobą, w oddali, słyszała krzyki tysięcy swych poddanych, pędzących co sił w

nogach. Gdyby tylko usłuchali jej wcześniej, pomyślała Gwen. Wszyscy byliby teraz na statkach, na morzu, w drodze ku bezpiecznemu schronieniu.

Smoki rzuciły się dziko w dół i Gwen wiedziała, że pomimo największych wysiłków jej ludzi wkrótce wszyscy zginą – nie tylko ona, lecz wszyscy, którzy usiłowali uciec mostem. Smoki były zbyt szybkie, zbyt silne, zbyt potężne. Nic na całym świecie nie byłoby w stanie ich powstrzymać.

Gwen podniosła wzrok i obserwowała, jak się zbliżają – potworne, piękne stworzenia, bijące skrzydłami, o ogromnych, wyszczerzonych zębiskach – i wiedziała, że patrzy śmierci w oczy. Żałowała jedynie jednego – że jej ukochanego, Thorgrina, nie ma tutaj, u jej boku. Zaprażyła ujrzenie go raz jeszcze.

Gwendolyn przygarnęła mocno Guwayne'a, przyciskając jego twarz do swej piersi, nie chcąc, by widział, co się dzieje. Pragnęła także, by jej syn mógł się znaleźć daleko stąd, gdziekolwiek, byle nie tu, bezpiecznie w innym świecie. Jego życie było zbyt krótkie i cenne, by w taki sposób miał nastąpić jego kres.

Smoki zbliżyły się, aż ich ryki stały się ogłuszające. Były teraz tak blisko, że Gwendolyn czuła, jak włoski na jej skórze zjeżyły się od gorąca. Jej ludzie stali mężnie u jej boku, lecz Gwen wiedziała, że to daremny trud. Ściana płomieni stopi ich miecze jeszcze zanim zdołają je unieść.

Gwendolyn zamknęła oczy i gotowała się na spotkanie z przeznaczeniem.

*Proszę, Boże. Zabierz mnie. Pozwól tylko moim ludziom bezpiecznie uciec. I mojemu dziecku. Ofiaruję siebie. Lecz ich ocal.*

Gdy Gwen otworzyła oczy, ku swemu zaskoczeniu usłyszała ryk. Był to odległy ryk, inny niż pozostałych smoków, taki, który dobrze знаła. Był to ryk, który przywykła słyszeć każdego dnia i którego nie słyszała od chwili, w której Mycoples zniknęła.

Ralibar.

Gwendolyn uniosła głowę i ujrzała swego dawnego przyjaciela, Ralibara, zbliżającego się prędko z nadlatujących smoków, spieszącego, by zmierzyć się z nadlatującymi smokami. Na jego pysku malowała się furia, jakiej jeszcze nigdy nie widziała. Ralibar, większy niż one wszystkie, samotnik, był przerażającym smokiem, bardziej nawet przerażającym niż te nadlatujące. Nieulekłe stanął sam naprzeciw armii.

Wszystkie smoki raptownie przestały ziać ogniem i odwróciły uwagę od Gwen i reszty, miast tego skupiając się na Ralibarze. Przyspieszyły, gotując się, by go pokonać.

Nad ich głowami rozległ się przeraźliwie głośny huk, gdy Ralibar uderzył w lecącego na przedzie smoka z wyciągniętymi przed sobą szponami; Ralibar odchylił się w tył i wczepił się szponami w gardło smoka. Leciał dalej, odciągając go w przeciwnym kierunku, coraz dalej i dalej, niby kula armatnia w powietrzu. Następnie Ralibar zanurkował, nim reszta smoków zdołała go dosięgnąć, i cisnął smokiem o ziemię, która aż się zatrzęsała, gdy w nią uderzyli.

Pozostałe smoki zawróciły, by przyjść swemu kompanowi z pomocą.

- Musimy ruszać! – wykrzyknął stojący obok Gwen Kendrick, pociągając ją za rękaw.

– Teraz, pani!

Gwendolyn wiedziała, że ma rację; to była ich szansa, by zbiec. Mimo tego nie chciała zostawiać Ralibara samego – zwłaszcza, że wszystkie pozostałe smoki odwróciły się i rzuciły w dół, by go zaatakować.

Gwen wiedziała jednak, że nie ma wyboru; nie mogła uczynić nic, by pomóc Ralibarowi. Nawet gdyby próbowała, byłoby to daremne. A to była jej jedyna szansa, by uciec, właśnie teraz, gdy uwaga smoków skupiona była na czymś innym.

- Teraz, pani! – nalegał Kendrick, szarpiąc ją za rękę.

Wreszcie Gwen obróciła się i dołączyła do swych ludzi. Dosiedli koni, wsiedli na wozy i ruszyli przez most.

Rychło dogonili ludzi, których tysiące przechodziły przez most na drugą stronę Kręgu. Dotarli do Dziczy i Gwen pomyślała o czekającej ich drodze. Dziękowała Bogu, że zarządziła, by flota czekała na nich u brzegu, by mogli od razu wypłynąć.

Jej poddani uciekali w masowym popłochu i ani jeden nie zatrzymał się, by spojrzeć za siebie. Nikt poza Gwendolyn. Gdy dotarła na drugą stronę przejścia, Gwen obróciła się, by spojrzeć po raz ostatni i serce jej zamarło, gdy ujrzała, że Ralibar jest atakowany ze wszystkich stron. Ralibar walczył wspaniale, powalając jednego smoka po drugim, używając swych szponów, tnąc i mocując się, i swych zębisk, które zaciskały się na smoczych gardłach. Walczył zapamiętale, uśmiercając jednego smoka za drugim.

Było ich jednak zbyt wiele i atakowały go ze wszystkich stron. Jeden za drugim rzucały się na niego, niczym rozjuszony ptaki, chwytając go, rzucając nim, drapiąc i gryząc, ciskając nim o głowy. Ralibar walczył mężnie, lecz wkrótce jeden smok po drugim zaczęły go powalać.



- Gwendolyn, RUSZAJ! – rozkazał nagle stanowczy głos, który rozpoznała.

Gwendolyn odwróciła się, zaszokowana, i ujrzała Argona. Przeszło jej przez myśl, jakim sposobem się tam znalazł.

Argon nieuleknie, w pojedynkę wszedł na most. Miał zacięty wyraz twarzy, a uwagę swą skupił na Ralibarze. Gwen patrzyła jak urzeczona, jak Argon maszeruje na środek mostu, wspierając się na swej lasce. Wreszcie zatrzymał się, wyciągnął dłoń i namierzył na wschód, ku Ralibarowi i reszcie.

- Ralibarze, przyzywam cię – zagrzemiał Argon rozkazująco pradawnie brzmiącym głosem. – Wróć do mnie!

Leżący na ziemi, próbujący podnieść się Ralibar, raz po raz przyciskany do ziemi, odwrócił łeb i spojrział w stronę, z której dobiegał głos Argona.

Nagle z uniesionej dłoni czarnoksiężnika dobyło się oślepiające białe światło i wystrzeliło przez most do skraju Kanionu. Tam przeobraziło się w ogromną ścianę białego światła, wznoszącą się od ziemi przy ścianie Kanionu ku nieboskłonowi.

Zdawało się, że Argon sam tworzy nową tarczę energetyczną.

Nagle Ralibar wyrwał się reszcie smoków, podniósł się i począł uderzać swymi ogromnymi skrzydłami. Wzniósł się ku niebu i ruszył w stronę Argona, a pozostałe smoki ruszyły za nim. Był raniony i nie leciał tak szybko, jak zwykle. Jeden ze smoków zdołał go złapać, wgrzając się w jego ogon. Gwen wstrzymała oddech, obawiając się, że Ralibar może nie zdążyć.

Ralibar jednak wyrwał mu się i coraz mocniej uderzał skrzydłami, i wyprzedził go wystarczająco, by minąć utworzoną przez Argona ścianę światła i wylecieć na powrót nad Kanion.

Pozostałe smoki leciały tuż za nim, lecz gdy tylko dotarły do ściany światła, uderzyły w nią łbami. Wrzasnęły wściekle, uderzając o nią raz po raz, lecz nie zdołały jej przebić.

Argon stał i wznosił teraz obie dłonie, tworząc i podtrzymując tarczę energetyczną, aż ręce mu drżały. Gwen nigdy wcześniej nie widziała, by coś sprawiało mu tyle trudu; zdawał się odczuwać ból za każdym razem, gdy smoki uderzały o tarczę. Po chwili osunął się z wysiłku, a z ust Gwen dobył się krzyk, gdy ujrzała, jak uderza o ziemię.

Argon leżał bezradnie, zwinięty w kłębek pośrodku mostu.

- Ralibarze! – krzyknęła Gwen, wskazując palcem.

Ralibar odwrócił się, słysząc jej głos, spojrział w dół i ujrzał ciało Argona; ryknął i zanurkował z wyciągniętymi szponami, kierując się ku czarnoksiężnikowi. Podniósł go, chwyciwszy mocno i leciał, unosząc go coraz wyżej i wyżej.

Smok podążył za Gwendolyn, która odwróciła się, prowadząc swój lud biegnącą przed nimi drogą, przez Dzicz, ku okrętom i jakiegokolwiek miejscu w świecie, które nie było Kręgiem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Thor przemierzał bezkresne, błotniste ziemie w Krainie Druidów, utkwivszy wzrok w horyzoncie z nadzieją, że spostrzeże coś, cokolwiek; nie ujrzał jednak nic poza pustkowiem. Nic nie zakłócało jednostajności krajobrazu, który zdawał się rozciągać w nieskończoność. Na niebie wisiały ciemne chmury, zawieszono nisko, niemal tak nisko, że można było ich dotknąć, wpasowując się w panujący tam mrok.

Dokładnie tak Thor zapamiętał Zaświaty, gdy przemierzał pustkowie w Imperium.

Zmusił się jednak, by pamiętać, by wiedzieć, że nie znajduje się w Imperium. Powtarzał sobie, że jest w Krainie Druidów. Wszystko, co widział przed sobą, było wytworem jego umysłu. Wiedział, że nie przemieszcza się po ziemi, lecz przemierza granice własnego umysłu.

Thor był świadomy, że to prawda i pragnął usunąć, zmienić krajobraz wokół siebie, myśleć pozytywnie; lecz, co dziwne, nie był w stanie tego zrobić. Zrozumiał, że nie opanował jeszcze takiej mocy. Choć starał się jak mógł, by wyobrazić sobie inny krajobraz, inny świat, cały czas wędrował przez te same ziemie i przy każdym kroku stopy grzęzły mu w błocie, trudno mu było iść i dyszał ciężko. Im dalej się zapuszczał, tym gorsze przecucia go ogarniały, jak gdyby w każdej chwili coś mogło go zaatakować.

Co – tego nie wiedział.

Thor położył dłoń na broni, lecz opuściwszy wzrok ujrzał, że jego pas jest pusty; nie miał już nawet na sobie zbroi. Był znów w łachmanach, w prostym fartuchu pastuszka, który zwykł nosić niegdyś. Co się stało? Czemu znów miał go na sobie? Gdzie się

podział jego oręż? Przesuwając dłonią po pasie, Thor znalazł jedynie zwykłą procę, tę, której używał w dzieciństwie, mocno już zużytą.

Thor maszerował dalej, czujny, i czuł, że to tereny ćwiczebne, że jego podświadomość prowadzi go przez etapy jego życia. Gdy spojrzął w horyzont, mrużąc oczy, jakby coś dostrzegł. Przypominało to las. Gdy znalazł się bliżej, ujrzał, iż są to nowe ziemie, porośłe hen, daleko jak okiem sięgnąć martwymi drzewami o czarnych, powykręcanych konarach. Był to ogromny sad śmierci.

Thor szedł wąską ścieżyną, która prowadziła go ku temu lasowi, i pod sękatymi gałęziami drzew. Dobiegały go głosy wron. Idąc, Thor spostrzegł coś, co sprawiło, że poczuł ucisk w żołądku: z pobliskiego drzewa zwisała jakaś postać w zbroi, kołysząca się, choć nawet nie wiał wiatr. Pordzewiała zbroja trzeszczała, gdy postać kołysała się, a gdy zasłona hełmu odpadła, Thor rozpoznał kto to: był to Kolk, jego dawny dowódca z Legionu, z pętlą zaciśniętą na szyi.

Thor chciał go ściągnąć, pomóc mu, lecz gdy podszedł bliżej, ujrzał, iż jego oczy są rozwarte szeroko, że nie żyje od dawna. Skonsternowany, Thor ruszył w dalszą drogę, rozmyślając. Na kolejnym drzewie spostrzegł kolejne wiszące ciało, kołyszące się, z otwartymi oczyma. Był to Conven, jego dawny brat legionista.

Thor szedł dalej i widział tysiące rycerzy w pordzewiałych zbrojach zwisających z drzew; przechodząc obok nich, zauważył, że na każdym z drzew wisi inne ciało, a każde z nich to osoba, którą niegdyś znał, mężczyzna, u boku którego walczył. Wiedział, że ludzie ci stracili życie; wtem, ku swemu zaskoczeniu, ujrzał tych, którzy – jak wiedział – żyją: Reece'a, Eldena, O'Connora. Wszystkich swych braci z Legionu. A następnie Gwardzistów. Wszyscy byli martwi.

- Tylko ty pozostałeś.

Thor obrócił się i rozejrzał wokoło w poszukiwaniu źródła głosu, lecz nie potrafił go odnaleźć.

- Wojownik uczy się toczyć boje samotnie. Otaczają go jego ludzie. Lecz pole bitewne znajduje się w nim samym.

Thor obracał się wokoło, lecz wciąż nie mógł odnaleźć źródła głosu. Był to głos Argona, wiedział o tym; lecz nigdzie go nie widział.

Thor przyspieszył, mijając tysiące kołyszących się ciał, czując, jak gdyby cały świat był martwy i zastanawiając się, czy kiedykolwiek się to skończy. Gdy tylko o tym pomyślał, las nagle zniknął i Thor znalazł się na powrót na błotnistym pustkowiu.

Thor usłyszał świst i opuściwszy wzrok ujrzał, że coś prześlizguje się pod powierzchnią błota, które stało się przezroczyste. Przyjrzał się i ujrzał ogromnego węża, pełzającego szybko tuż pod powierzchnią. Przyjrzał się ziemi i nagle zobaczył tysiące egzotycznych stworzeń, pełzających kilka cali pod powierzchnią błota. Z jakiegoś powodu nie były w stanie przebić się przez powierzchnię, a mimo tego Thor czuł, jak gdyby w każdej chwili mógł tam spaść i znaleźć się w otchłani śmierci.

Idąc dalej, zamknął oczy.

*Te stwory nie są prawdziwe, powiedział sobie. To stwory, które prześlizgują się pod powierzchnią mojej świadomości. Ja je stworzyłem. Mogę je wyprzeć. Użyj swego umysłu, Thorgrinie. Użyj swego umysłu.*

Thor poczuł, jak pomiędzy jego oczami, pośrodku czoła wzbiera wielkie ciepło i że coraz bardziej rośnie w siłę. Czuł, że panuje nad istotą znajdującego się dokoła niego wszechświata.

Otworzył oczy i spojrzał w dół. Zamrugał ze zdumienia, gdyż ujrzał, że stwory zniknęły. Szedł teraz po zwykłym błocie.

Thorgrin poczuł się silniejszy. Zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, że jednak posiadał zdolność przyzwania swych mocy, panowania nad swym środowiskiem.

Zaczynał rozumieć, jak je okiełznać, jak sięgnąć ku głębszym pokładom siebie; zaczynał pojmować, że nie istnieje różnica pomiędzy światem w jego głowie a zewnętrznym.

Zaczynał także rozumieć, że cała ta kraina jest polem ćwiczebnym. Pojął, że musi wznieść się na pewien poziom, nim będzie mógł stanąć przed swą matką. Nim będzie godny.

Thor szedł dalej, a obok przepłynęła gęsta mgła, przysłaniając na chwilę wszystko.

Gdy w końcu uniosła się, spojrzał w dal i ujrzał pojedynczy przedmiot wystający z ziemi.

Mgła napłynęła ponownie i nie był pewien, czy rzeczywiście go widział. Przyspieszył, niecierpliwiąc się, by zobaczyć, co to takiego.

Thor zbliżył się, a wtedy mgła uniosła się znów i ponownie to ujrzał. Zatrzymał się, przyglądając się i zastanawiając. Z początku zdawało się to być ogromnym krzyżem; lecz gdy wyciągnął dłoń, by go dotknąć, pojął, że jest to coś innego. Pokryte było

wieloma warstwami błota i Thor, wyciągnawszy dłoń, zrywał je, jedną po drugiej. Z wolna jego oczom ukazał się fragment tego przedmiotu: był to błyszczący miecz, wysadzany kamieniami.

Thor stał, zastygły w bezruchu, zaparło mu dech. Nie mógł w to uwierzyć. Przed nim, z ostrzem zatopionym w ziemi, pokryty warstwami błota, czekając, by chwycił go w rękę, był Miecz Przeznaczenia.

Thor zamrugał kilkakrotnie, zamyślony. Zdawał się tak prawdziwy. Wiedział, że jest prawdziwy. Zarazem wiedział także, że to on go stworzył, razem z całą resztą tej krainy.

Przyjemnie było ujrzeć znów ten oręż, odzyskać swego dawnego przyjaciela. Oręż, dla którego przemierzył pół świata, stracił swego drogiego kompana, oręż, który prowadził go przez tak dużą część jego podróży w życiu. Dzierżenie w dłoni Miecza Przeznaczenia znaczyło dla Thora więcej, niż był w stanie wypowiedzieć. Niemal rozplakał się na jego widok; zorientował się, jak bardzo mu go brakowało. Sny o tym, że Miecz znajdował się tuż poza jego zasięgiem nawiedzały go od dnia, w którym go utracił.

A teraz, gdy ujrział go tutaj, dotarło do niego, że to jego sny go tworzyły. Najgłębsze poziomy jego podświadomości.

Thor wyciągnął rękę, chwycił rękojeść miecza i pociągnął, spodziewając się z łatwością wyciągnąć go z błota.

Jednak ku swemu zdumieniu spostrzegł, że nawet nie drgnął.

Thor pociągnął mocniej, następnie chwycił go obojgiem rąk. Miecz zakołysał się w tył i w przód, lecz nie miało znaczenia to, jak się starał. Nie był w stanie go wyciągnąć.

Thorgrin wreszcie wykrzyknął z wysiłku, po czym osunął się na kolana, dysząc ciężko, zdruzgotany.

Jak to możliwe? Jak to możliwe, że nie był już godny, by dzierżyć ten miecz?

- Nigdy nie byłeś tak silny, jak sądziłeś, Thornicusie – dobiegł go mroczny głos.

Włoski na karku Thora uniosły się, gdyż natychmiast poznał, do kogo należy.

Odwrócił się powoli i ujrział przed sobą mężczyznę, którego nienawidził najbardziej na świecie. Na jego twarzy malował się nikczemny uśmiech.

Był to Andronicus.

Andronicus uśmiechał się do Thora szeroko. Stał nad nim, w jednej dłoni trzymając ogromny topór bojowy, a w drugiej miecz. Jego mięśnie były napięte i niemal nie mieściły się pod zbroją.

- Co ty tu robisz? – zapytał Thor. – Jak się tu dostałeś?

Andronicus roześmiał się. Był to paskudny, zgrzytliwy dźwięk.

- Przybyłem do tej krainy tak jak ty – odrzekł. – Wyruszyłem na poszukiwanie.

Poszukiwałem większej mocy, mej najskrytszej mocy. Byłem młodym wojownikiem. To wtedy poznałem twą matkę.

Thor wpatrywał się w niego, zaszokowany.

- Rzekłem ci, że powrócę do ciebie w twych snach – powiedział Andronicus. – A tutaj, w tej krainie, sny są wystarczająco prawdziwe, by cię zabić.

Andronicus przyskoczył naprzód ze swym toporem. Thor uchylił się w ostatniej chwili i topór przeciął powietrze obok niego, omijając go o włos.

- Nie jesteś prawdziwy! – zawołał Thor, mierząc w swego ojca dłonią, próbując przyzwać moc, dzięki której zniknie.

Andronicus zamachnął się mieczem i ciał Thora w ramię.

Thor wykrzyknął w nieznośnym bólu, a z rany trysnął strumień krwi.

Andronicus spojrzał na niego, śmiejąc się.

- Czyż to nie było prawdziwe? Gdy przeszyję mieczem twe serce, będziesz martwy już na zawsze. Jak ja. Może i mnie stworzyłeś. Lecz teraz jestem tutaj i jestem wystarczająco prawdziwy, by cię zabić – i uczynię to.

Andronicus zamachiwał się raz po raz, a Thor unikał każdego ciosu. Miecz mijał go o włos, lecz za każdym razem znajdował się coraz bliżej. Thor obejrzał się na Miecz Przeznaczenia i żałował nade wszystko, że nie może nim władać.

Gdy Andronicus rzucił się w jego stronę, Thor przypomniał sobie o swej procy: sięgnął do niej, chwycił i cisnął kamieniem.

Kamień leciał w kierunku głowy Andronicusa, lecz ten zamachnął się mieczem i odtrącił go.

- Twa dziecięca broń w niczym ci nie pomoże, chłopcze – rzekł jego ojciec.

Thor rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni, lecz nic nie znalazł. Stał bezbronny wobec tego potwora, a Andronicus zdeterminowany był go zabić.

- Wciąż mi się przeciwstawiasz – powiedział Andronicus. – Lecz ja jestem częścią ciebie. Zaakceptuj mnie. Zaakceptuj mnie, a zniknę.

- Nigdy! – wykrzyknął Thor.

Andronicus podniósł topór i cisnął nim w Thora. Thor nie spodziewał się tego i ledwie zdążył uchylić się, gdy broń leciała, obracając się raz po raz, i przecięła jego ramię. Wrzasnął z bólu, gdy krew trysnęła z jego drugiej ręki.

Nim zdążył zareagować, Andronicus kopnął go obiema stopami w pierś, przewracając na plecy.

Thor prześlizgnął się tuziny stóp w błocie, aż wreszcie zatrzymał się. Podniósł wzrok, lecz Andronicus stał już nad nim z uniesionym wysoko toporem bojowym.

- Kocham cię, Thornicusie. I dlatego muszę cię zabić.

Gdy Andronicus uniósł topór, Thor, bezbronny, zasłonił się rękoma i wrzasnął, wiedząc, że jest to straszny sposób, by umrzeć.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Erec pokonywał szybko niekończące się schody prowadzące ku szczytowi najwyższego wzniesienia Wysp Południowych. Wzrok utkwiał w górze. Zrobiło mu się ciepło koło serca na widok fortu jego ojca. Zatknięty był na najwyższym szczycie na wyspie, dokładnie tak, jak zapamiętał go jako dziecko. Była to piękna budowla, przypominająca niewielki zamek, lecz wzniesiony w kształcie kwadratu i osadzony nisko przy ziemi, zdobiony wieżyczkami i attykami. Zbudowano go z pradawnego kamienia wydobytego stulecia temu z tych klifów. Jego sylwetka robiła wrażenie. Dla Ereca był to dom;

zajmował jednak także specjalne miejsce w jego snach, miejsce niemal magiczne.

Erec zbliżył się do masywnych miedzianych wrót, wysokich i prostokątnych, błyszczących w słońcu tak mocno, że musiał zmrużyć oczy. Ich duże, rzeźbione kłamki przywołały wspomnienia. Erec zapomniał, że Wyspy Południowe były krainą miedzi, że w kopalniach kryły się nieskończone zapasy tego metalu. Było go tak wiele, że niemal każde zabudowanie na Wyspach Południowych, najuboższa nawet chata, zawierała jakiś element miedzi. Fort jego ojca, najpiękniejsza i najbardziej wymyślna budowla na wyspie, pokryta była tak dużą ilością miedzi i błyszczała tak mocno, że widoczna była niemal z każdego miejsca na wyspach. Została zaprojektowana tak, by wprawiać ludzi w zachwyt – czy to przyjaciół, czy wrogów.

Erec oddychał ciężko i paliły go mięśnie nóg, gdy dotarł wreszcie na płaski teren i podszedł do budowli – zapomniał, że Wyspy Południowe są tak strome, że cała wyspa jest w zasadzie wielkim łańcuchem gór, sznurem wzniesień, wznoszących się i opadających, a ludzie muszą nieustannie pokonywać nieskończenie wiele stopni wykutych w skałach, by dotrzeć gdziekolwiek. A szczególnie do fortu jego ojca. Erec zrozumiał, że – bez względu na to, jak bardzo był sprawny – nie był tak sprawny, jak mieszkańcy Wysp Południowych. Zarówno tutejsi mężczyźni, jak i kobiety mieli nogi grube niby konary drzew, nawykli przez całe życie do wchodzenia i schodzenia.

Gdy Erec stanął przed wrotami z Alistair u boku, pół tuzina żołnierzy Wysp Południowych, od stóp do głów w miedzianych zbrojach, z miedzianym orężem, tarczami, błyszczący jak fort, rozstąpili się natychmiast na boki i otworzyli przed nimi wrota. Skłonili nisko głowy, traktując go jak króla. Erec poczuł się przez to dziwnie; dotarło do niego, że niebawem jego ojciec umrze – a on zostanie władcą.

Erec nigdy wcześniej nie był traktowany jak król i przekonał się, że nie podoba mu się to uczucie. W głębi duszy był pełnym pokory człowiekiem, który całe życie poświęcił temu, by być lojalnym żołnierzem, wojownikiem, rycerzem – nie polityce czy wygodom.

Jego życie poświęcone było służbie innemu, służbie Kręgowi, temu, by stać się najlepszym wojownikiem, jakim tylko mógł. Nie dbał o nic innego.

Widząc, że wszyscy ludzie na Wyspach Południowych traktują go w taki sposób, zrozumiał, że jego życie się odmieni. Już wkrótce mniej czasu będzie spędzał z bronią w ręku, mniej na zewnątrz, a więcej sprawując rządy, w zamkniętych salach. Nie był pewien, czy podoba mu się to uczucie. Czy tak przebiega ewolucja wojownika? – zastanawiał się. Powstaje z pola bitwy, z miejsca honoru, i wkracza w mętne obszary polityki? Erec sądził, że toczenie bojów jest zajęciem bardziej honorowym i że im



głębiej zapuszcza się w politykę i władzę, tym bardziej ryzykuje się swój honor. Czy przemiana z wojownika we władcę była naturalną ewolucją odpowiedzialności? Czy też może była to ewolucja wsteczna, niwecząca zaszczyty i cnoty?

Erec nie znał odpowiedzi na to pytanie i w głębi duszy czuł, że nie pragnie wcale jej poznać. Pragnął wieść proste życie jako wojownik, bronić swego królestwa, żyć pośród swych ludzi. Nie chciał rządzić nimi. Był jednak pierworodnym synem swego ojca i każdy na wyspach, także jego ojciec, będzie tego po nim oczekiwał.

Jeśli sprawowanie rządów na tych wyspach miało jakąś zaletę, to taką, że tutejsi królowie różnili się od władców w każdym innym zakątku świata; królem tutaj stawało się nie jedynie przez urodzenie – trzeba było na to także zasłużyć. By zasłużyć na władanie królestwem, Erec zostanie poddany sprawdzianowi na polu bitwy przez swych własnych ludzi. Odbędą się potyczki i każdy człek z ludu będzie miał prawo stanąć z nim w szranki. Jeśli któryś z nich go pokona, to on będzie władał królestwem.

Przynajmniej Erec – zakładając, że zwycięży – zostanie królem przez wzgląd na swe zasługi – nie tylko urodzenie.

Erec przemierzał korytarze, trzymając dłoń Alistair, a ich kroki rozchodziły się echem po miedzianych posadzkach. Słudzy i żołnierze ustawieni w rzędach skłaniali się, gdy ich mijali. Kolejni słudzy otworzyli przed nimi kolejne drzwi i weszli w kolejny korytarz, i jeszcze jeden, aż wreszcie stanęli przed drzwiami do komnaty jego ojca.

Ostatni żołnierz otworzył drzwi i Erec zebrał się w sobie, podenerwowany, zastanawiając się, w jakim stanie znajdzie ojca.

Alistair także zatrzymała się przed drzwiami i pociągnęła go za rękę.

- Mój panie, czy mam wejść razem z tobą? – spytała niepewnie.

Erec skinął głową.

- Zostaniesz moją żoną. Powinnaś poznać mego ojca, nim skona.

- Lecz nie widziałeś go od swych młodzińskich lat. Być może chciałbyś pomówić z nim sam.

Erec ścisnął jej dłoń.

- Gdzie ja idę, ty idziesz.

Weszli do komnaty i drzwi zamknęły się za nimi. Byli w pomieszczeniu sami z królem, nie licząc stojących ponuro pod ścianami sług.

Po raz pierwszy od kiedy był chłopcem, oczy Erec'a spoczęły na jego ojcu, i serce mu zamarło na jego widok. Ojciec leżał w łóżku, głowę wspartą miał na jedwabnych poduszkach, a jedwabne przykrycie okrywało go aż po pierś pomimo ciepłego letniego dnia. Zdawał się dużo starszy, słabszy, mniejszy, niż Erec go zapamiętał. Widok ten sprawił mu nieznośny ból.

W pamięci Erec'a jego ojciec był wysokim, postawnym, wielkim wojownikiem, raptownym i nieustępliwym mężczyzną, mądrym i przewidującym, darzonym szacunkiem przez wszystkich, którzy na niego spojrzeli. Był to człowiek, który zdołał objąć tron za swych młodzieńczych lat, pokonawszy innych – w żyłach których płynęła królewska krew – samą tylko siłą, determinacją i umiejętnościami bojowymi.

Jako że był wojownikiem, a nie władcą, mężczyzną, który nie pochodził z królewskiego rodu, wszyscy wyspiarze pewni byli, że nie zdoła utrzymać tronu i nie będzie dobrym władcą. Lecz jego ojciec zaskoczył ich wszystkich. Okazał się być nie tylko najlepszym wojownikiem na wyspach, lecz także wspaniałym i przebiegłym władcą. Zdołał przez całe życie utrzymać się na tronie – i umocnić swą pozycję – a także uczynić z Wysp Południowych znacznie silniejsze miejsce niż to, którym było uprzednio.

To on odkrył kopalnie miedzi, on doprowadził ich do bogactwa, pomógł postawić większość miedzianych budowli na wyspie; to on powiększył flotę rybacką, umocnił klify, sprawił, że wyspa opływała w dostatki – i odparł wszystkie ataki. Przez wszystkie te lata, wbrew przewidywaniom innych, święcił triumfy i niespodziewanie okazał się być najświetniejszym królem, jakiego kiedykolwiek miały Wyspy Południowe.

A teraz ten potężny mężczyzna leżał, konając, i Erec wiedział, że niełatwo będzie zostać jego następcą. Nie wiedział, czy zdoła – czy ktokolwiek by zdołał – go zastąpić.

- Ojciec – powiedział Erec. Dał krok naprzód i zatrzymał się przy jego łóżku. Serce mu pękało.

Król podniósł nieznacznie powieki, a na widok Erec'a otworzył je szerzej. Uniósł nieco głowę, ledwie odrobinę, spojrział na Erec'a i wyciągnął słabą dłoń.

Erec ujął ją i ucałował. Była pomarszczona, stara i zimna. Miał wrażenie, że dotyka śmierci.

- Synu mój – rzekł tęsknym głosem.

Erec darzył swego ojca podziwem jako króla i jako żołnierza; miał jednak sprzeczne uczucia wobec niego jako ojca. Odesłał go wszak w bardzo młodym wieku, odesłał z dala od wszystkiego, co znał i kochał. Wiedział, że ojciec uczynił to dla jego dobra, jednak w głębi duszy spokoju nie dawało mu wrażenie, że jego ojciec nie chciał go tu. Albo był bardziej zainteresowany byciem królem niż ojcem.

Po części – nie mógł temu zaprzeczyć – wolałby tu pozostać, być blisko, wieść życie ze swym ojcem i rodziną; po części, Erec musiał to przyznać, nienawidził swego ojca za to przymusowe wygnanie, za to, że wybrał jego życie za niego.

- Przybyłeś przed moją śmiercią – rzekł.

Erec skinął głową. Oczy zaszyły mu łzami, gdy usłyszał słaby głos swego ojca.

Zdawało się niewłaściwe, że tak wielki wojownik stał się słabym mężczyzną.

- Być może nie umrzesz, ojcie – powiedział.

Ojciec pokręcił głową

- Każdy uzdrowiciel oglądał mnie dwukrotnie. Miałem skonać wiele miesięcy temu.

Wytrzymałem – powiedział, zanosząc się kaszlem. – By cię ujrzeć.

Erec dostrzegł, że oczy jego ojca zaszyły łzami i poznał, że ojcu naprawdę zależało na nim. Poruszyło go to do głębi serca. Erec poczuł, jak wbrew niemu w oku kręci mu się łza. Otarł ją szybkim ruchem.

- Zapewne sądziłeś, że nie dbałem o ciebie, gdyż odesłałem cię stąd wiele lat temu.

Uczyniłem to jednak właśnie dlatego, że *dbałem* o ciebie. Wiedziałem, że życie wśród MacGilów przyniesie ci sławę, reputację i pozycję ponad wszystko, co mógłbyś osiągnąć tutaj, na naszych niedużych wyspach. Jako chłopiec byłeś najświetniejszym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Odważę się nawet rzec, że widziałem w tobie siebie. To prawda, nie chciałem pozbawiać MacGilów twych umiejętności; lecz prawdę powiedziawszy, rzeknę ci, nie chciałem także pozbawiać ciebie siły, którą mogłeś tam zdobyć.

Erec skinął głową, poruszony. Zaczynał pojmować i patrzeć na swego ojca w zupełnie innym świetle.

- Rozumiem, ojciec.

Jego ojciec zaniósł się znów kaszlem, a gdy przestał, podniósł wzrok i spostrzegł Alistair. Przywołał ją ruchem dłoni.

- Twa oblubienica – powiedział. – Chcę się jej przyjrzeć.

Erec odwrócił się i skinął głową, a Alistair zbliżyła się niepewnie. Przyklęknęła obok Ereca, wyciągnęła rękę i ucałowała dłoń jego ojca.

- Mój panie – rzekła cicho.

Przyglądał się jej bacznie przez długi czas, po czym wreszcie skinął głową z zadowoleniem.

- Jesteś nie tylko piękną kobietą – powiedział. – Widzę to w twych oczach. Jesteś także wojowniczką. Erec dokonał słusznego wyboru.

Alistair skinęła głową. Zdawała się być poruszona.

- Bądź dla niego dobra – dodał król. – Pewnego dnia zostaniesz królową tych ziem.

Królowa musi być kimś więcej niż tylko oddaną żoną. Bądź także dobra dla mego ludu.

Lud potrzebuje króla – lecz także królowej. Nie zapominaj o tym.

Alistair skinęła głową.

- Tak, mój panie.

- A teraz muszę pomówić z tobą – powiedział do Ereca.

Erec skinął głową do Alistair, a ona skłoniła się, odwróciła szybko i wyszła z komnaty, zamykając za sobą drzwi.

- Zostawcie nas. Wszyscy – zawołał król.

Słudzy jeden za drugim spieszenie opuścili pomieszczenie i zamknęli drzwi.

Erec i jego ojciec pozostali sami i cisza zdała się cięższa. Erec ścisnął dłoń ojca, pozwalając, by po jego policzku stoczyła się łza.

- Nie chcę, byś umarł, ojciec – powiedział, powstrzymując łzy.

- Wiem, synu. Lecz mój czas na tym świecie dobiegł kresu. Tylko kilka spraw mnie jeszcze zajmuje. Najbardziej zajmujesz mnie ty.

Kasłał przez długi czas, po czym nachylił się w przód.

- Posłuchaj mnie – rozkazał głosem nagle stanowczym, niosącym w sobie siłę, którą Erec pamiętał z dzieciństwa. Podniósł wzrok i ujrzał na twarzy swego ojca iskrę zaciętej determinacji, którą pamiętał z dawnych lat. – Wiele musisz zrozumieć, lecz masz niewiele czasu na naukę. Mój lud – twój lud – jest bardziej skomplikowany, niż sądzisz.

Nie zapominaj nigdy o naszej przeszłości. Setki lat temu nasze wyspy były jedynie miejscem zsyłki więźniów, wyrzutek, wygnanych, niewolników – wszystkich ludzi, których Krąg nie chciał. Posyłali ich tutaj, by umarli. Lecz my zaskoczyliśmy ich i przeżyliśmy. Stworzyliśmy własny lud. I zmieniliśmy się przez stulecia. Staliśmy się samowystarczalni. Jesteśmy najświetniejszymi wojownikami w całym Imperium.

Zręczni z nas marynarze, rybacy, rolnicy – nawet na tych nierównych klifach. Teraz, stulecia później, nie jesteśmy już wyrzutekmi, lecz klejnotem w koronie, narodem wojowników, żyjącym w dostatku. Nasze relacje z MacGilami poprawiły się przez minione lata do tego stopnia, że posyłamy im naszych wojowników, by ich szkolili, a oni nam swoich. MacGilowie potrzebują naszych wojowników. Zawsze istniał między nami niepisany sojusz. W czasach wielkich niepokojów lub zagrożenia spodziewają się, że przyjdziemy im z pomocą. Musisz jednak zrozumieć, że nasi ludzie są rozdarci. Wedle niektórych wiele im zawdzięczamy i ci pozostaną im lojalni do śmierci. Lecz wielu spośród nas to izolacjoniści. Nienawidzą Kręgu i nie chcą pomagać.

Spojrzał na Erec'a porozumiewawczo.

- Musisz rozumieć swych ludzi. Jeśli spróbujesz zebrać ich, by bronić Kręgu, możesz rozpętać wojnę domową. To lud dumny i uparty. Spróbuj poprowadzić ich wszystkich, a nie poprowadzisz żadnego. Musisz prowadzić ostrożnie. Pojmujesz? To ty, jako król, musisz decydować.

Kolejny atak kaszlu męczył jego ojca przez długi czas, a Erec siedział bez ruchu, próbując przyswoić sobie to wszystko. Zaczynał rozumieć, że jego lud i ich polityka były znacznie bardziej złożone, niż sądził.

- Ależ ojciec, MacGilowie przyjęli mnie jak swego. Krąg jest moim drugim domem.

Przysięgłem przyjść im z pomocą, jeśli kiedykolwiek będą jej potrzebować – a zawsze dotrzymuję słowa.

Jego ojciec skinął głową.

- A teraz poznasz, co to znaczy być królem. Łatwo jest dać słowo – i go dotrzymać – jako wojownik; znacznie trudniej jest to uczynić będąc władcą. Jeśli twój lud nie podąży za tobą, kim w zasadzie rządysz?

Erec rozważył jego słowa, a jego ojciec nagle zamknął oczy. Uniósł dłoń i ruchem dłoni nakazał mu, by wyszedł. Erec pragnął pożegnać się z nim, uściskać go.

Lecz nie tak postępował jego ojciec – zawsze tak było. Ojciec jego był oziębłym, nieustępliwym mężczyzną, gdy tego chciał – a nawet szorstkim w obejściu. A teraz Erec poznał, że nie chce mu rzec już nic więcej. Erec usłyszał to, co miał usłyszeć.

Gdy odwrócił się w stronę drzwi, a jego ojciec nadal zanosił się kaszlem, Erec wiedział, że widzi go po raz ostatni. Coś go zastanowiło. Erec był dziedzicem królestwa – lecz czy jego ojciec w istocie kochał go jak syna? Czy jedynie jako dziedzica swych interesów? Jedna jeszcze myśl uderzyła Ereca niby nóż wbity w pierś: jeśli bycie królem oznaczało postępowanie niezgodne z danym słowem, honorem, przez wzgląd na poddanych, to czy Erec mógł tak postępować? Erec żył zawsze dla honoru i dla honoru oddałby życie, bez względu na cenę. Czy jednak będzie mógł pozwolić sobie na to jako król? Zniszczyłby siebie dla honoru – lecz czy potrafiłby zniszczyć królestwo?

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Gwendolyn stała na dziobie ogromnego, płynącego na czele jej floty okrętu ze wzrokiem utkwionym w widnokręgu, unosząc się i opadając wraz z rozkołysanym na falach statkiem. Wzięła głęboki oddech, wiedząc, że z każdą sekundą, każdą falą, oddalają się coraz bardziej od Kręgu.

Płynęli w porywistym wichrze i mgle. Deszcz w końcu ustał, lecz gęste, ciemne chmury nie chciały ustąpić. Choć było lato, było coraz zimniej, im dalej na północ się kierowali. Gwen otuliła się ciasno opończą. Trzymała mocno Guwayne'a, przyciskając go do piersi, rozkoszując się jego ciepłem, kołysząc go, patrząc w dal i zastanawiając się, jaka przyszłość leży przed nimi.

Gwendolyn nie odwróciła się i nie spojrzała za siebie ani razu, choć wiedziała, że

Krąg znajduje się już daleko i go nie widać. Obawiała się, że jeśli się odwróci, dostrzeże smoki Romulusa, że jakimś sposobem udało im się przebić tarczę Argona i ruszyć za nimi. Wspomniałszy sobie ten okropny widok, żar ich płomieni, gdy się zbliżyły, wzdrygnęła się; nie chciała zapeszyć.

Wokoło niej był tylko ocean, zewsząd otaczała ją bezkresna monotonia wody. Lecz to nie miało znaczenia; woda była dla niej przyjemną odmianą. Nie potrafiła obejrzeć się za siebie, w stronę, gdzie niegdyś leżał jej dom. Było to zbyt bolesne. Wiedziała, że wszystko, co kiedykolwiek kochała i wielbiła, zostało zrównane z ziemią; w Królewskim Dworze – myśl ta wzbudziła w niej mdłości – znajdowali się teraz Romulus i jego żołnierze, jego smoki. Wszyscy jej ludzie w Kręgu, ci, którzy nie zdołali uciec wraz z nią, z pewnością nie żyli. Jej ojczyzna już nie istniała. Gwen była zdruzgotana; czuła, jak gdyby jakimś sposobem to wszystko było jej winą. Żałowała z całego serca, że nie zdołała ocalić więcej ludzi.

Mogli pokładać nadzieję jedynie w tym, co leżało przed nimi. Gwen rozejrzała się i ujrzała tuziny swych okrętów. Nie potrafiła wyzbyć się wrażenia, że uciekają jak wygnańcy, zbiegają masowo z urodzajnych ziem Kręgu ku osamotnionym, skalistym, nękanym burzami Wyspom Górnym. Gwen zadrżała na myśl, że reszta jej dni, reszta dni jej ludu, dokonać się będzie musiała w takim miejscu; przynajmniej jednak – rzekła sobie – żyli. Przetrwali. Jak na razie jedynie to się liczyło.

Gwen wiedziała, że nie zostaną powitani serdecznie; czekało ich jedynie chłodne – jeśli nie wrogie – przyjęcie przez ludzi Tirusa. Gwen wysłała Reece'a, by przeprosił Tirusa i od tej pory nie doszły jej żadne nowe wieści; któż wiedział, jak Tirus to przyjął?

Czy będzie względem nich uprzejmy, gdy się pojawią? – zastanawiała się. Z jakiegoś powodu wątpiła w to. Znalazła się teraz w miejscu zimnym, na pustkowiu, utknęła pomiędzy jednym przeciwnikiem a drugim. Ona i jej ludzie zmuszeni byli walczyć – z jednej czy drugiej strony, bez względu na obrany kierunek – by przeżyć.

Gwen zamknęła oczy i spróbowała odsunąć od siebie przerażające obrazy; pomyślała o wszystkich ludziach, których musiała zostawić tam, w Kręgu, którzy byli jednak pod jej opieką. Potrząsnęła głową, myśląc o rodzinach, które leżały już teraz martwe, zabite przez Romulusa i oddech jego smoków. Nie pojmowała, jak mogło do tego dojść. Romulus jakimś sposobem zdołał zniszczyć Tarczę i panował nad wszystkimi tymi smokami. W istocie, przeczuła zbliżającą się zagładę, lecz nigdy nie wyobrażała sobie ogromu tego zniszczenia.

Gwen miała ochotę osunąć się, poddać się, tak była osłabiona i wycieńczona w każdy

możliwy sposób. Zmusiła się jednak, by pozostać silną. Była wszak królową i wciąż sprawowała rządy, a jej lud oczekiwał, że będzie im przewodzić. Jej rządy ograniczały się teraz jedynie do tego okrętu, tej floty, tych setek ludzi, lecz nie było to wcale tak niewiele. Przez wzgląd na nich nie mogła się poddać.

Gwen pragnęła pomówić z kimś, i to bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Na myśl przyszedł jej Argon i przypomniała sobie, jak Ralibar zrównał się z nimi i położył bezwładne ciało Argona na pokładzie, gdzie czarnoksiężnik leżał do tej pory; Gwendolyn i inni próbowali go zbudzić, lecz na próżno. Serce pękało jej z tego powodu i zastanawiała się, czy Argon opuścił ich tym razem na dobre. Ralibar odleciał nie wiadomo dokąd, nie wiedziała też, czy kiedykolwiek do niej powróci. Gwendolyn nigdy nie czuła się tak samotna. Bez Argona, bez Ralibara, bez Thora – i z jedynie kilkoma tysiącami ludzi – jaką nadzieję mogli żywić? Wiedziała, że poszczęści im się, jeśli w ogóle dotrą do Wysp Górnych. Jeśli tarcza Argona zostanie opuszczona, zginą. Nie przetrzymają bezpośredniego ataku Romulusa i jego smoków, a wiedziała, że w końcu wyruszą oni za nimi.

Gwen spojrzała w dal, w horyzont, w nękane sztormem morze. Nigdy tak jak w tej chwili nie żałowała, że Thorgrina nie ma tutaj, u jej boku.

- Pani? – dobiegł ją cichy głos.

Gwendolyn odwróciła się i ujrzała swego brata, Kendricka. Zbliżał się ku niej wraz z jej drugim bratem, Godfreyem, oraz Steffenem i Abertholem. Ich obecność niosła jej ukojenie i była rada, że przynajmniej oni przeżyli.

- Nieprędko jeszcze dotrzemy do Wysp, nie wiemy nawet, czy dzisiaj. Zapada noc i wichur przybiera na sile. Czy zejdziesz z nami pod pokład? Stojąc tutaj, nabawisz się choroby, a nie sprawisz, że dotrzemy tam szybciej.

Gwendolyn potrząsnęła głową.

- Nie chcę, byśmy dotarli tam szybciej. Chcę powrócić do Kręgu. Lecz on już nie istnieje. Został zniszczony na zawsze – odparła, przygnębiona. – I to z mojej winy.

Odwróciła się i stanęła do nich przodem, a Kendrick i reszta wymienili poważne spojrzenia. Gwen przyrzekła sobie, że będzie silna.

- To nie twoja wina, pani – odrzekł Steffen. – Jest zgoła inaczej. Ocaliłaś wszystkich tych ludzi, których widzisz tutaj.

- Spodziewam się, że dopłyniemy o świtaniu – powiedział Kendrick. – A nasi ludzie



muszą być przygotowani. Wątpię, byśmy zostali ciepło przyjęci. Schwyciliśmy kruka zmierzającego ku Kręgowi. Niósł wieści, że nasz brat zabił Tirusa.

- Co takiego?! – zapytała Gwen, zaszokowana.

Kendrick skinął głową z poważnym wyrazem twarzy.

- Posyłam go, by go przeprosił, a on go zabija? – spytała Gwen, głowiąc się, by to wszystko zrozumieć. Ledwie była w stanie pojąć, co się stało, i była wściekła na Reece'a.

- Wieść niesie, że na wyspie wybuchł otwarty bunt, że nasi ludzie zostali odcięci na niewielkiej flocie okrętów. Być może zdołamy dotrzeć do nich na czas.

Gwendolyn skinęła głową, zdeterminowana.

- Tirus zasługiwał na śmierć – rzekła. – Lecz Reece postąpił jak głupiec, sprzeciwiając się moim rozkazom. Nie pozostawimy jednak nikogo bez pomocy.

Będziemy płynąć tak szybko, jak tylko możemy przez całą noc i jeśli zajdzie taka potrzeba, będziemy walczyć na śmierć i życie, by uratować naszych żołnierzy.

Spojrzała na swych ludzi, którzy patrzyli na nią w oczekiwaniu, że będzie im przewodziła. W jej głosie wezbrała pewność.

- Nie troskajcie się – rzekła im. – Odbierzemy Wyspy Górne. Przynajmniej w tym względzie nam się powiedzie. A gdy już tam dotrzemy, ustanowimy tam nową twierdzę, nowy dom dla nas, którym udało się uciec z Kręgu.

Wszyscy skinęli głowami i widziała, że z jej słów, z jej pewności czerpią otuchę.

- A co jeśli zakłęcie Argona osłabnie? – zapytał Godfrey. – Co jeśli smoki wydostaną się? Jakim sposobem miałyby nam się udać je odeprzeć?

- Romulus zdobył teraz Krąg – odrzekła Gwen. – Być może zadowoli go to i nie wyruszy za nami.

- A jeśli będzie inaczej? – naciskał Aberthol.

- Wtedy nie będziemy mieli wyjścia i staniemy z nim do walki. I z jego smokami.

Na twarzach mężczyzn malowała się powaga.

- Ależ, pani, nie zwyciężymy ich – powiedział Aberthol. – Musielibyśmy stanąć do walki z dziesiątkami smoków i milionową armią.

Gwendolyn skinęła głową, pojmując, że ma rację.

- Wpierw dotrzyjmy do Wysp, uwolnijmy naszych braci i ustanówmy tam dom.

Módlmy się, by Argonowa tarcza wytrzymała.

- A jeśli będzie inaczej? – obstawał Aberthol. – Czy inne wyjścia nie wchodzą w rachubę?

Gwen odwróciła się i spojrzała w dal, na horyzont równie ponury, co jej nastrój.

Wiedziała, że odpowiedź jest przecząca.

- Owszem, wchodzą – powiedziała. – Możemy postąpić, jak zawsze: walczyć o nasz honor – i na śmierć.

\*

Godfrey i Illepra siedzieli pod pokładem. Zapadła już noc, a ogromny okręt kołysał się w górę i w dół. Godfrey oparł się o ścianę, a Illepra opatrywała jego rany, raz po raz owijając jego rękę. Przyglądając się jej z tak bliska, spostrzegł, że patrzy na niego inaczej. Wcześniej zawsze widział w jej spojrzeniu dezaprobatę – teraz jednak z zaskoczeniem ujrzał, że uśmiecha się do niego, owija jego rękę powoli i troskliwie, delikatnie odcina bandaż, opatruje jego rany z miłością i troskliwością.

- Zmieniłeś się – rzekła do niego.

Godfrey spojrzał na nią, zaskoczony.

- Zmieniłem się? – spytał. – To zabawne, gdyż myślałem właśnie to samo o tobie.

- Nie jesteś już chłopcem, którym byłeś niegdyś – powiedziała. – Jesteś teraz mężczyzną. Powstałeś i walczyłeś jak mężczyzna. Dla innych, dla dobra swego miasta postawiłeś na szali swe życie. Niewielu by tak postąpiło. Jestem zaskoczona. Nie spodziewałam się tego po tobie.

Godfrey zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

- Nie postąpiłem tak przez wzgląd na ciebie. Nie zabiegałem o twą aprobatę, nie

zabiegałem o niczyją aprobatę – a w szczególności mego zmarłego ojca. Postąpiłem tak dla siebie. I dla mej siostry.

- Lecz postąpiłeś tak. Wiem, że nie jesteś taki, jak twój ojciec. Ale powiem ci coś: sądzę, że staniesz się nawet wspanialszy niż on kiedykolwiek był.

Godfrey uniósł brwi, zaskoczony jej słowami.

- Drwisz sobie ze mnie – powiedział.

Potrząsnęła głową, a na jej twarzy odmalowała się powaga.

- Ojciec twój urodził się pośród pozycji i przywilejów – rzekła. – Urodził się, by zostać królem. Od ciebie jednak niczego nie oczekiwano, gdyż jesteś środkowym dzieckiem. Sam to osiągnąłeś. Nie przystałeś na zaistniały porządek, lecz miast tego wyszukałeś sposób na życie, który najbardziej odpowiada tobie i doszedłeś do własnych wniosków. Nie dlatego, że ktoś cię ku temu pchnął. Nie dlatego, że spodziewano się po tobie czegokolwiek. Podążałeś jedną drogą i zawróciłeś, zupełnie sam. Pokonałeś sam siebie. Łatwo jest być wojownikiem, gdy przez całe życie nie robiło się nic innego; znacznie trudniej jest jednak, gdy dochodzisz do tego później, gdy sam decydujesz, że ty także możesz być wojownikiem, jak wszyscy.

Jej słowa poruszyły Godfreya; po raz pierwszy w życiu ktoś zasypał go pochwałami.

Zaczerwienił się.

- Wielu wojowników włada mieczem i włócznią lepiej niż ja – rzekł z pokorą. – Nigdy im nie dorównam. Zbyt późno zaczynam.

Illepra potrząsnęła głową.

- Nie w tym rzecz i nie są to jedyne umiejętności, które tworzą wojownika – powiedziała. – Trzeba honoru. Woli. Poświęcenia. A tego ci teraz nie brak. Czy to w sobie dostrzegasz, czy nie, ja to w tobie widzę.

Illepra zaskoczyła Godfreya, nachylając się i składając na jego ustach pocałunek. Nie opierał się.

A po chwili, oszołomiony, odwzajemnił go.

Nie przerywali pocałunku przez długi czas, aż wreszcie Illepra odsunęła się i uśmiechnęła do niego.

- Dużo czasu upłynęło, odkąd kogoś całowałam – powiedziała.

- Musimy to zatem powtórzyć – rzekł Godfrey z uśmiechem, nachylił się i pocałował ją raz jeszcze. Gdy trwali w pocałunku, gdy ich ciepłe wargi zetknęły się tej zimnej nocy, Godfrey zapomniał o bólu ręki. Po raz pierwszy od nie pamiętał jak dawna, na tym kołyszającym się statku na pustkowiu, czuł się jakby znalazł się w domu.

Być może, pomyślał, wcale nie tak źle być wojownikiem.

\*

Steffen stał na pokładzie okrętu w deszczu i wietrze. Mrok poczynał z wolna rozrzedzać się. Steffen stał w pobliżu Gwendolyn, wystarczająco daleko, by jej nie przeszkadzać. Gwen utkwiała wzrok w morzu, jak gdyby wyglądała dawno niewidzianego przyjaciela, przyciskając do piersi Guwayne'a. Steffen pozostał tam na długo po tym, jak pozostali zniknęli pod pokładem. Nie potrafił pozostawić jej zupełnie samej.

Przy nim stała Arliss, która trwała u jego boku przez większość podróży, tak jak od chwili, gdy się poznali. Steffenowi schlebiało to, że zależy jej na nim; nie doświadczył nigdy podobnego uczucia i obezwładniony był miłością do niej.

- Królowa chce być sama – rzekła Arliss do Steffena. – Zejdźmy na dół, do pozostałych.

Głos jej pełen był troski i niepokoju.

To, że ktoś się o niego troszczy, było Steffenowi zupełnie obce; wątpił wciąż, czy Arliss naprawdę go kocha, czy też może płata mu okrutnego figła i jedynie udaje miłość do niego – jak czynił każdy w jego życiu do tej pory.

Jednak im więcej czasu Steffen z nią spędzał, tym bardziej wierzył w jej szczerść.

Naprawdę go kochała. Trudno mu było przyjąć to uczucie. Nikt nigdy nie kochał go prawdziwie, bezwarunkowo, zwyczajnie za to, kim był. Niemal nie wiedział, jak na to zareagować. Wiedział jedynie, że czuje względem niej ogromną miłość i wdzięczność.

- Proszę, zejdź na dół, kochana – powiedział do niej. – Przemarznieš tu i przemoknieš. Ja nie mogę pójść z tobą. Nie kiedy Gwendolyn pozostaje na górze.

- Lecz nalegała, byś zszedł na dół.

Wzruszył ramionami.

- Nie lubię tracić jej z oczu. Przynajmniej w chwilach, gdy Thorgrina nie ma obok.

Wiele jej zawdzięczam.

Arliss skinęła głową.

- Pojmuję. Nasza królowa ma ujmującą naturę; przyjęła mnie jak siostrę i czuję względem niej tę samą lojalność, co ty. Lecz tutaj nie czyha na nią nic złego. Jest wśród swoich ludzi. Na okręcie, pośrodku oceanu.

- Wiem – rzekł Steffen. – Lecz to mój obowiązek. A obowiązki traktuję bardzo poważnie.

Arliss zacisnęła dłonie na relingu, spoglądając w dal. Steffen dostrzegł smutek na jej twarzy.

- Co się stało, kochana? – spytał.

Westchnęła.

- Przytłacza mnie myśl o Kręgu, o wszystkim, co tam zostawiliśmy. Trudno mi to pojąć. Wszyscy, których znaleźliśmy i kochaliśmy, wszystko – zupełnie zniszczone. Krąg został zrównany z ziemią. Jak to możliwe?

Steffen pokręcił głową ze zrozumieniem. On sam także czuł pustkę w duszy. Nie wiedział, co odrzec. Wrócił myślami do swej rodzinnej osady, do swej rodziny, teraz już z pewnością martwej, i choć nigdy nie byli oni dla niego mili, odczuł żal.

- Czy myśl o tym nie napawa cię smutkiem? – obstawała. – O tym, że życie nigdy już nie będzie wyglądało tak samo? Że nigdy nie powrócimy do domu?

Steffen spojrział w dal, ku horyzontowi, i westchnął.

- Ja nie pozostawiłem za sobą nic – powiedział. – Wszystko to, co pozostało w naszej ojczyźnie, wszystkie osady Kręgu – nie mają dla mnie żadnego znaczenia. A ludzie, na których mi zależy, są tutaj. Możemy wznieść nasze rodzinne miasto od nowa. To szansa, by zacząć ponownie. Zależy mi jedynie na moim obowiązku. Czyli Gwendolyn. A teraz, co oczywiste, tobie – rzekł, opuszczając głowę i czerwieniąc się.

Arliss, wyraźnie poruszona, spojrzała na niego i uśmiechnęła się, a następnie

pocałowała go.

Nie odsuwali się przez długi czas.

W końcu westchnęła i zwróciła wzrok ku morzu.

- Ludzie, z którymi dorastaliśmy, byli okrutni – powiedziała. – Nie zasługują na nasze łzy. A jednak część mnie czuje się winna. Wszak tylko my uciekliśmy. Co gdybym nie przybyła do Królewskiego Dworu? Gdybym cię nigdy nie poznała? Byłabym teraz martwa.

Wzrok Steffena powędrował ku widnokręgowi i mężczyzna zdał sobie sprawę z tego, że nie myślał o tym uprzednio w ten sposób.

- Kocham cię – rzekła. – Zawdzięczam ci życie.

Steffen pokręcił głową.

- W żadnym razie. To nie ja cię ocaliłem. To los.

- Lecz los pchnął mnie ku tobie.

Przysunęła się blisko, a Steffen otoczył ją ramieniem i trzymał mocno, przesuwał dłoń po jej drżącym ramieniu. Było to niezwykle uczucie – trzymać dziewczynę blisko siebie, czuć się chcianym, kochanym. Odnosił wrażenie, że jego życie ma teraz większe znaczenie niż uprzednio. Nie czuł się już tak osamotniony.

- Kochana, drzysz – powiedział. – Mgła gęstnieje. Proszę. Zejdź pod pokład.

- Tylko jeśli obiecasz dołączyć do mnie.

Chcąc, by zeszła pod pokład, skinął wreszcie głową.

- Dołączę – rzekł. – Wkrótce.

Arliss nachyliła się, pocałowała go i spiesznie deszła.

Steffen zwrócił się znów w kierunku Gwendolyn. Wciąż stała samotnie, zwrócona plecami do niego, wpatrując się w ocean, z Guwayne'em na rękach. Zastanawiał się, jakie myśli przebiegają jej przez głowę.

Steffen nie mógł pozwolić, by stała tam sama, przemierzając do szpiku kości.

Postanowił pójść do niej raz jeszcze i błagać, by zeszła na dół. Wiedział, że nie będzie chciała tego uczynić, gdyż jest dumna i uparta, a głowę zaprzęta jej tak wiele spraw.

Czuła, że musi tu pozostać – wiedział o tym – by poświęcić się dla swych ludzi; zawsze taka była. Steffen kochał ją i podziwiał za to. Pragnął jednak, by była bezpieczna.

Steffen począł zbliżać się w jej kierunku, gdy wtem dostrzegł kątem oka jakiś ruch.

Coś przemieszczało się szybko w ciemności po drugiej stronie pokładu i Steffenowi serce zamarło, gdy ujrzał sylwetkę w czarnym kapturze. Przemykała w mroku i mgle, biegnąc przy burcie okrętu, prosto do Gwendolyn.

Coś błysnęło w świetle i Steffen z przerażeniem spostrzegł ostrze sztyletu.

Zrozumiał, że mężczyzna jest zabójcą. W jego dłoni błyszczało ostrze i biegł, by zabić Gwendolyn.

- Gwendolyn! – zawołał Steffen.

Puścił się biegiem w jej kierunku – lecz zabójca miał już nad nim znaczną przewagę.

Gwen odwróciła się, usłyszawszy jego krzyk i ujrzała biegnącego ku niej mężczyznę.

Przygarnęła mocno Guwayne'a, odczekała do ostatniej chwili i odsunęła się; zabójca przebiegł obok niej, omijając o włos, a jego nóż przeciął powietrze. Mężczyzna zatoczył się w stronę dziobu okrętu.

Steffenowi nie trzeba było więcej czasu. Ruszył do przodu, a gdy zabójca odwrócił się, Steffen bez wahania dobył miecza i zatopił go w sercu mężczyzny.

Zabójca krzyknął i wciągnął gwałtownie powietrze, jego usta i gardło broczyły krwią. Osunął się w ramiona Steffena, jak gdyby go obejmował. Steffen puścił go i mężczyzna padł na pokład, martwy.

Na pokładzie rozbrzmiały rogi i w ciągu kilku chwil tuziny rycerzy, na czele których biegli Kendrick i Godfrey, nadbiegły z głębi statku, pędząc ku Gwendolyn, która stała bez ruchu, poblada.

- Czy wszystko w porządku? – spytał ją Kendrick, oddychając ciężko. Z przerażeniem opuścił wzrok na martwe ciało, a następnie rozejrzał się na wszystkie strony w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów kolejnego zabójcy. Nikogo jednak nie ujrzał.

Gwendolyn skinęła głową.

Kendrick pochylił się i podciągnął martwego zabójcę na nogi. Szarpnięciem ściągnął mu kaptur i z odrazą przyjrzał się jego twarzy.

- Jeden z ludzi Tirusa – powiedział Godfrey, wychodząc naprzód. – Szpieg.

Kendrick uniósł go wysoko nad głowę i cisnął przez burtę. Patrzyli, jak jego ciało wpada do oceanu z pluskiem i szybko oddala się, niesione falami.

- Steffen ocalił mi życie – rzekła Gwen.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się na Steffena, a on poczerwieniał, znalazłszy się w centrum uwagi, i opuścił wzrok.

- Jesteś oddanym żołnierzem – zwrócił się do niego Kendrick i w pełnym wdzięczności geście położył dłoń na jego ramieniu. – Nasz ród wiele ci zawdzięcza.

Gwendolyn obróciła się w jego stronę.

- Raz jeszcze zawdzięczam ci życie – powiedziała. – A tym razem także życie mego dziecka. Jesteś kimś więcej niż sługą. Od dzisiaj jesteś rycerzem.

Steffen, zaszokowany, zaczerwienił się.

- Uklęknij – powiedziała.

Uklęknął, a ona wzięła miecz Kendricka i końcem klingi dotknęła obu ramion Steffena.

- I powstań, sir Steffenie – rzekła.

Steffen podniósł się z wolna, a zebrani dokoła niego mężczyźni zakrzyknęli radośnie z aprobatą i każdy podszedł, by poklepać go po plecach. Steffen miał wrażenie, że świat wokoło wiruje; nie spodziewał się nigdy niczego podobnego.

Sztorm przybrał na sile i Steffen dołączył do pozostałych – także Gwendolyn – którzy zeszli pod pokład. Schodząc, rzucił ostatnie, długie spojrzenie na rozszalały ocean. Zastanawiał się, jakie jeszcze niebezpieczeństwa czekają ich w tej podróży.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**



Thor leżał na plecach w błocie, patrząc w górę na Andronicusa, który uniósł obojgiem rąk topór bojowy i gotował się, by przeciąć swego syna w pół.

Thor wyczuwał nienawiść, jaką czuł do niego jego ojciec, jego wściekłość, czuł, że za chwilę zostanie zabity – najgorsze jednak było to, że wiedział, że on sam wszystko to stworzył. Wiedział, że wszystko, co widział przed sobą jest jedynie odbiciem jego własnej świadomości, lecz mimo tego nie potrafił nad tym zapanować. Zginie tutaj, w tym miejscu, a wszystko to przez jego własną podświadomość, jego największe lęki.

Thor zamknął oczy i zmusił się, by przyzwać swą wewnętrzną moc. Przywołał w pamięci wszystkie chwile, w których szkolił się z Argonem, a słowa czarnoksiężnika rozbrzmiewały mu w głowie.

*Jesteś silniejszy niż każde zło we wszechświecie. Ty i wszechświat nie istniejecie odrębnie. Nie opieraj się energii wokoło ciebie. Nade wszystko, nie opieraj się sobie samemu.*

Thor słyszał słowa Argona po wielokroć, próbował rozważyć ich znaczenie, ćwiczył się i próbował wcielić je w życie. Czasami odnosił sukces, innymi razy – nie. Nigdy nie zapanował w pełni nad swymi mocami, nad wszechświatem. Gdy skupił się, sięgnął do najgłębszej części siebie, pojął, że coś wewnątrz niego zawsze go wstrzymywało; nigdy w pełni nie uznał swych mocy. Nigdy nie uznał do końca, kim jest. Widział swe moce zawsze jako odrębną część siebie. Teraz po raz pierwszy dotarło do niego, że on i jego moce są jednym. Były wplecione w samą istotę jego życia.

Thor poczuł przypływ mocy, gdy zdał sobie sprawę, że z dumą uznaje swe moce, że jest dumny z tego, kim jest.

Otworzył oczy i ujrzał spadający na niego topór – lecz tym razem wszystko działało się inaczej. Tym razem widział świat wokoło siebie w zwolnionym tempie; tym razem był częścią niego, nie był odrębny. Gdy broń zbliżała się ku niemu, Thor poczuł nagle, że sprawuje całkowitą władzę nad swym umysłem. Przetoczył się z drogi i zarazem przemienił błoto obok siebie w wodę; topór Andronicusa przeleciał w dół i ominął go o włos, miast w nim zatapiając się w kałuży.

Topór wpadł do wody, a Andronicus zatoczył się w przód i wpadł twarzą w błoto.

Thor podniósł się i stanął w błocie, a wtedy kontrolę nad nim przejęła jego intuicja.

Miał szukać oręża, miał przeczesywać otoczenie, Thor poczuł, że może dopasować je do siebie. Może je kontrolować.

Obrócił się i jego oczy spoczęły na Mieczu Przeznaczenia, wciąż zatkniętym w błocie. Gdy Andronicus wstał, Thor podszedł ze spokojem do oręża, położył lekko obie dłonie na rękojeści i zamknął oczy. Czuł, jak jego moc pulsuje, przepływa przez jego żyły.

*Będę władał tym mieczem. Będę nim władał, gdyż miecz i ja nie jesteśmy odrębni. Ja i miecz jesteśmy jednym.*

Nie otworzywszy oczu Thor usłyszał charakterystyczny szcęk metalu i poczuł drżenie w dłoni. Otworzył oczy i ujrzał, że trzyma błyszczące ostrze wysoko nad głową.

Jego dawny przyjaciel znalazł się na powrót w jego rękach.

Andronicus natarł i zamachnął się toporem, a Thor ze spokojem postąpił naprzód i uderzył, ścinając topór Andronicusa w połowie trzonka. Obuch wpadł w błoto, a Andronicus zamachnął się nieszkodliwie drugą połową topora.

Andronicus zatoczył się obok Thora, po czym odzyskał równowagę, odwrócił się i stanął naprzeciw niego. Tym razem to w oczach Andronicusa malowało się przerażenie, gdy patrzył na Thora dzierżącego Miecz Przeznaczenia. Thor nigdy nie czuł się tak potężny. Czuł, że wreszcie zyskał całkowitą kontrolę nad swym otoczeniem.

- Jesteś moim ojcem – powiedział Thor. – Lecz to nie oznacza, że ja jestem twym synem. Wybieramy sobie ojców. Mamy moc, by wybrać. A ja nie wybieram ciebie.

Thor natarł i wydał z siebie głośny krzyk, opuszczając Miecz Przeznaczenia na Andronicusa, zdecydowany pozbyć się go raz na zawsze. Andronicus uniósł trzonek w obronie, a Thor przeciął go wpół. Miecz nie zatrzymał się i ciał w pierś Andronicusa, z której dobyła się krew.

Andronicus wykrzyknął z bólu i zatoczywszy się, wylądował na plecach.

Leżał na ziemi, brocząc krwią, a Thor stanął nad nim z mieczem w dłoni.

Andronicus podniósł na niego wzrok, gdy Thor uniósł broń, by zadać ostateczny cios.

Nagle coś się zmieniło i Thor po raz pierwszy stracił pewność. Andronicus przemienił się na jego oczach. Począł się kurczyć i jego groteskowe ciało i twarz zmieniły się w ludzkie.

Gdy przemiana dobiegła kresu, Andronicus był zwykłym mężczyzną, dumnym i szlachetnym wojownikiem w królewskim odzieniu z herbem MacGilów. Był starszym bratem króla MacGila. Przypomniął go i był uderzająco podobny do Thora.

Andronicus uniósł dłoń ku Thorgrinowi.

- Oto jestem – powiedział. – Teraz widzisz mnie. Jestem mężczyzną, który był niegdyś twym ojcem, nim się zmieniłem. Jestem mężczyzną, którego poznała twa matka i w którym się zakochała. To ja, twój prawdziwy ojciec. Ocal mnie, Thorgrinie. Ocal mnie na zawsze.

Thor zawahał się. Czuł, że coś jest nie tak, a jednak nie mógł pozwolić, by jego ojciec leżał na ziemi, raniony. Thor wyciągnął więc ku niemu rękę, chwycił jego dłoń i pomógł wstać.

Wtem jego ojciec zacisnął dłoń na jego ręce tak mocno, że aż go to zabolalo, i nie puszczał. Thor próbował uwolnić się, lecz nie potrafił. Andronicus uśmiechnął się, uniósł skryty za pasem sztylet i dźgnął Thora w pierś.

Thor wciągnął gwałtownie powietrze, gdy ostrze przeszło go. Nigdy wcześniej nie zaznał tak wielkiego bólu. Został oszukany i dotarło do niego, że umiera.

Thor miał wrażenie, że wszystko wokoło niego z wolna znika, kręciło mu się w głowie, był osłabiony, lecz mimo tego skupił się. Wiedział, że może zadać temu kres.

Wiedział, że posiada moc, dzięki której może przekroczyć fizyczność, może znaleźć inną drogę. Ta kraina zmuszała go, by stał się potężniejszy niż wcześniej, by użył mocy, których nigdy nie używał.

Thor zamknął oczy i zawezwał wszechświat, by wyciągnął ostrze z jego piersi.

Sztylet nagle odskoczył, a Andronicus cofnął się, zaszokowany, trzymając go w dłoni. Thor użył energii powietrza, by rana się zagoiła, by zatamować krwawienie.

Zamknawszy oczy, umieścił dłonie na swej piersi – były od nich nierzeczywiste moc i ciepło – a gdy je odsunął, po jego ranie nie pozostał nawet ślad.

Andronicus wpatrywał się w niego z ustami otwartymi szeroko ze zdziwienia.

Thor raz jeszcze uniósł Miecz Przeznaczenia i tym razem wbił go w ziemię obok siebie i tak pozostawił. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że nie jest mu potrzebny. Był bardziej czarnoksiężnikiem niż człowiekiem. Był wszak druidem. W koniuszkach

jego palców kryła się moc całego wszechświata, a ta potężniejsza była niż jakiegokolwiek stalowe ostrze.

- Niepotrzebny mi miecz, by cię zabić, ojcze. Potrzebuję do tego jedynie mocy mego umysłu. Istniejesz w najgłębszych jego warstwach. Poza jego granicami nie jesteś w stanie wyrządzić mi krzywdy.

Thor namierzył w swego ojca dłoń, a wtedy wystrzeliła z niej kula światła i pochłonęła go. Andronicus krzyknął, lecąc w tył w powietrzu, a krzyk jego stawał się coraz cichszy, gdy oddalał się od Thora. Z prędkością światła zmierzał ku widnokręgowi, aż w końcu zniknął zupełnie.

Thor stał w ciszy, gdy nagle mgła wokoło niego uniosła się. Niebo się rozjaśniło, słońce wyjrzało i z wolna krajobraz przed jego oczyma zmienił się. Błoto przemieniło się w trawę, soczystą, lśniącą, pełną życia trawę, martwe drzewa wypuściły pąki i ptaki nadleciały, śpiewając. Zima przeistoczyła się w lato, a pustkowie w urodzajne ziemie.

Gdy Thor spojrział w stronę horyzontu, nie ujrzał tam już pustki. Miast tego dostrzegł w oddali zamek zatknięty na skraju klifu, do którego prowadził długi most.

Serce zabiło mu gwałtowniej, gdyż rozpoznał miejsce ze swych snów i wiedział – po prostu wiedział – że jego matka tam czeka.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Alistair szła u boku matki Ereca, ująwszy ją pod ramię. Matka Ereca uśmiechała się, prowadząc ją po krętych, wyłożonych miedzią drózkach na skraju klifów. Alistair nie mogła uwierzyć, jak dobra, jak uprzejma była wobec niej matka Ereca, przyjmując ją jak gdyby była jej własną córką. Alistair nie poznała nigdy swej matki, a zawsze pragnęła, by była obecna w jej życiu – w krótkim czasie, który spędziła z matką Ereca, zdołała już spostrzec, że to wspaniałe uczucie. Czuła, że wypełniło to jakąś – dotychczas pustą – część niej.

Podążał za nimi tuzin służek, wachlując królową. Dotarli na skraj skały, wytyczony wysoką miedzianą balustradą, i Alistair spojrziała przed siebie z zachwytem. Zdało jej się, że cały świat rozpościera się w dole pod nimi. W dolinach ujrzała tysiące

domostw, których dachy w większości połyskiwały miedzią, jak gdyby tysiące punktów światła odbijało promienie słoneczne. Mimo skalistego uformowania wyspy były niezwykle płodne, urwiska i wzgórza porosłe były winoroślą, a na stromiznach kwitły sady pełne przejrzałych owoców, wzbogacając widnokrąg o nowe barwy. Przenikliwa woń ich kwiatów wisiała ciężko w powietrzu.

- To jeden z wysoko położonych punktów wyspy – rzekła cicho stojąca obok matka Ereca, także patrząc w dal. – Widać stąd całą stolicę, a nawet wsie przy samym brzegu.

Można także dostrzec niektóre części Tatrązenu, tam, gdzie w dolinie stoi gęsta mgła.

Alistair podążyła wzrokiem za jej palcem i ujrzała w dole piękne osady wzniesione wzdłuż brzegu na białych piaskach, o które rozбивały się błękitno-zielone wody. Nad wyspami wisiała mgła, a Alistair nigdy nie wdychała czystszeo powietrza. Unosiła się w nim woń oceanu i kwiatów pomarańczy. Słońce świeciło tu tak mocno, że czuła jego pieszczotę na swej skórze, czuła jak jego promienie otulają całe jej ciało.

Alistair czuła się tu bezpieczna, głęboko ukojona. Zaskoczyło ją to. Spodziewała się, że w nowym miejscu będzie zdezorientowana, że będzie tęsknić za Kręgiem; jednak z jakiegoś powodu tutaj, na Wyspach Południowych, czuła się bardziej jak w domu niż kiedykolwiek wcześniej.

- Wasza wyspa jest piękna – powiedziała Alistair. – Dziękuję, że okazujesz mi tyle dobroci, pani.

Matka Ereca uśmiechnęła się szeroko i otoczyła ramieniem Alistair, przytulając ją.

- Jesteś wybranką Ereca – rzekła. – Co znaczy, że jesteś moją córką. Zawsze będę cię kochać, tak jak on cię kocha. Możesz się do mnie zwrócić ze wszystkim.

Alistair uśmiechnęła się. Po raz pierwszy w życiu została przyjęta z otwartymi ramionami przez matkę i było to niezwykle przyjemne uczucie. Czuła się tu kochana i miłość, którą darzyła Ereca – jeśli było to możliwe – wezbrała w niej jeszcze gwałtowniej.

- Czy jesteś gotowa na świętą wodę? – spytała.

Alistair spojrzała na nią skołowana.

- Cóż to takiego? – zapytała.

Matka Ereca wskazała coś palcem.

Alistair obróciła się i ujrzała nieopodal skraju urwiska duży otwór w gładkim marmurze. Bulgotała w nim woda, z której unosiła się para. W wodzie siedziała siostra Ereca, Dauphine, zwrócona do nich plecami. Wsparła głowę o kamień i rozłożyła ręce na boki, patrząc w dal, na bezkresne krajobrazy wyspy.

- Zwyczajem tutejszych kobiet jest zanurzanie się każdego tygodnia w tych wodach.

Są bardzo odprężające i, jak powiadają, działają oczyszczająco. Każda oblubienica zanurza się w nich dzień przed swymi zaślubinami. Mówią, że przynosi to szczęście.

Alistair spojrzeła na nią szeroko otwartymi oczyma, zastanawiając się, czy dobrze usłyszała.

Matka Ereca skinęła głową.

- Zgadza się. Jutro nastąpią twe zaślubiny.

Serce Alistair gwałtownie przyspieszyło.

- *Jutro?! –* zapytała, skołowana. – *Lecz nie zdążyłam nawet... Nawet się nie przygotowałam...*

Jego matka uśmiechnęła się i wyciągnęła do niej dłoń.

- Nie troskaj się – powiedziała. – Twe suknie zostały przygotowane. Będziesz mogła wybrać spośród wielu, a także spośród najwspanialszych królewskich klejnotów z naszego skarbcza. Nasi ludzie gotowali się do tego od wielu księżyców. Będą to najwystawniejsze zaślubiny, jakie kiedykolwiek widziałas.

Alistair osłupiała. Z jednej strony była zachwycona, że wreszcie poślubi Ereca. Nie miała jednak pojęcia, że nastąpi to tak rychło i nie zdążyła nawet przygotować się wewnętrznie do najważniejszego dnia swego życia.

- Skąd ten pośpiech? – spytała Alistair. – Czy nie powinnam była pomóc w przygotowaniach?

Matka Ereca potrząsnęła głową.

- My na Wyspach Południowych jesteśmy przesądni w kwestii ślubów. Wierzymy, że muszą odbyć się natychmiast. Wedle zwyczaju oblubienica, którą poproszono o rękę, zostaje natychmiast wydana za mąż. Jesteśmy ludem, który nie odwleka, który robi natychmiast to, co przysiągł zrobić. To jeden z wielu naszych zwyczajów i

osobliwości, które jeszcze poznasz. Żywię nadzieję, że nie czujesz się urażona?

Na myśl o tym na twarzy Alistair wykwitł szeroki uśmiech. W rzeczy samej, byli niezwykłym ludem, lecz ich zwyczaje nie przeszkadzały jej; sądziła, że są osobliwe, lecz podobały się jej. A na myśl o poślubieniu Ereca jej serce natychmiast wezbrało miłością. Była także wdzięczna im za wszystkie przygotowania, których dokonali.

Alistair pokręciła głową.

- Wręcz przeciwnie – odrzekła. – Poślubienie twego syna będzie dla mnie wielką radością, pani. Choćby miało to nastąpić w tej właśnie chwili.

Matka Ereca uśmiechnęła się, odwróciła i poprowadziła Alistair ku gorącym źródłom.

- Dauphine – zawołała ostro matka, z szorstkością w głosie, której Alistair się nie spodziewała. – Odwróć się do nas. Wstań i powitaj żonę swego brata.

Dauphine prychnęła, wciąż zwrócona do nich plecami, ignorując je.

- Dauphine, czy słyszałaś mnie? – naciskała matka.

Dauphine z wolna podniosła się z wody. Była całkowicie naga. Wstała i odwróciła się do nich z kamiennym wyrazem twarzy. Alistair spłoniła się i odwróciła wzrok.

Dauphine stała bez ruchu i posłała jej zimne spojrzenie.

- Uznaj, że cię powitałam – powiedziała, po czym odwróciła się i usiadła na powrót w wodzie.

Alistair zastanowiła się po raz kolejny, co też mogło nie odpowiadać Dauphine; zdawało się, że coś ją dręczy. Albo tak było, albo szczerze nienawidziła Alistair.

Służki pospieszyły naprzód i pomogły królowej i Alistair zdjąć odzienie, podały im szaty kąpielowe i poprowadziły ku źródłom.

Alistair zeszała po kamiennych stopniach do gorącej wody. Było to niezwykle przyjemne doznanie. Ciepła woda bulgotała wokół niej, wypełniona nieznanym jej płynem, który wnikał aż w mięśnie i sprawił, że całkowicie się odprężyła. Alistair spojrzeła w dal, na bezkresny krajobraz, roztaczający się ze skraju urwiska. Lekki wietrzyk muskał jej ciało i czuła się, jak gdyby była w niebie.

- Dauphine – rzekła jej matka. – Bądź uprzejma dla naszego nowego gościa. Alistair

już niedługo zostanie naszą królową.

- Nie *moją* – powiedziała Dauphine z naciskiem.

- Twoją także – nalegała jego matka. – To oblubienica Ereca. Jeśli jest w tobie choć krztyna miłości dla niego, będziesz dla niej uprzejma.

Dauphine przymknęła powieki i potrząsnęła głową.

Alistair siedziała, czując się niezręcznie, czując, jak gdyby to ona była przyczyną tego zamętu. Jej odprężenie zniknęło w jednej chwili.

- Okrywasz całą rodzinę hańbą, traktując ją tak niegrzecznie – naciskała jego matka.

– I nie powinnaś siedzieć na środkowym siedzisku. Jest ono przeznaczone dla oblubienicy.

Dauphine otworzyła rozgnione oczy i obrzuciła matkę nienawistnym spojrzeniem.

- Ma język. Potrafi chyba mówić za siebie.

Alistair zaczerwieniła się, nie chcąc stawać pomiędzy nimi, gdyż nie była konfliktową osobą. Zauważyła, jak bardzo Dauphine jej nienawidzi, choć nie rozumiała, dlaczego tak było.

- Możesz siedzieć, gdzie sobie życzysz – powiedziała Alistair. – Nie pragnę żadnego szczególnego miejsca.

- Proszę, matko. Pomówiłyśmy – rzekła Dauphine. – Czy to ci wystarczy?

Matka Ereca potrząsnęła głową, wściekła.

- Twój ojciec wstydziłby się za ciebie.

Dauphine westchnęła, wstała raptownie i wyszła z gorących źródeł, rozbryzgując dokoła wodę. Weszła szybko po schodach, nago, odtrącając podane przez służki szaty kąpielowe. Ruszyła w dół zbocza szybkim krokiem.

- Dauphine, wracaj tu! – zawołała za nią matka.

Lecz ona zniknęła im już z oczu.

Matka Ereca poczerwieniała i spojrzała na Alistair.



- Proszę, wybacz jej tę niegrzeczność. Nie jest ona typowa dla naszego ludu.

Obawiam się, że nie wychowałam jej tak silną ręką, jak powinnam była.

Alistair pokręciła głową.

- Proszę, nie przepraszaj, pani.

- Rzecz w tym, że jest bardzo przywiązana do Ereca. Zawsze tak było. A nie widziała go od tak wielu lat.

- Proszę, nie przepraszaj za nią. Doznałam z twojej strony niezwykle uprzejmego przyjęcia i czuję się zaszczycona, mając cię za świekę.

Jego matka uśmiechnęła się ze smutkiem, po czym obie oparły się i zamknęły oczy.

Wtem, gdy Alistair poczęła odprężyć się w zapadłej ciszy, na całej wyspie rozległo się bicie dzwonów. Towarzyszył im głośny, radosny krzyk dobiegający z dołu.

Hałas przybierał na sile, stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy, i Alistair otworzyła oczy, zaniepokojona.

- Co się dzieje? – spytała, zastanawiając się, jak wiele jeszcze osobliwych obyczajów ma ten lud. Brzmiało to jak wielka feta.

Matka Ereca otworzyła oczy i uśmiechnęła się szeroko. Roześmiała się i wyrzuciła ręce w górę, ku niebu.

- To dzwony oznajmiające śmierć – wyjaśniła. – Mój mąż nie żyje!

Śmiała się i śmiała, wyraźnie uradowana.

Alistair spojrzała na nią, nie pojmując.

- Dlaczego więc wszyscy się radują? – zapytała. – Dlaczego się uśmiechasz?

Jego matka westchnęła i spojrzała na nią.

- Na Wyspach Południowych śmierci się nie opłakuje. Należy ją świętować. Nie wolno nam opłakiwać zmarłego. Miast tego celebруем życie. Tak naprawdę jest to dla nas największy powód do świętowania ze wszystkich.

Dzwony biły i biły, a gdy krzyki stały się głośniejsze, do Alistair dotarło, jak mało

znane było jej to miejsce i jak wiele jeszcze musiała dowiedzieć się o tym ludzie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Thor stał przed mostem, wstrzymując oddech, gdy podmuch zimnego wiatru smagnął go po twarzy. W oddali, po drugiej stronie przejścia, ujrzał ogromne klify wznoszące się wysoko ku niebu i zatknięty na ich skraju pradawny zamek o błyszczących, złotych wrotach.

Zamek jego matki.

Wicher wył, a on stał, z niecierpliwością i niepokojem przyglądając się uważnie obrazowi ze swych snów. Most był wąski, śliski od drobnych kropelek wody i nieruchomej mgły, a kilka setek stóp pod nim znajdowały się klify i wzburzony ocean.

Upadek zakończyłby się śmiercią.

Thor spojrzał w dal z poczuciem zadziwienia. W powietrzu unosiła się magia, czuł to. Cały ten świat zdawał mu się nierealny; było to przywołane do życia miejsce z jego snów, ze snów, które nękały go całe życie. Które teraz się urzeczywistniały.

Lecz czy na pewno? Czy też był to kolejny wytwór jego wyobraźni?

Thor nie był już niczego pewien. Lecz zdawało mu się to bardziej prawdziwe, niż wszystko, co do tej pory widział. Z pewnością bardziej prawdziwe niż jego sny. A teraz, gdy znalazł się tutaj, w jednym z nich, nie był pewien, jak to się zakończy.

Thor wiedział, że jego matka jest tam, na drugim końcu mostu, w tym zamku; wyczuwał to. Poczuł, że drży, podekscytowany ponad wszelkie wyobrażenie, że wreszcie ją ujrzy – i podenerwowany. Jak ona wygląda? Czy okaże mu dobroć i miłość, jak w jego snach? Czy jego widok uraduje ją?

Przyszła mu do głowy także myśl najstraszniejsza ze wszystkich, ta, którą lękał się rozważyć: co jeśli wcale jej tam nie było?

Thor wiedział, że nie wskóra nic, stojąc tak i czekając. Nadszedł czas.

Zebrał się w sobie i dał pierwszy krok na most, a wtedy zawył wicher. Thor poślizgnął

się na śliskiej ziemi, po czym odzyskał równowagę. Ostrożnie postawił kilka kolejnych kroków.

Odgłos fal przybrał na sile i opuściwszy wzrok Thor ujrzał je, jak rozbijają się o skały, gdy niesiona wiatrem mgła uniosła się. Dał kolejny krok, a potem jeszcze jeden.

Nie mógł wyzbyć się wrażenia, że opuszcza jeden świat i wkracza w inny. Miał wrażenie, że dociera do najgłębszych otchłani swej podświadomości.

Thor wpadł w równy rytm i szedł coraz szybciej i szybciej i niebawem znalazł się już w połowie drogi. Wiedział, że to niemożliwe, by było tak łatwo. Począł się zastanawiać, jakie jeszcze sprawdziany mogą go tu czekać, cóż jeszcze stworzyła jego podświadomość.

Ledwie o tym pomyślał, a stanęła przed nim jakaś postać. Thor zamrugał kilkakrotnie, nim zorientował się, że to jego przybrany ojciec, mężczyzna, który wychował go w jego rodzinnej wsi, który był wobec niego tak bardzo okrutny. Za nim nagle pojawili się także trzech przybrani bracia Thora.

Thor zrozumiał, że jego umysł zaprowadził go na powrót w dzieciństwo, w jego najwcześniejsze dni, stawiając przed nim kolejną przeszkodę. Thor zrozumiał, że przywoływał wszystkich ludzi ze swego życia, którzy zawsze próbowali stanąć mu na drodze, a teraz byli ostatnimi przeszkodami przed miejscem, do którego pragnął dotrzeć.

- Nie postąpisz ani kroku dalej – odezwał się jego przybrany ojciec. – Nie jesteś tego godny. Jedynie godni tego mogą tędy przejść.

- A kim ty jesteś, by mówić mi, że nie jestem godny? – odrzekł Thor, wreszcie sprzeciwiając się temu mężczyźnie, czego nie uczynił przez całe swe życie. Niemożność, by się postawić, by wyjawić, co myśli, by rzec mu, co naprawdę czuje, była jednym z głównych źródeł rozczarowania przez całe jego życie. Teraz wreszcie zebrał się na odwagę.

Trzej bracia Thora patrzyli na niego gniewnie zza pleców ojca, który przybrał wyzywającą pozę, wsparłszy ręce na biodrach.

- Jeśli chcesz tędy przejść, Thorgrinie, będziesz musiał mnie minąć.

Jego ojciec natarł na niego. Był szybszy, niż Thor sądził. Thor wyciągnął dłoń, by chwycić Miecz Przeznaczenia i z przerażeniem spostrzegł, że zniknął.

Thor nie miał się jak bronić przed swym ojcem i zareagował zbyt wolno. Ojciec powalił go na ziemię i ślizgali się obaj przez wąski most.

Thor ześlizgiwał się w stronę przepaści, gdy wtem obrócił się dokoła i przerzucił ojca nad sobą. Mocowali się, ślizgali w tył i w przód.

Wreszcie Thor wylądował na swym ojcu i przyszpilił go do ziemi, dusząc, a jego ojciec dusił jego. Thor usłyszał, jak jego trzej bracia biegną ku niemu, a każdy z nich dobywa swego miecza, zamierzając dźgnąć Thora w plecy.

Thor zamknął oczy.

*Nie jesteście prawdziwi. Nie istniejecie naprawdę. Jesteście moją podświadomością.*

*Jesteście moimi wątpliwościami i lękami. Wszystko, co widzę dokoła siebie, wszystko na świecie, jest mną. To ja daję wam tę moc. A teraz wam ją odbiorę.*

Thor przyzwał najgłębiej skrywaną część siebie, by stać się silniejszym, by walczyć bez walki, by toczyć bój bez oręża. Zrozumiał, że nadszedł czas, by uczynił swój umysł silniejszym niż ciało.

Thor poczuł, jak ogarnia go fala ciepła, jak wszystko dokoła okrywa się oślepiającą bielą i gdy otworzył oczy, okazało się, że zaciska ręce nie na szyi swego ojca, a na ziemi na moście. Jego ojciec zniknął.

Obróciwszy się spostrzegł, że jego braci także nie ma. Usłyszał jedynie wycie wiatru i ujrzał napływające kłęby mgły.

Thor odetchnął z ulgą i z wolna podniósł się. Ruszył dalej mostem, napominając się, by nie pozwalać sobie na słabość. Wiedział, że staje się swym największym wrogiem.

Cała ta wędrówka przez Krainę Druidów była jedną długą wyprawą, której celem było opanowanie swego umysłu, a to – zaczynał pojmować – było najtrudniejszą bitwą, jaką można stoczyć. Thor wolałby w pojedynkę stawić czoła całej armii. Jego umysł mógł zaprowadzić go niespodziewanie w najdalsze, najmroczniejsze miejsca, a on wciąż nie sprawował nad nim kontroli na tyle, by tego unikać. Jak zdobywa się tę kontrolę? – zastanawiał się. Pojął, że będzie musiał zмагаć się i ćwiczyć dalej, by osiąść tę umiejętność.

Szedł dalej, chwiejąc się przez podmuchy wiatru. Postanowił, że może wykorzystać moc swego umysłu, by zmniejszyć jego siłę. Zaczynał dostrzegać, że on i natura, wszechświat, wszystko wokoło, są jednym. Wiatr ustał. Thor wyprostował się i ruszył

przed siebie dumniejszym krokiem, zyskawszy lepszą równowagę. Poczuł, jak wszechświat skupia się dokoła niego i szedł teraz pewniej.

Thor ze zdumieniem spostrzegł, że zbliża się ku końcowi mostu. Gdy był już ledwie kilka stóp od zejścia, od klifu, na którym wznosił się zamek jego matki, nagle stanęła przed nim kolejna postać, zagradzając mu drogę.

Thor zamrugał kilkakrotnie, próbując zrozumieć, kogo widzi przed sobą. To nie miało sensu. Stał przed nim budzący respekt wróg w zbroi, jakiej Thor jeszcze nigdy nie widział.

Naprzeciw niego stał *on sam*.

Thorgrin.

Thor patrzył na dokładną replikę siebie, gwałtownego i budzącego respekt wojownika, który stał przed nim, gotując się do bitwy, z Mieczem Przeznaczenia w dłoni. Przyjrzał się temu wojownikowi i próbował pojąć, czy jest on prawdziwy, czy też stanowi kolejny wytwór jego umysłu. Jakim cudem we wszechświecie mógł istnieć drugi on?

- Dlaczego nie pozwalasz mi dostać się do mej matki? – spytał Thor.

- Dlatego, że nie jesteś godny – usłyszał w odpowiedzi.

- Nie jestem godny poznać własną matkę? – spytał Thor.

Wojownik wpatrywał się w niego z kamiennym wyrazem twarzy, nie poruszając się.

- To zamek, do którego wstęp mają wtajemniczeni – odparł. – Jedyne najpotężniejsi mogą przekroczyć jego próg. Ja strzegę wejścia. Będziesz musiał mnie minąć.

Thor patrzył na niego, skołowany.

- Lecz ty jesteś mną – powiedział Thor.

- To siebie jeszcze nie zwyciężyłeś – usłyszał w odpowiedzi.

Wojownik rzucił się nagle w jego kierunku, uniósł wysoko Miecz Przeznaczenia i opuścił go na jego głowę. Thor poczuł coś w dłoni i spojrzawszy w dół ujrzał z radością, że on także dzierży taki sam Miecz Przeznaczenia.

Thor uniósł go wysoko i zaszarżował na siebie.

Dwa miecze zetknęły się pośrodku, idealnie zgrane, a wokoło posypały się iskry.

Thor przypuścił atak, uderzając z lewej i z prawej, a wojownik naśladował każdy jego ruch, jeden za drugim. Cokolwiek robił Thor, wojownik powtarzał dokładnie i Thor szybko pojął, że ta walka jest daremna; nie miał szansy wygrać. Wojownik wiedział wszystko to, co wiedział on sam. Przewidywał jego ruchy i nie było sposobu, by go pokonać.

Odpychali się w tę i we w tę i Thor dyszał ciężko, a ręce i ramiona poczęły mu omdlewać, gdy wtem Thor zadał cios, a wojownik wykonał ruch, którego Thor się nie spodziewał: odchylił się w tył i kopnął go w pierś.

Thor poleciał w tył, ślizgając się na plecach po moście aż na sam jego brzeg.

Ześlizgiwał się dalej na swej śliskiej zbroi, nie potrafiąc się zatrzymać i obawiając, że spadnie w przepaść.

Thor, spanikowany, ześlizgnął się z krawędzi i począł się zsuwać.

Nagle znalazł się przy nim wojownik i schwycił go jedną ręką za kostkę, podtrzymując, by nie spadł. Thor obejrzał się w dół przez ramię i ujrzał pod sobą rozszalały ocean. Następnie podniósł wzrok i ujrzał swe odbicie, patrzące w dół, jak gdyby rozważało, czy mu pomóc.

- Pomóż mi – powiedział Thor, wyciągając ku niemu rękę, zawieszony do góry nogami.

- A dlaczegoż powinienem to zrobić?

- Muszę zobaczyć się z matką – rzekł Thorgrin. – Nie po to przebyłem tak długą drogę, by zginąć tak blisko mego celu.

- A jednak przegrałeś walkę – powiedział wojownik.

- Ale z samym sobą.

Pokręcił głową.

- Daruj – rzekł wojownik. – Wciąż nie jesteś wystarczająco silny.

Nagle wojownik puścił go.

Thor wrzasnął, gdy poczuł, że spada w powietrzu, obracając się dokoła siebie. Jego

krzyki odbijały się echem od kanionu, gdy spadał w stronę oceanu, ku skałom i pewnej śmierci.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

Świt wstał nadzwyczaj spokojny na Wyspach Górnych. Reece, Stara, Matus i Srog stali na pokładzie, zwrócenii ku zachodowi, i patrzyli, jak pierwsze słońce wytacza się zza widnokregu i wita nowy dzień. Za nimi na pokładzie stał dowódca Wolfson i tuziny jego ludzi, z bronią w ręku i wzrokiem utkwionym w linii horyzontu. Dzień był zimny, lecz – co zaskakujące – bezchmurny. Niebo pociągnięte było bursztynem i gdy wczesnoranny mrok poczynał rozrzedzać się, a słońce rozświetlać niebo, Reece rozmyślał o tym, nad czym z pewnością zastanawiali się pozostali: kiedy wyspiarze przypuszczą atak?

Napięcie było tak gęste, że Reece wyczuwał je w powietrzu. Teraz, gdy świt już nadszedł, gdy burzliwa noc dobiegła kresu, Reece był niemal pewien, że już niebawem okręty Tirusa nadpłyną z otwartego morza i otoczą ich. Postanowili nie wycofywać się i Reece wiedział, że stoją na przegranej pozycji. Z floty Gwendolyn pozostał im jedynie tuzin statków i nie było mowy o tym, by zdołali pokonać dziesiątki okrętów, które z pewnością uwiężą ich w tym porcie.

Reece przyjrzał się uważnie brzegowi i ujrzał sylwetki setek żołnierzy Tirusa ustawionych w szeregach ze strzałami w pogotowiu, gotowych wypuścić je we flotę, jeśli tylko znajdzie się w ich zasięgu. Byli uwięzieni.

Srog postąpił naprzód z rękoma wspartymi na biodrach, patrząc w dal, w niebo.

Odwrócił się i spojrział przez ramię na otwarte morze w kierunku, z którego niechybnie nadpłyną okręty Tirusa.

- Musimy utrzymać pozycję – rzekł Srog. – Zarazem jednak, jeśli będziemy tu tkwić, zginjemy.

Srog stał, rozmyślając, a Reece dał krok naprzód i także przyjrzał się brzegom.

Reece wiedział, iż Srog ma rację; wiedział, że muszą wykonać jakiś ruch.

- Jak twoja siostra chciałaby, byśmy postąpili? – zapytał Srog Reece'a.

Reece zamknął oczy, zastanawiając się nad tym.

- Nie chciałaby, byśmy czekali na śmierć – odrzekł. – Chciałaby, byśmy zaatakowali – mój ojciec także tego by chciał. Zawsze chętnie korzystał z elementu zaskoczenia.

Mniejsza siła przypuszczająca atak na większą – tego się nie spodziewają. Jeśli mamy polec, polegnijmy odważnie, w ataku, z wysoko wzniesionymi mieczami. Nie tkwiąc tutaj, czekając, aż nas zniszczą.

Reece otworzył oczy i przyjrzał się brzegowi.

- A skoro nie możemy wypłynąć w morze, ojciec mój chciałby, byśmy zaatakowali brzeg.

Srog spojrział uważnie na brzeg, zdumiony.

- Ale gdy znajdziemy się w zasięgu ich strzał, podpalą nas – zaprotestował.

Reece skinął głową.

- Ale jeśli będziemy poruszać się wystarczająco szybko, nie trafią wszystkich.

- A gdybyśmy zawrócili i wypłynęli w morze? – spytał Srog. – Moglibyśmy zmierzyć się z flotą Tirusa.

Matus zbliżył się i pokręcił głową.

- Nie – powiedział. – Flota mego ojca jest silniejsza niż nasza. Są dobrze uzbrojeni i przeszkoleni. To byłaby rzeź.

- Zdaje się, że tak czy inaczej czeka nas rzeź – zauważył Srog.

Reece rozważył ich możliwości, patrząc przed siebie, myśląc intensywnie. Doszedł do pewnego wniosku.

- Lepiej zginąć na lądzie niż na morzu – powiedział.

Gdy stali tak, zastanawiając się, nagle marynarz wysoko na maszcie zawołał w dół nagłym głosem:

- Panie! Nadpływają!

Wszyscy zwrócili się w tamtą stronę i rzucili ku przeciwległemu krańcowi okrętu.



Dotarłszy tam, spojrzeli w dal: na horyzoncie rysowały się sylwetki okrętów płynących w ich stronę. Była to flota Tirusa, która zamierzała uwięzić ich w porcie, pomiędzy okrętami a brzegiem.

Reece czuł, że kończy im się czas.

Wolfson skinął głową, zdecydowany.

- Ku brzegowi! – rozkazał. – Czas przypuścić atak!

\*

Reece odsunął się i płonąca strzała przecięła ze świstem powietrze obok niego.

Serce zabiło mu szybciej, gdyż ledwie chybiła. Ich flota płynęła ku brzegowi, prosto w grad lecących ku nim płonących strzał. Na okrętach wokoło niego rozlegały się spanikowane krzyki mężczyzn. By przyspieszyć atak, wiosłowali co sił, próbując prędzej doprowadzić okręty do brzegu.

Był to mozolny, wyczerpujący wysiłek, mimo iż fale i prąd pchały ich ku lądowi.

Dokoła Reece'a powietrze przecinały krzyki mężczyzn, gdy jedna za drugą płonące strzały trafiały do celu – i, co gorsza, poczęły rozdzierać żagle i roztrzaskiwać deski.

Reece i inni biegali w tę i w ową, na przemian gasząc płomienie opadających wciąż strzał i wypuszczając własne. Reece zerknął na pozostałe okręty i spostrzegł, że niektóre z nich zajęły się ogniem. Strzały trafiały wysoko w żagle i okręty stawały w płomieniach. Reece rozejrzał się dokoła z przerażeniem, gdy ujrzał, że kilka statków już się zajęło i płynęły do brzegu niby płonąca flota. Reece zastanawiał się, ile ich okrętów – o ile choć jeden – dopłynie do brzegu. Jeśli w ogóle im się to uda.

Reece odwrócił się i spojrzał w dal, w morze, na ich drogę ucieczki i spostrzegł, że flota Tirusa zbliża się do nich; wiedział, że muszą dobić do brzegu. Brakowało im ledwie stu jardów – wiedział jednak, że będą one krwawe.

Stara walczyła dzielnie u boku Reece'a, nie uchylając się nawet przed strzałami.

Stała przy relingu i wypuszczała jedną strzałę za drugą w kierunku brzegu, kładąc trupem mężczyzn na prawo i lewo. Płonąca strzała przemknęła ze świstem obok Reece'a. Ten rzucił swe wiosło, wstał, chwycił łuk i dołączył do niej, strzelając. Oddał doskonały strzał z niemal stu jardów. Usłyszał krzyk jednego z ludzi Tirusa w oddali i widział, jak osuwa się na ziemię.

Jedna ze strzał wylądowała kilka stóp od Reece'a, utkwiała w żaglu i po pokładzie począł rozchodzić się ogień. Reece schwycił kubek z wodą i natychmiast go ugasił. Żagiel zasyczał, zadymił się i szczęśliwie Reece'owi udało się zagasić płomień – nie wiedział jednak, jak wiele razy jeszcze im się poszczęści.

- Opuścić żagle! – rozkazał kapitan.

Marynarze pospieszyli, by wykonać jego rozkaz w chwili gdy płonąca strzała trafiła w jeden z nich; ciągnęli za liny coraz szybciej i szybciej. Reece podbiegł do nich, by im pomóc, a gdy żagiel opadł, nadbiegł Matus i ugasił płomień nieosłoniętą dłonią.

Uczył to w sam czas, nim żagiel zajął się całkowicie. Pośrodku pozostał duży wypalony otwór.

Reece czuł, że wytracają prędkość, a Srog z niepokojem spojrzał na opuszczony żagiel.

- Spowolni nas to! – wrzasnął do kapitana.

- Nie dbam o to – odkrzyknął kapitan. – To mój okręt! Nie pójdziemy na dno w płomieniach!

Reece'a także martwiło wolniejsze tempo – spostrzegł jednak, że było to mądre posunięcie, gdy grad płonących strzał zgęstniał i gdy coraz więcej okrętów w ich flocie poczęło zajmować się ogniem. Żagle ułatwiały jedynie zadanie przeciwnikowi.

- OPUŚCIĆ ŻAGLE! PRZEKAŻ ROZKAZ! – wykrzyknął kapitan do płynącego obok okrętu. Marynarze zakrzyknęli rozkaz kolejnemu okrętowi, a tamci następnemu. Jeden po drugim, wszystkie żagle zaczęły opadać. Jeden z okrętów nie zdołał opuścić ich na czas i Reece wzdrygnął się, usłyszawszy okropne krzyki mężczyzn, którzy płoneli żywcem.

Gdy zbliżyli się do brzegu, gdy byli już jakieś siedemdziesiąt jardów od niego, prąd pchnął ich mocniej, wciągając pomiędzy wzburzone fale, i zwiększyli prędkość. Po prawej mijali kamienny pomost i Reece spostrzegł skrytą pośród skał grupę żołnierzy.

Nagle podnieśli się i obrali na nich cel.

Reece zauważył, że Stara znajduje się na linii ich strzał i że nie ma o tym pojęcia.

Stała dumnie i wciąż strzelała w kierunku brzegu. Reece obrócił się i rzucił w jej stronę.

- Staro! – wrzasnął.

Reece puścił się biegiem i rzucił się, powalając ją na pokład. Uderzyli mocno o deski i Stara krzyknęła z bólu. Gdy uchylili się, strzała poszybowała dokładnie tam, gdzie przed chwilą jeszcze stała. Zatopiła się miast w niej w ramieniu Reece'a, który wykrzyknął z bólu.

Reece leżał, pojękując i patrząc na Starę, która spoglądała na niego równie szeroko otwartymi oczyma. Po wyrazie jej twarzy Reece poznał, że dotarło do niej, iż ocalił jej właśnie życie.

Pragnął odezwać się do niej, lecz ból był zbyt duży; płonąca strzała wciąż paliła się w jego ramieniu i Stara, przerażona, usiłowała ugasić ją dłonią. Z każdą jej próbą ból przybierał na sile.

- Nie ruszaj się! – krzyknęła. – Muszę ją wyciągnąć!

Reece spojrział na strzałę i zauważył, że grot nie wszedł do końca, jedynie na kilka cali. Mimo tego miał wrażenie, że przeszywa całe jego ciało.

- Nie wiem, czy powinnaś... – zaczął.

Jednak nim zdążył dokończyć zdanie, Stara pochyliła się i szarpnęła z całej siły, wyciągając strzałę.

Reece wrzasnął, a rana poczęła broczyć krwią. Nic nie sprawiło mu nigdy większego bólu. Stara spieszenie przyłożyła do niej dłoń i zatamowała krew. Następnie zębami oddarła pasek materiału ze swej koszuli i owinęła nim kilkakrotnie jego ramię. Kolejne strzały przecinały powietrze nad ich głowami i pochylili się nisko, by ich uniknąć.

Reece opuścił wzrok na pulsującą ranę i ujrzał, jak bandaż przesiąka krwią. Stara oddarła kolejny pas materiału i ponownie obwiązała jego ramię.

- Wybacz – rzekła Stara, gdy Reece się wzdrygnął. – Nie jestem zbyt delikatna.

Wtem rozległ się głośny krzyk i na pokładzie powstało jakieś zamieszanie.

Podniósłszy wzrok Reece ujrzał – ku swemu zaskoczeniu – kilku ludzi Tirusa.

Wskakiwali na pokład, gdy okręt zbliżył się do brzegu, płynąc wzdłuż kamiennego pomostu. Reece podniósł głowę i spostrzegł, że byli już ledwie trzydzieści jardów od brzegu, a ludzie Tirusa ustawili się wzdłuż skraju pomostu i skakali na okręt. Kilku

zsunęło się ze śliskiego relingu i z krzykiem wpadło do wody; inni utrzymali się, lecz zepchnęli ich ludzie Reece'a. Wystarczająco wielu zdołało jednak utrzymać się i podciągnąć. Wdzierali się na okręt.

Reece podniósł się spiesznie, a wraz z nim Stara, uniósł miecz zdrową ręką i ruszył na najeźdźców. Dźgnął dwu, nim zdołali przejść przez reling. Posłał ich w tył, do wody.

Trzeci jednak wylądował obok niego, uniósł miecz i zamachnął się, mierząc w jego odsłoniętą szyję. Reece nie zdołał odwrócić się na czas, by zablokować cios. Przygotował się na uderzenie.

Stara rzuciła się naprzód z długą włócznią w dłoni i dźgnęła żołnierza w pierś, nim zdołał wykonać swój cios. Mężczyzna krzyknął, a Stara odepchnęła go w tył, nad relingiem, i zepchnęła do wody.

Reece spojrział na nią, oszołomiony i niezwykle wdzięczny.

- Zdaje się, że wyrównaliśmy rachunki – powiedział.

Uśmiechnęła się, lecz nie zatrzymała. Przebiegła obok niego, władając włócznią z oszłamiającą zręcznością, zaskakując Reece'a. Raz po raz zamachiwała się długą na dziesięć stóp bronią, używając jej jak kija i powalając jeszcze czterech ludzi Tirusa, którzy próbowali wdrzeć się na okręt.

Reece podszedł do niej, spoglądając na szkody, jakie wyrządziła, na unoszące się na wodzie ciała. Stali obok siebie, ramię w ramię, oddychając ciężko.

- Gdzie nauczyłaś się tak władać włócznią? – spytał Reece, pod wrażeniem jej umiejętności.

Wzruszyła ramionami.

- Kobietom na Wyspach Górnych nie wolno używać mieczy. Nauczyłam się zatem walczyć kijami. Ostrze nie jest konieczne, by kogoś zabić.

Kolejne strzały poszybowały nad ich głowami. Reece wychylił się i spostrzegł, jak blisko są brzegu. Dokoła nich rozbijały się fale i okręt wznosił się wysoko i opadał nisko – prąd pchał ich teraz z pełną prędkością i niosły ich fale. Do brzegu brakowało im niecałe dwadzieścia jardów. Setki ludzi Tirusa z mieczami w dłoniach i wypuszczając strzały pospieszyli naprzód, by zetknąć się z nimi w walce, brodząc w wodzie. Jego ludzie, oddający strzały, padali na prawo i lewo. Jak gdyby wkroczyli w ścianę ognia.

Reece wiedział, że trzeba natychmiast coś zrobić – jeśli będą tak dalej płynąć, wszyscy zginą, nim przybiją do brzegu.

Coś przyszło mu do głowy; był to plan śmiały, ryzykowny, lecz wystarczająco szalony, by mógł się powieść. Zwrócił się do kapitana.

- Czy możecie go podpalić? – wrzasnął Reece.

Stojący ledwie kilka stóp dalej kapitan odwrócił się i spojrzał na Reece'a tak, jak gdyby ten postradał rozum. Wyraźnie nie rozumiał, o co mu chodzi.

- Nasz okręt! – zawołał Reece. – Żagle! Podłóżcie ogień! Podpalcie wszystko!

- Czyś zwariował? – odkrzyknął kapitan. – Byśmy wszyscy spłonęli?

Reece pokręcił głową. Podeszedł do kapitana i niecierpliwym ruchem chwycił jego rękę. Obok ich głów przelatywały strzały.

- Ustawimy baryłki nafty wokoło masztu. Zbliżymy się i pozwolimy, by jego ludzie wdarli się na pokład. Wtedy zeskoczymy z tyłu i gdy znajdziemy się bezpiecznie w wodzie, wypuścimy płonące strzały i spalimy nasz okręt, na którym będą ludzie Tirusa!

Stojący nieopodal Srog spojrzał na kapitana, który odpowiedział pytającym spojrzeniem. Żaden z nich nie był pewien, czy Reece jest szaleńcem, czy genialnym dowódcą. Wokoło nich wciąż przelatywały ze świstem strzały i widząc, że czeka ich pewna śmierć, wreszcie zdali się zdecydować, że niewiele już pozostało im do stracenia.

Kapitan skinął głową i począł wykrzykiwać rozkazy, a jego ludzie ruszyli, by je wykonać. Ustawili kilka baryłek nafty wokoło masztu i owinęli je opuszczonym żaglem.

Pozostali, idąc za przykładem Reece'a, owinęli groty materiałem i nasączyli w nafcie, by były gotowe do podpalenia. Porzucili swe pozycje i pobiegli za Reece'em na tył, oddając dziób, pozwalając ludziom Tirusa wdrzeć się na okręt.

Stłoczyli się z tyłu, czekając, a prąd pchał ich coraz bliżej brzegu. Reece patrzył, jak ludzie Tirusa wdzierają się na pokład; poczęli przechodzić przez reling na dziobie niby mrówki i wchodzić na pokład, jeden za drugim.

Jego ludzie przykucnęli i czekali. Poruszali się niespokojnie, chcąc już zeskoczyć z okrętu.

- Jeszcze nie! – rozkazał Reece.

Coraz więcej ludzi Tirusa wdzierało się na okręt, zapełniając pokład. Były ich już setki. Spostrzegłszy ich, puścili się biegiem przez statek, niby armia zmierzając, by ich zabić.

- Jeszcze nie! – zakomenderował Reece. Chciał, by na okręcie znalazło się jak najwięcej ludzi wroga.

Byli coraz bliżej i bliżej, już niemal dobiegali do nich, dobywając mieczy, wydając z siebie krzyki bitewne, sądząc, że ludzie Reece'a się lękają.

Wreszcie, gdy najbliżej się znajdujący żołnierz był zaledwie kilka jardów od nich, Reece wrzasnął:

- Teraz!

Jak jeden mąż ludzie królowej wypuścili tuziny płonących strzał, mierząc w żagiel i baryłki nafty skryte pod nim. Nie czekali nawet, aż strzały utkwia w celu; podążyli natychmiast za Reece'em, który od razu obrócił się i zeskoczył z tyłu okrętu w ocean.

Reece przesadził krawędź, chwytając Starę, i wpadli razem do wody. Była lodowata, zwłaszcza gdy Reece znalazł się pod powierzchnią, lecz trzymał kurczowo dłoń Stary, a ona jego. Będąc pod wodą, usłyszał ogromny wybuch, który niemalże ogłuszył go.

Reece dotknął stopami dna – szczęśliwie było tu głęboko jedynie na jakieś dziesięć stóp – odbił się i wynurzył na powierzchnię. Ujrzał widowisko, jakiego – był pewien – nigdy już nie zobaczy. Okręt, który przed chwilą opuścił, wybuchał raz po raz, i stał cały w płomieniach, gdy jedna po drugiej baryłki zajmowały się ogniem. Maszt płonął, tak jak żagle, cały pokład i reling, a wszystko stawało w ogniu tak prędko, że ludzie Tirusa nie nadążali reagować.

Rozległy się krzyki setek trawionych ogniem mężczyzn. Wyskakiwali za burtę w płomieniach, lecz dla większości z nich było za późno.

Reece przyglądał się temu z ogromnym zadowoleniem. Uśmiercił setki ludzi Tirusa i ocalił wszystkich ze swego okrętu. Wcześniej czekała ich pewna śmierć, teraz mieli cień szansy.

Unosząc się w wodzie, Reece odwrócił się i spojrzał ku brzegowi. Chwyciwszy Starę za rękę podpłynął wraz z innymi, aż woda sięgała mu do piersi; następnie poczęli brodzić w wodzie, która sięgała im do brzucha, potem do kolan. Pomimo silnego prądu

przemieszczali się w stronę brzegu, a wokoło nich rozbijały się fale.

Nie dotarli jednak do niego bezpiecznie. Pojawiły się tam kolejne setki ludzi Tirusa, które przyszły na pomoc, i mężczyźni ci z wysoko uniesionymi mieczami biegli w ich stronę, brodząc w wodzie, by się z nimi zetrzeć w walce.

Reece, któremu ból pulsował w ramieniu, który ociekał wodą, przemarznięty, po kolana w wodzie, zdrową ręką uniósł miecz i ruszył, by zetrzeć się ze swym pierwszym przeciwnikiem. Mężczyzna był dwukrotnie większy niż on. Jęknąwszy, Reece zatrzymał jego cios, nachylił się w jego stronę, a następnie usunął się; mężczyzna zatoczył się do wody, a Reece obrócił się raptownie i ciął go.

Dokoła niego jego ludzie walczyli wręcz, żołnierz z żołnierzem, walcząc o każdy krok, by dostać się do brzegu. Walczyli bez cienia strachu, ile starczało im sił i w powietrzu rozbrzmiewały szczęk metalu i krzyki mężczyzn. Żołnierze padali po obu stronach i woda rychło nabrała barwy krwi.

Na brzegu pojawiało się jednak wciąż coraz więcej żołnierzy Tirusa, niby niekończący się strumień. Po każdym kroku, który Reece pokonał, na miejsce każdego zabitego mężczyzny, pojawiał się kolejny.

Rozległ się chór rogów i obróciwszy się Reece ujrzał znajdującą się coraz bliżej flotę Falusa, składającą się z wielu tuzinów ogromnych okrętów wojennych. Byli uwięzieni pomiędzy dwoma wrogami.

Reece wiedział, że zginie tego dnia; czerpał przynajmniej pociechę z tego, że zginie w walce, jak żołnierz, z mieczem w dłoni i nie przestanie walczyć, aż nie będzie mógł unieść rąk. Może i zginie – lecz nim tak się stanie, położy trupem tylu mężczyzn, ilu tylko zdoła.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

Świt zastał Gwendolyn na dziobie jej okrętu. Przyciskała do siebie Guwayne'a, spoglądając z przerażeniem w dal, ponad ponurym oceanem Wysp Górnych. Dojrzała wreszcie ląd – lecz nie to przykuło jej wzrok.

Miał odczuć ulgę, że ujrzała ląd, że dotarli do celu, Gwen spostrzegła coś, co ją zastanowiło: tuziny okrętów wojennych pod banderą Tirusa, zwrócone do nich tyłem,

wpływające do zatoki, jak gdyby zamierzały przypuścić atak na własną wyspę.

Z początku Gwen była skołowana. To nie miało sensu. Dlaczego mieliby przypuszczać atak na swoich?

Kendrick, Godfrey, Steffen i wszyscy jej doradcy podeszli do niej we wczesnorannym słońcu. Patrzyli na ten sam niepokojący widok. Gdy podpłynęli bliżej, a Gwen zmrużyła oczy, wpatrując się w horyzont, wszystko zaczęło nabierać sensu. W zatoce uwięziony był jakiś tuzin jej okrętów. Wiele spośród z nich płonęło i smugi czarnego dymu wznosiły się na widnokręgu. Nawet tutaj słyszała krzyki ginących mężczyzn. Byli uwięzieni pomiędzy flotą Tirusa na morzu a jego ludźmi na brzegu.

Do Gwen dotarło, co się stało: ludzie Tirusa przypuszczali zmasowany atak na to, co pozostało z jej floty. A jej ludzie – tych niewielu, których przeżyło – byli dziesiątkowani.

Patrząc w horyzont, Gwen miała pewność, że jej brat znajduje się na jednym z okrętów – wraz ze Srogiem i resztą jej ludzi. Gwen natychmiast poczuła się winna.

Najwyraźniej utrzymali swe pozycje tam, gdyż wydała taki rozkaz. Miała wrażenie, że w jakiś sposób ich zawiodła, posłała na śmierć z rąk tych wyspiarzy.

Gwendolyn ogarnęła fala paniki. Wiedziała, że nie może na to pozwolić – nie może pozwolić, by jej ludzie polegli, poniósłszy porażkę. Bez względu na przyczynę, nawet jeśli Reece sprzeciwił się jej rozkazowi, nawet jeśli nie powinien był uśmiercać Tirusa, był przecież jej bratem, a tam byli jej ludzie. Nie mogła pozwolić, by wyspiarze wyrządzili im krzywdę. Musieli przekonać się, co spotka ich, gdy sprzeciwią się królowej, Srebrnej Gwardii, MacGilom; musieli poczuć gniew Kręgu.

Okręty Gwendolyn znajdowały się jednak w niepewnej pozycji. Było ich znacznie mniej niż tuziny ogromnych, dobrze uzbrojonych okrętów Wysp Górnych. Choć siła zbrojna Gwendolyn przewyższała umiejętności Tirusową, nie mieli szans pokonać ich na morzu w bezpośrednim starciu.

- Niezupełnie takiego powitania się spodziewałaś, nieprawdaż, sestro? – spytał Kendrick, wpatrując się w dal z obliczem wojownika. Ze spokojem oceniał sytuację wprawnym okiem.

- Rzekłem ci, że Tirusowi nie można ufać – dodał Godfrey.

Gwen potrząsnęła głową.



- To nie ma teraz znaczenia – powiedział. – To od nas zależy, jak nas witają w tym świecie.

Jej głos był zimny i twardy, jak głos jej ojca – i wszyscy jej ludzie spojrzeli na nią z widocznym szacunkiem.

- Pani, z pewnością – odezwał się Aberthol. – Nie możemy ot tak przypuścić ataku na tę wielką flotę.

- Po naszej stronie stoi element zaskoczenia – powiedziała Gwendolyn. – Nie spodziewają się ataku na tyły, z otwartego morza. Nie będą nas wypatrywać. Nim zdążą zareagować, może nam się udać zniszczyć już dobrą część ich floty.

- A co później? – upierał się Aberthol. – Gdy się spostrzegą, gdy zwrócą się ku nam, rozgromią nas tu, na tych wodach.

Do Gwendolyn dotarło, że ma rację. Potrzebny był jej plan, i to zręczny, taki, który wykonać można w pośpiechu. Nie mogła ryzykować bezpośredniego starcia.

Rozejrzała się wzdłuż linii widnokregu, przyjrzała ukształtowaniu terenu, wysuniętym w morze kamiennym pomostom, zatoce w kształcie podkowy, w której uwięziony był jej brat; sięgnęła pamięcią do ksiąg traktujących o historii, do strategii wojskowych i taktyk, do nauk o tysiącu słynnych bitew – i nagle coś przyszło jej do głowy.

Oczy zapłonęły jej z podniecenia, gdyż zdała sobie sprawę, że pomysł był wystarczająco szalony, by mógł się powieść. Cóż to powiedział jej ojciec? *By dowódca mógł odnieść zwycięstwo, jego plan musi się składać w dwóch częściach z logiki i w jednej z szaleństwa.*

- Uwięzili naszych ludzi w wąskiej zatoce, w przewężeniu w kształcie podkowy, pomiędzy tymi pomostami – rzekła Gwendolyn. – Mogą one jednak zadziałać także na ich niekorzyść. Gdy więzisz innych, sam także jesteś uwięziony.

Wszyscy spojrzeli na nią zbici z tropu.

Godfrey zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, pani.

Gwen wskazała palcem kamienne pomosty.

- Możemy ich uwięzić – dodała.

Jej ludzie zamrugali, wciąż nie pojmując.

- Łańcuchy – rzekła prędko, odwracając się do Kendricka. – Łańcuchy ze szpikulcami. Te w ładowni. Jak długie są?

- Te używane do zasadzek w porcie? – zapytał Kendrick. – Najmniej sto jardów, pani.

Skinęła głową, przypominając sobie, że niegdyś widziała, jak ojciec jej ich używa.

Zdawały się nie mieć końca, a co kilka stóp wyrastały z nich szpikulce ostre jak klinga miecza. Widziała raz, jak jej ojciec rozpostarł je w porcie, a okręty nieprzyjaciela wpłynęły w nie i roztrzaskały się na kawałki.

- Dokładnie tak – powiedziała. – Właśnie te.

Kendrick pokręcił głową.

- To plan dobry na zbitą flotę – powiedział Kendrick. – Lecz nie sprawdzi się tutaj.

To otwarte wody, jest zbyt głęboko. Miej na uwadze, że zaatakujemy ich od strony morza. Woda nie jest tam wystarczająco płytka, by uszkodzić ładownie okrętów.

Łańcuchy te umieszcza się na płytce położonym podłożu.

Gwen pokręciła głową. Pomysł ukształtował jej się już głowie.

- Nie pojmujesz – powiedziała. – Tych łańcuchów używać można także na inne sposoby. Nie musimy rzucać ich na dno oceaniczne – możemy podpłynąć blisko i naprężyć je w wodzie, a gdy ruszą za nami, zniszczą ich.

Kendrick wpatrywał się w nią skołowany.

- Ale jakim sposobem, pani? Jak naprężymy łańcuchy?

- Zaatakujemy ich na tyłach i podpalimy ich flotę – wyjaśniła. – Gdy obrócą się, by się z nami rozprawić, łańcuchy będą już naprężone. Wpierw pošlemy nieduże łodzie, jedną na każdy koniec portu. Jedną poprowadzisz ty, drugą Godfrey. Każda łódź chwyci jeden koniec łańcucha i przywiąże go do skał, do krańca pomostu. Naprężycie go, ale pozostawicie tuż pod powierzchnią wody. Ludzie Tirusa będą patrzeć na nas, gdy zaatakują – nie pod powierzchnię w poszukiwaniu jakichś pułapek. Wpłyną w nasze szpikulce!

Kendrick spojrział w stronę horyzontu, z rękoma wspartymi na biodrach przyglądając się uformowaniu terenu. Skinął głową powoli.

- To odważny pomysł – zauważył.

- To szaleństwo! – rzekł Aberthol. – Do głowy przychodzi mi sto rzeczy, które mogą się nie powieść!

Gwendolyn, nieustraszony dowódca u szczytu sił, dała krok naprzód i uśmiechnęła się.

- I właśnie dlatego tak postąpimy – powiedziała.

\*

Gwen stała na dziobie z tłukącym się w piersi sercem i wzrokiem utkwionym przed sobą. Pół tuzina jej okrętów płynęło po obu jej stronach na jej rozkaz tak cicho, jak tylko się dało. Nie słychać było nic poza wyciem wiatru i odległymi krzykami jej ludzi, Reece'a i pozostałych, uwięzionych w zatoce, walczących o życie.

Gwendolyn przyglądała się z zadowoleniem dwu niedużym łodziom, mieszczącym po tuzin mężczyzn każda. Jednej przewodził Kendrick, a drugiej Godfrey. Wiosłowali prędko, a w każdej z nich trzymano jeden koniec łańcucha. W łodziach znajdowali się najodważniejsi wojownicy, którzy zgłosili się, by wykonać to ryzykowne zadanie. Wśród nich znalazło się kilku legionistów – Elden, O'Connor i Conven wraz z kilkoma nowymi rekrutami. Steffen także się zgłosił, lecz Gwen samolubnie zatrzymała go tutaj, przy sobie.

Jej flota płynęła na pełnych żaglach. Wiatr wzmagał się i okręty nabierały rozpędu.

Znajdowali się coraz bliżej okrętów Tirusa. Gwen wstrzymała oddech, modląc się, by żaden żołnierz z floty Tirusa nie obrócił się i ich nie spostrzegł.

Gwen czekała niecierpliwie, przyciskając do piersi Guwayne'a, patrząc jak jej łodzie zajmują umówione pozycje. Wiosłowali tak szybko i cicho, jak tylko potrafili, uderzając wiosłami o wodę, aż wreszcie łodzie Kendricka i Godfreya zatrzymały się przy krańcach obu kamiennych pomostów, ledwie kilka jardów od okrętów wroga. Natychmiast przystąpili do mocowania końców do ogromnych głązów na krańcu obu pomostów.

Łańcuch naprężył się, wynurzając się na chwilę na powierzchnię, aż poluzowali go i zniknął pod wodą.

- Przygotować łuki! – zakomenderowała Gwen swym ludziom na pokładzie.

Dziesiątki mężczyzn uniosły łuki, trzymając w pogotowiu płonące strzały, oczekując na jej rozkaz.

- Mierźcie w górne żagle! – zawołała. – Tak wysoko, jak zdołacie!

Byli już bliżej, coraz bliżej, i napięcie w powietrzu stało się tak gęste, że można by ciąć je nożem. Gwen miała tylko jedną szansę i nie chciała jej zaprzepaścić.

Podpłynęli na zaledwie pięćdziesiąt jardów od tyłów floty Tirusa, gdy wreszcie była gotowa, by wydać rozkaz.

- OGNIA! – wykrzyknęła.

Tysiąc płonących strzał z floty Gwen wzniosło się wysokim łukiem, przysłaniając nagle niebo. Gwen wstrzymała oddech, obserwując, jak rozświetlają świt.

Chwilę później wylądowały, pokrywając flotę Tirusa.

- OGNIA! – wrzasnęła ponownie.

Jej ludzie wypuszczali jedną za drugą serię strzał. Płonące strzały rozświetlały niebo niby plaga szarańczy i lądowały na okrętach Tirusa.

Pośród zdezorientowanych mężczyzn rozległy się okrzyki bólu, gdy niektóre spośród statków Tirusa stanęły nagle w płomieniach. Pół tuzina okrętów na tyłach jego floty zostało trafionych tak celnie, że stanęły po kolei w ogniu. Mężczyźni biegali gorączkowo, próbując ugasić płomień, lecz nie udawało im się to. Płonąc, skakali do wody.

Reszta floty jednak – tuziny okrętów – znajdowały się poza zasięgiem strzał albo zdołały ugasić płomień wystarczająco szybko i nie wyrządziły one większych szkód.

Wszystkie okręty z wolna obróciły się w stronę Gwendolyn. Ich armia była znacznie większa niż jej. Zarzucili pościg w porcie i skupili swą uwagę na Gwen.

Dobrze skoordynowana flota okrętów wojennych zbliżająca się do nich wyglądała onieśmielająco i Gwen wiedziała, że jeśli łańcuch nie sprosta zadaniu, ona i jej ludzie zginą w ciągu kilku minut.

Gwendolyn uniosła dłoń i opuściła ją raptownie, wedle umówionego znaku. Wtedy

Kendrick i jego ludzie szarpnęli ciężki łańcuch z jednego końca, a Godfrey i jego ludzie z drugiego. Długi na sto jardów łańcuch uniósł się, wynurzając się ledwie odrobinę nad powierzchnię wody, a wtedy obwiązali go prędko wokół nowych głazów, raz za razem, mocując dobrze.

Czekali do ostatniej chwili, aż flota Tirusa znalazła się zbyt blisko, by mogli spostrzec wystające z wody szpikulce. Ludzie Tirusa wreszcie zauważyli je – było już jednak za późno.

Flota Tirusa, niczego nie podejrzewając, wpłynęła prosto w pułapkę. Odgłos rozłupywanego drewna poniósł się w powietrzu, a po nim rozległ się odgłos skrzypiącego drewna. Kendrick, Godfrey i legioniści trwali nieustraszenie na swych pozycjach, gołymi rękoma trzymając łańcuch, by upewnić się, że się nie poluzuje.

Trzymali z całych sił, pojękując, gdy walczyli z ciężarem okrętów.

Flota Tirusa wbijała się dalej w szpikulce, jeden okręt po drugim. Było zbyt późno, by zdążyli się obrócić. Okręty ustawione były obok siebie w wąskim porcie i płynęły spieszenie, by zniszczyć Gwendolyn. Po chwili poczęły się łamać, a następnie przechylać.

Dzioby chyliły się ku wodzie, prosto w dół, i okręty roztrzaskały się na milion kawałków.

Ludzie Tirusa krzyczeli, przerażeni, wypadając z rozchybotanych okrętów i przebierali rękoma w wodzie, a silne prądy wciągały ich pod powierzchnię. W ciągu kilku chwil jego flota, płynąca tak dumnie i nieustraszenie jeszcze moment wcześniej, została do szczytu rozbita.

Ludzie Gwendolyn wydali z siebie głośny okrzyk zwycięstwa, gdy ludzie Tirusa spadali w głębiny morza.

- DO ATAKU! – krzyknęła Gwen.

Ludzie Gwen podnieśli grotzagiel, złapali wiatr i płynęli, wiosłując z całych sił, z pełną prędkością w stronę portu, by przyjść z pomocą Reece'owi i temu, co pozostało z jej floty. Zbliżając się, widziała już Reece'a i innych brodzących po kolana w wodzie wśród fal, toczących boje z przewyższającymi ich liczebnie ludźmi Tirusa na brzegu.

Za chwilę miało się to zmienić. Rozbrzmiał chór rogów, oznajmiający przybycie floty Gwen i żołnierze Tirusa na brzegu poczęli przerywać walkę i patrzyli na nadciągającą flotę z przestachem.

- MIERZCIE WYSOKO! OGNIA! – zawołała Gwen.

Jej ludzie wypuścili kolejne setki strzał wysokim łukiem. Przecięły powietrze nad głowami Reece'a i jej ludzi i trafiły w żołnierzy Tirusa na brzegu. W powietrzu rozległy się krzyki i jeden po drugim żołnierze padali na piasek, który przybrał barwę krwi, a niebo pociemniało od strzał. Jedna po drugiej serie strzał wznosiły się i spadały i niebawem niemal każdy mężczyzna na plaży, prócz jej ludzi, był martwy. Kto pozostał przy życiu, odwracał się i uciekał.

Gwen była wystarczająco blisko, by dojrzeć twarz Reece'a, gdy w raz z pozostałymi odwrócił się i spojrzał na nią w górę, w szoku, z podziwem i z wdzięcznością.

Ocaleli. Zwyciężyli.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

Romulus stał u przejścia nad Kanionem i patrzył w dal, gotując się z wściekłości. Za nim stała jego milionowa armia, a nad nim ryczały smoki, rzucając się raz za razem w osłaniającą Kanion niewidzialną tarczę Argona, rozwścieczone, nie mogąc przedostać się na drugą stronę. Romulus podniósł wzrok i patrzył, zastanawiając się, co też mogło się zdarzyć, jakaż to siła jest wystarczająco potężna, by stawić opór wszystkim tym smokom.

Romulus wiedział, że zniszczył Tarczę na dobre – a każdy czarnoksiężnik rzekł mu, że Tarcza nie podniesie się już; że Krąg będzie już zawsze należał do niego; i że żadna moc na świecie go nie zatrzyma.

W istocie, Romulus zajął Krąg – jego ludzie zajmowali teraz każdy jego zakątek po obu stronach Pogórza. Starli z powierzchni ziemi każdą osadę, pozostawili po nich jedynie gruz, popiół. Nie pozostało nic, co można by odbudować. Krąg należał do niego.

Były to teraz ziemie Imperium.

A oto Romulus stał, nie mogąc się z niego wydostać, uwięziony wewnątrz przez niewidzialną Tarczę, która jakimś sposobem została wzniesiona przez Argona. Patrząc na drugą stronę mostu, zastanawiał się, co też się stało i jak może ją zniszczyć. A nade wszystko: dokąd zbiegła Gwendolyn?

Romulus odwrócił się do Luandy, która stała u jego boku.

- Dokąd uciekła twa siostra? – zapytał.

Luanda stała obok, nieskrępowana już więzami. Wreszcie była lojalna względem niego i nie zamierzała nigdzie uciekać. Sądził, że nigdy nie złamie tej kobiety, a teraz radował go jej widok – niegdyś tak niezależnej, a teraz uległej jego woli, jak każdy inny.

Stosowana względem niej przemoc przyniosła skutek; była teraz jak każdy inny niewolnik, gotowa czynić, co się jej rozkaże. Jednego dnia może nawet poślubi ją – a gdy się nią znudzi, równie szybko zabije. Rzecz oczywista, ona tego jeszcze nie wiedziała.

Czekała ją nieprzyjemna niespodzianka.

Luanda utkwiała spojrzenie w widnokręgu i zdawała się zastanawiać.

- Nie próbowałyby osiedlać się w Dziczy – odparła. – Wie, że to nie miejsce na dom.

Musiała zaprowadzić swych ludzi na okręty; musiała mieć je przygotowane. Istnieje tylko jedno miejsce, do którego mogła dopłynąć, które znajduje się blisko i jest jej przyjazne, miejsce, do którego pewnie nie sądzi, że kiedykolwiek się wyprawisz. Miejsce skryte pośród wzburzonych północnych mórz: Wyspy Górne.

Romulus przyjrzał się dokładnie przejściu nad Kanionem, ujrzał na nim ślady stóp tysięcy ludzi i zamyślił się. Gdyby zdołał przebić tę tarczę, wzięłby połowę swej milionowej armii, poprowadził ich ku swym okrętom i wyruszył ku Wyspom Górnym.

Otoczyłby każdy jej cal i zniszczyłby doszczętnie.

Wpierw jednak posłałby swe smoki przez ocean, rozkazałby im podpalić wszystko jeszcze nim tam przybędzie. Przybyłby na wyspę zrównaną z ziemią. Nie musiałby nawet unosić miecza.

Smoki ryczały raz po raz. Romulus wiedział, że musi zniszczyć tę nową Tarczę, odwrócić czyny Argona. Odrzucił głowę w tył, rozpostarł szeroko ramiona, otworzył dłonie i zwrócił je ku niebu, po czym wrzasnął, przyzywając całą swą nowo odkrytą energię, zdeterminowany jak nigdy. Jeśli był w stanie przyzwać smoki, będzie w stanie przyzwać najmroczniejsze energie piekieł, by czyniły wedle jego upodobań.

Przetoczył się nad nimi potężny grzmot, ziemia zatrzęsła się i z niebios w dół

wystrzeliły snopy czarnego światła, prosto w dłonie Romulusa. Biła od nich poświata i drgały, a on czuł energię przepływającą przez niego w dół, do ziemi.

- Pradawne moce, przyzywam was! – wrzasnął Romulus. – Strzaskajcie tę tarczę!

Romulus otworzył oczy, zwrócił dłonie w przód i z głośnym krzykiem skierował czarne światło ku niewidzialnej tarczy przed sobą.

Tarcza Argona pokryła się nagle cała czarnym światłem, coraz intensywniejszym, aż wreszcie tarcza poczęła pękać.

Nagle rozległ się ogromny wybuch.

Niewidzialna tarcza rozprysnęła się na milion drobin, osypując się wokoło nich jak płatki śniegu. Romulus podniósł wzrok, zadziwiony, czując, jak małe kawałki opadają na niego, na jego włosy i układają się niby pył na jego otwartych dłoniach.

Smoki ryknęły zwycięsko. Nie uderzały już o niewidzialny mur, lecz poleciały naprzód. Pomknęły przed siebie, przez Kanion, ku Dziczy.

Romulus odchylił się w tył i roześmiał z radością. Wiedział, że smoki pokonają Dzicz, pokonają ocean, napadną na Gwendolyn i jej ludzi i uśmiercą każdego jednego z nich.

A on będzie deptał im po piętach.

- Lećcie, moje smoki – śmiał się. – Lećcie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY**

Erec stał na skalnym występie na klifie, przyglądając się toczącym się przed nim walkom. Setki mężczyzn ścierały się i wokoło rozlegały się radosne okrzyki. Jakieś dwadzieścia stóp niżej leżał rozległy występ skalny o średnicy pięćdziesięciu jardów, w kształcie koła, dokoła którego znajdował się stromy spadek. Na jego obrzeżach wzniesiono ogromną miedzianą balustradę, wysoką na dobre dziesięć stóp, dzięki której żaden z wojowników nie spadł w przepaść i żadna z walk nie kończyła się śmiercią.

Mimo tego nie były to przelewki. Walki tego dnia ustanawiały, kto miał prawo stanąć z



Erekiem w szranki o sprawowanie rządów w następstwie śmierci jego ojca.

Wszyscy ci wspaniali wojownicy, towarzysze broni, bracia z tego samego narodu i z tej samej wyspy, nie przybyli tu, by się wzajemnie zabijać. Dziś oręż był stępiony, a zbroje dodatkowo wzmacniane. Każdy z nich pragnął jednak zostać królem i dowieść swych umiejętności na polu bitewnym.

Erec przypatrywał się im i podziwiał ich kunszt, a w jego głowie kłębiło się milion myśli. Rozmyślał wciąż o ostatnich słowach swego ojca, o tym, co rzekł mu o władaniu ludem. Erec zastanawiał się, czy podoła zadaniu. Spojrzał w dół, na wszystkich tych wspaniałych wojowników, na tysiące ludzi stojące na klifach. Przyglądali się, a wyglądali niezwykle szlachetnie, i Erec zastanawiał się, dlaczego to on powinien nimi władać.

Nade wszystko jednak Erec nie potrafił się nadziwić temu, że jego ojciec właśnie zmarł, a oto wszyscy ci ludzie świętowali, wiedli życie jak dawniej, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Erekiem targały sprzeczne emocje. Po części rozumiał tradycje swych ludzi, by celebrować życie jego ojca miast opłakiwać go; płacz nie przywróci go wszak do życia.

Po części jednak potrzebował odrobiny czasu i miejsca, by opłakać śmierć człowieka, którego niemal nie znał.

- Wielu stanie z tobą w szranki, bracie – rzekł Strom z szerokim uśmiechem, stając obok niego i uderzając go serdecznie po plecach. – A ja będę pierwszym z nich.

Erec obrócił się i ujrzał obok siebie rodzinę królewską – Stroma, Dauphine, swą matkę, Alistair u swego boku – którzy obserwowali walki z tego wysoko położonego punktu. W dole rozlegał się szczeł metalu. Setki wojowników ścierały się i, jeden za drugim, eliminowały. Walki toczyły się od wielu godzin, wojownicy zmniejszali swe szeregi do dwunastu zwycięzców, którzy będą potykać się z Erekiem o władzę.

Jak nakazywała tradycja, tuzin zwycięzców miał reprezentować tuzin prowincji Wysp. Każdy z nich otrzyma szansę, by walczyć z Erekiem. Dzięki temu każda prowincja miała swego przedstawiciela i rozgrywała między sobą walki, z których wyłaniała swego zwycięzcę. Tym sposobem każdy na wyspie miał szansę ubiegać się o tron, podobnie jak czynili to ich przodkowie od wieków. Dwunastu zwycięzców przedstawiało to, czym lud ten mógł się pochwalić i choć – co oczywiste – Erec zmęczy się, mierząc się z dwunastoma mężami, był to sprawdzian prawdziwego wojownika.

Jeśli zdoła ich wszystkich pokonać, jednego po drugim, bez przerwy, jego ludzie ujrzą

w nim króla.

Strom zaśmiał się raz jeszcze.

- Długo nie było cię na wyspach – dodał. – A ja ćwiczyłem się na tę okazję od lat. Nie smuć się, gdy cię zwyciężę!

Strom poklepał Ereca po plecach i ryknął gromkim śmiechem, zachwycony sobą.

Erec zlustrował brata z góry do dołu i ujrzał, iż w istocie będzie on trudnym do pokonania przeciwnikiem. Nie miał cienia wątpliwości, że jest wspaniałym wojownikiem w najwspanialszej zbroi, szkolonym przez najlepszych ludzi jego ojca. Nie wątpił także, że jego brat gorąco pragnie tronu – a nade wszystko, gorąco pragnie go pokonać.

- Nie troskaj się, bracie – odparł Erec. – Otrzymasz szansę, by się ze mną zmierzyć, jak każdy inny.

Strom uśmiechnął się.

- Nie bądź rozczarowany, jeśli przed końcem dnia będziesz zwracał się do mnie jak do króla.

Strom roześmiał się, a Erec uśmiechnął się do siebie. Jego bratu nie brak było ducha i pewności, zawsze tak było. Rzecz oczywista, mogło to także doprowadzić go do zguby.

Erec skupił swą uwagę na powrót na potyczkach, przyglądając się im okiem wojownika. Rozgrywano kolejne walki i w powietrzu rozlegały się krzyki i jęki mężczyzn i szczęk metalu. Wojownicy nacierali na siebie konno w pełnym galopie, unosząc lance wysoko, ścierając się. Erec wiedział, że zwyczajem Wysp Południowych wojownik musiał odnieść zwycięstwo i konno, i na nogach – gdy mężczyźni spadali ze swych wierzchowców, poczynali walczyć wręcz. Wszak wojownicy tutaj musieli wykazać się bardziej niż gdziekolwiek na świecie.

Mijały godziny i słońce kładło się już nisko na nieboskłonie. Ostatnia prowincja wyłoniła swego zwycięzcę; wreszcie chóralnie rozbrzmiały rogi, a wśród ludzi rozległy się wiwaty.

Dwunastu zwycięzców ustawiło się w szeregu. Każdy z nich był zahartowanym w boju wojownikiem i gotów był walczyć z Erekiem o prawo do władzy.

- Zdaje się, że nadeszła nasza kolej, bracie! – powiedział Srog, przywdziewając hełm i spiesząc w dół po kamiennych stopniach.

Erec pochwycił swój oręż, złożył pocałunek na ustach Alistair i podążył za nim. Gdy dotarł do pola walk, w powietrzu zgęstniało od krzyków tysięcy wyspiarzy. Wszyscy witali go okrzykami, radując się na jego zbliżające się potyczki z innymi.

Erec spostrzegł, że Strom gotuje się do walki i dezorientowało go to.

- Z tobą mam walczyć na ostatku – rzekł Erec, zrównując się z nim. – Tak nakazuje tradycja.

Strom potrząsnął głową.

- Już nie – odrzekł. – Zmieniłem reguły. Wpierw zmierzysz się ze mną. Muszę pokonać cię od razu, bym mógł pokonać pozostałych. Wszak gdy zostanę królem, udowodnię wszystkim tym ludziom, że jestem lepszym wojownikiem niż ty. Chyba że lękasz się zmierzyć się ze mną na początku.

Erec pokręcił głową nad pewnością swego młodszego brata.

- Nie cofam się przed żadnym wyzwaniem – odparł Erec.

- Nie troskaj się – powiedział Strom. – Postaram się nie poturbować cię zbytnio!

Strom roześmiał się z własnego żartu, zachwycony sobą, podbiegł do konia i wsiadł na niego, chwytając lancę i zacierając na pole potyczek.

Erec dosiadł pięknego rumaka, przygotowanego dla niego, opuścił wzrok i przyjrzał się trzem lancom, które mu podano. Ważył każdą z nich w dłoni i wreszcie wybrał jedną, krótszą od pozostałych i lżejszą, o powleczonym miedzią drzewcu. Ledwie ujął ją w dłoń, a jego brat już przypuszczał na niego szarżę.

Erec także natarł i teraz, gdy znalazł się na polu walki, coś w nim się zmieniło.

Przeistoczył się w zawodowego żołnierza i w jadącym naprzeciw niego mężczyźnie nie widział już swego brata. Był teraz jego przeciwnikiem.

Wszystko inne zniknęło mu sprzed oczu i Erec skupił się jak nigdy dotąd. Tak jak przez całe jego życie, także teraz coś zmieniło się w nim, gdy tylko opuścił zasłonę hełmu i natarł, coś, nad czym nie był w stanie zapanować. Był jak machina, zdecydowany pokonać każdego, kto stanie mu na drodze – czy będzie to jego brat, czy nie.

Erec wyzbył się wszelakich emocji, wszelakich uczuć zazdrości czy zawiści.

Wiedział, że byłyby mu one jedynie przeszkodą. Doświadczony wojownik nie mógł pozwolić sobie na to, by mącić swój umysł emocjami.

Miast tego, gdy opuścił lancę, gdy usłyszał w uszach swój własny oddech, Erec skupił uwagę na każdym najmniejszym ruchu swego brata – przesuwał się zbroi, ułożeniu lancy. Jego brat był pewny swego, Erec poznał to po sposobie, w jaki jechał.

Spostrzegł także, że w tym kryła się jego słabość.

Zbliżywszy się, w ostatniej chwili Erec dokonał niewielkiej zmiany; uniósł nieco lancę, przeniósł ciężar ciała na prawą stronę i uderzył bronią w pierś brata.

Rozległ się głośny brzęk i jego brat poszybował z grzbietu swego konia i wylądował na plecach na ziemi. Tłum zawiwatował.

Erec zatoczył koło i ujrzał Stroma na ziemi, pojękującego, przetaczającego się, by się podnieść. Zsiadł z konia i stanął, czekając, dając mu czas. Miał wyrzuty sumienia; był to wszak jego brat.

Strom szybko podniósł się i ściągnął hełm. Twarz poczerwieniała mu z gniewu.

Zakrzyknął do swego giermka:

- BUZDYGAN!

Erec stał naprzeciw niego, opanowany. Zdjął hełm i chwycił buzdygan, który podał mu jego giermek. Były to wielkie drewniane buzdygany o stępionych kolcach, by nie można było nimi zabić, lecz by uderzenie dało się odczuć.

- Poszczęściło ci się! – wrzasnął Strom. – Drugi raz tego nie dokonasz!

Strom natarł z krzykiem, zamachując się zapamiętałe. Były to silne ciosy – lecz kierowane emocjami. Erec, skupiony, był w stanie zręcznie odpierać każdy z nich.

Strom zatrzymał się, dysząc ciężko i spojrzał na niego gniewnie.

- Dam ci jedną szansę, byś mi się poddał! – zawołał Strom. – Poddaj się teraz i ogłoś, żeś królem!

Erec pokręcił głową nad pewnością swego brata. Choć Strom mówił śmiertelnie

poważnie, Erec nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Bardzo łaskawy jesteś, oferując mi tę szansę – odkrzyknął Erec. – Lecz to zbyt łaski. Nie mogę jej przyjąć. Nie wybrałem sobie władania królestwem, nie pragnę tego, lecz nigdy nie poddam się w walce – żadnemu mężczyźnie, nawet swemu bratu.

Strom krzyknął i natarł jak szaleniec. Uniósł buzdygan, by zadać Erecowi silny cios w głowę.

Erec obrócił buzdygan bokiem, uniósł go wysoko i zablokował uderzenie. Następnie nachylił się i kopnął brata w pierś, aż ten poleciał w tył i wylądował na ziemi.

Wtedy Erec ruszył naprzód, zamachnął się i gdy Strom uniósł broń, by zablokować cios, Erec zamachnął się od dołu i trafił w samą głowicę buzdyganu, aż wyleciał jego bratu z rąk. Przeleciał nad miedzianą balustradą, za pole walk, prosto w przepaść.

Erec stanął nad swym bezbronnym bratem z buzdyganem wymierzonym w jego gardło.

Strom wpatrywał się w niego szeroko rozwartymi oczyma, wyraźnie się tego nie spodziewając.

- Kocham cię, bracie – powiedział Erec. – Nie chcę wyrządzić ci krzywdy. Zakończ naszą potyczkę teraz, a obędzie się bez obrażeń.

Lecz Strom obrzucił go jedynie gniewnym spojrzeniem.

- Znów ci się poszczęściło – wycedził Strom. – Czy naprawdę sądzisz, że ugnę się przed gorszym od siebie w boju?

Strom podniósł się, wspierając na kolanach i natarł na niego, zamierzając powalić go, mierząc w jego nogi.

Erec przewidział ten ruch i usunął się na bok, pozwalając bratu, by rzucił się do przodu. Wtedy Erec pchnął go nogą, posyłając twarzą w piasek.

Strom przetoczył się. Twarz jego wykrzywiona była gniewem, a tłum ryczał ze śmiechu.

- Miecz! – zawołał Strom do swego giermka. – PRAWDZIWY miecz!

Z ust tłumy dobył się stłumiony okrzyk, a jego giermek podbiegł z mieczem, po czym zatrzymał się i spojrzał na Ereca, oczekując na jego zgodę.

Erec spojrział gniewnie na Stroma, niemal nie wierząc w to, co widzi. Był nim rozczarowany.

- Bracie, to przyjacielska potyczka – rzekł ze spokojem. – Nie powinniśmy używać ostrej broni.

- Żądam prawdziwego miecza! – zawołał gorączkowo. – Chyba że obawiasz się zetknąć ze mną w boju!

Erec westchnął, widząc, że jego brata nic nie powstrzyma. Będzie musiał odebrać tę lekcję.

Erec skinął głową giermkowi, który podał Stromowi miecz. Erec stał wciąż naprzeciw niego.

- A gdzie twój miecz? – spytał Strom, wstając.

Erec pokręcił głową.

- Nie jest mi potrzebny. W zasadzie nie potrzebuję nawet tego.

Erec rzucił swój buzdygan, a z piersi tłumu dobył się stłumiony okrzyk. Stał naprzeciw swego brata bezbronny.

- Czyż mam zabić bezbronного człowieka? – zapytał jego brat.

- Prawdziwy rycerz nigdy nie jest bezbronny. Bezbronny jest jedynie ten, który pozwala, by kierowały nim emocje.

Strom patrzył na niego, zdezorientowany. Wyraźnie wahał się, zastanawiał, czy zaatakować bezbronного człowieka. Wreszcie jednak jego ambicja zwyciężyła; na jego twarzy odmalowała się wściekłość i uniósłszy miecz z krzykiem natarł na Erecą.

Erec czekał, zwlekając, oceniając siłę swego brata, i usunął się z drogi w ostatniej chwili; klinga przecięła obok jego ucha, omijając go o włos. Erec był rozczarowany, spostrzegłszy, że jego brat w istocie zamierzał go zabić.

W tym samym ruchu, nie zatrzymując się, Erec zamachnął się i uderzył brata łokciem w dół pleców, gdzie nie chroniła go zbroja. Strom wykrzyknął, gdy Erec trafił w zamierzony punkt, tuż pod nerką, i osunął się na kolana, upuszczając miecz.

Erec obrócił się, kopnął go w plecy, posyłając na twarz, i postawił nogę na jego karku,

wciskając jego twarz w piach. Przycisnął mocniej niż uprzednio, by okazać bratu, że ma dosyć.

- Przegrałeś, bracie – powiedział Erec. – Ta ostroga jest ostrzejsza niż klinga twego miecza. Jeśli poruszysz się choćby o pół cala, przetnie każdą tętnicę w twym gardle. Czy naprawdę chcesz, by nasza walka toczyła się dalej?

Tłum ucichł. Wszyscy pochłonięci byli pojedynkiem pomiędzy dwoma braćmi.

Wreszcie Strom, dysząc ciężko, pokręcił lekko głową.

- Rzeknij to – powiedział Erec. – Poddaj się!

Strom leżał przez chwilę w milczeniu, podczas którego nie poruszyła się nawet jedna osoba, aż wreszcie wrzasnął:

- **PODDAJĘ SIĘ!**

Rozległ się głośny ryk i Erec zdjął nogę z gardła brata. Strom, nie doznawszy obrażeń, zerwał się na nogi i odszedł spiesznym krokiem, zwróciwszy się plecami do Ereca, nie odwracając się ani razu. Twarz jego była pokryta błotem.

Rozległ się dźwięk rogu, któremu towarzyszyły głośne krzyki tłumu.

- A teraz czas na walki z dwunastoma zwycięzcami!

Erec obrócił się i ujrzał zwycięzców z dwunastu prowincji, ustawionych rzędem, z szacunkiem czekających na swą kolej, by z nim walczyć.

Wiedział, że będzie to długie popołudnie.

\*

Erec toczył boje przez wiele godzin z jednym rycerzem po drugim, aż poczęły mu omdlewać ramiona, a oczy piec od ściekającego do nich potu. Z końcem południa nawet jego miecz począł ciążyć mu w dłoniach.

Erec walczył z każdym ze zwycięzców po kolei. Każdy pochodził z innej prowincji i każdy był zaciętym wojownikiem. Żaden nie mógł się jednak z nim równać. Pokonywał jednego po drugim w pojedynku na kopie, a później w walce wręcz.

Lecz im więcej walk toczył, z tym zacieklejszymi i bardziej osławionymi wojownikami

przychodziło mu się zmierzyć – i tym bardziej stawał się zmęczony. Był to w istocie sprawdzian godny króla: by zwyciężyć, trzeba było być nie tylko najlepszym w boju, lecz także dysponować siłą, by zwyciężyć wszystkich dwunastu mężczyzn.

Zwycięzenie rywala podczas pierwszej potyczki dnia to jedno; czymś zgoła innym było pokonanie go podczas dwunastej potyczki.

Mimo tego Erec nie ustawał. Czerpał ze wszystkich swych lat ćwiczeń, bitwy, długich walk z jednym mężczyzną po drugim, przywołując w pamięci te dni, gdy Gwardziści walczyli na granicach swych możliwości, gdy musieli zmierzyć się nie z tuzinem, nie z dwoma tuzinami i nie trzema – lecz nawet setką przeciwników jednego dnia. Walczyli, aż ręce ich były zbyt zmęczone, by choćby podnieść miecz, a i tak musieli znaleźć jakiś sposób, by zwyciężyć. Takiego szkolenia wymagał król MacGil.

Wszystko to przysłużyło mu się teraz. Erec czerpał ze swych umiejętności, tego, co podpowiadał mu instynkt i nawet będąc wykończonym walczył lepiej niż wszyscy ci świetni wojownicy, najświetniejsi wojownicy królestwa, które słynęło ze wspaniałych wojowników. Erec przyćmiewał ich i z oszałamiającą zręcznością zwyciężał jednego po drugim. Rogi rozbrzmiewały po każdym zwycięstwie i wtórowały im radosne okrzyki ludu, który przekonywał się, że ich przyszły król jest najświetniejszym wojownikiem na Wyspach.

Erec pokonał jedenastego rywala ciosem drewnianego buzdyganu w żebra i mężczyzna poddał się. Róg rozbrzmiał po raz jedenasty i tłum zawrzał.

Erec stał, oddychając ciężko. Schylił się, wyciągając ku wojownikowi dłoń, by pomóc mu wstać.

- Dobra walka – rzekł wojownik, mężczyzna dwukrotnie większy od niego.

- Walczyłeś mężnie – powiedział Erec. – Uczynię cię dowódcą jednego z mych legionów.

Mężczyzna zacisnął dłoń na przedramieniu Ereca z szacunkiem, odwrócił się i odszedł ku swoim ludziom, znosząc swą porażkę z dumą, szlachetnie.

Tłum zawiwatował dziko, a Erec zwrócił się ku dwunastemu – ostatniemu – zwycięzcy. Mężczyzna dosiadł swego rumaka po przeciwnej stronie pola i zwrócił się w jego stronę. Tłum nie milkł, wiedząc, że po tej walce poznają swego króla.

Erec dosiadł swego konia, dysząc ciężko, i upił łyk wody z kubka podanego mu przez jednego z jego giermków, a resztą zimnej wody oblał sobie głowę. Następnie, otarłszy



pot z czoła, podniósł hełm, założył go z powrotem na głowę i chwycił nową lancę.

Erec przyjrzał się stojącemu naprzeciw niego rycerzowi. Był dwukrotnie szerszy niż pozostali i miał na sobie miedzianą zbroję, którą przecinały trzy czarne pasy. Ujrawszy to, Erec poczuł ucisk w dołku; znaki te nosiło niewielkie plemię, Alzakowie, z najbardziej na południe wysuniętej części wyspy. To separatystyczne plemię było solą w oku jego ojcu od wielu lat. Byli najzacieklejszymi wojownikami na wyspie i jeden spośród nich zasiadał na tronie przed jego ojcem – to właśnie Alzaka musiał pokonać, by objąć tron wiele lat temu.

- Jestem Bowyer z krwi Alzaków! – zawołał rycerz do Ereca. – Twój ojciec odebrał tron mojemu czterdzieści cykli słonecznych temu. Dzisiaj pomszczę go i odbiorę tron tobie. Gotuj się, by klęknąć przed swym nowym królem!

Bowyer był zupełnie łysy i miał krótką, sztywną brązową bródkę oraz spłaszczony nos wojownika, który stoczył wiele bojów. Siedział wyprężony na swym rumaku z wyzywającym wyrazem twarzy.

Erec wiedział, że Alzakowie są zaciekli i odważni – i przebiegli. Nie zdziwiło go, że to z nim przyszło mu walczyć jako ostatnim, z czempionem zwycięzców. Erec wiedział, że nie będzie to łatwe starcie i że nie powinien lekceważyć rywala. Nie będzie brał nic za pewnik.

Rozległ się dźwięk rogu i Erec skupił się. Obaj opuścili zasłony hełmów i puścili się galopem w kierunku przeciwnika.

Pędzili ku sobie i gdy ich lance zrównały się, ku swemu zaskoczeniu Erec poczuł uderzenie lancy Bowyera na swej piersi, pierwsze tego dnia; jednocześnie lanca Ereca uderzyła w niego. Bowyer wykonał w ostatniej chwili niespodziewany manewr i Erec spostrzegł, że w istocie jest lepszym wojownikiem niż ci, z którymi ścierał się wcześniej.

Uderzenie nie było wystarczająco silne, by strącić Ereca z konia, zachwiał się jednak w tył i nie był już taki pewny zwycięstwa.

Bowyer także utrzymał się na swym wierzchowcu i obaj zatoczyli koło, by znów stanąć naprzeciw siebie, ku uciechu tłumu. Bowyer także zdawał się zaskoczony, że Erec trafił w jego pierś i natarli obaj z nowym szacunkiem dla przeciwnika.

Tym razem, gdy nadjechali, Erec potrafił już lepiej wyczuć sposób poruszania się Bowyera. W tym tkwiła jedna z mocnych stron Ereca: potrafił ocenić swego przeciwnika i prędko się przystosować. Tym razem odczekał do ostatniej chwili, po

czym nieznacznie obniżył lancę i namierzył w żebra Bowyera. Bowyer nie mógł przewidzieć tego ruchu.

Uderzenie było idealne i Erec zdołał zwalić przeciwnika w bok; wojownik uderzył twardo o ziemię i potoczył się, aż zabrzączała jego zbroja.

Tłum zawiwatował jak oszalały, a Erec zatoczył koło, zsiadł z konia i zdjął hełm.

Bowyer przetoczył się i podniósł. Twarz poczerwieniała mu z wściekłości, a w oczach jego malowała się żądza śmierci, jakiej Erec nie widział jeszcze tego dnia. Owszem, inni pragnęli odnieść zwycięstwo; Bowyer jednakże, jak Erec spostrzegł, pragnął go zabić.

- Jeśli jesteś prawdziwym mężczyzną – zagrzmiął Bowyer wystarczająco głośno, by wszyscy go usłyszeli. – I pragniesz być *prawdziwym* królem, walczy prawdziwym orężem! Żądam prawdziwych mieczy w walce wręcz! Orężem by opuszczono balustrady.

Na słowa Bowyera z ust tłumu wyrwał się stłumiony okrzyk.

Erec powiódł spojrzeniem po miedzianych balustradach obrzeżających pole walk, jedyną rzeczą, która oddzielała ich od przepaści w dole. Wiedział, co oznaczałoby opuszczenie ich: walkę na śmierć.

- Czy żądasz walki do śmierci? – spytał Erec.

- Tak! – zagrzmiął Bowyer. – Żądam!

Tłum wydał z siebie stłumiony okrzyk. Erec stał bez ruchu, wahając się; nie chciał zabijać tego mężczyzny, lecz nie mógł się wycofać.

Bowyer zagrzmiął:

- Chyba że się lękasz!

Erec poczerwieniał.

- Nie lękam się nikogo – zawołał. – I nie odmawiam żadnego wyzwania w walce.

Jeśli takie jest twoje życzenie, niech balustrady zostaną opuszczone.

Z ust tłumu dobył się stłumiony krzyk. Rozbrzmiał dźwięk rogu i słudzy poczęli z wolna kręcić ogromnymi korbami. W powietrzu rozległo się skrzypienie i, cał po calu,

miedziane balustrady otaczające pole opadły. Na pole wdarł się wiatr. Teraz nic już nie zatrzyma wojowników, nie unikną śmiertelnego upadku. Nie było już można się omylić.

Jako chłopiec Erec widział walki przy opuszczonych balustradach – zawsze kończyły się śmiercią.

Bowyer, nie tracąc ani chwili, chwycił podany mu przez giermka prawdziwy miecz i natarł. Erec chwycił swój oręż. Dopadłszy do Ereca, Bowyer zamachnął się oburącz na jego głowę, gotując się do śmiertelnego ciosu; Erec uniósł miecz, by go odeprzeć.

Wokoło rozsypały się iskry.

Erec zamachnął się i zadał cios, a Bowyer zablokował go. Następne uderzenie należało do Bowyera.

Napierali w tę i z powrotem, tnąc i parując, atakując, blokując, broniąc, aż skry latały wokoło, a miecze przecinały powietrze ze świstem, szczękając. Szli cios za cios.

Erec był wykończony po całodziennych potyczkach, a Bowyer był onieśmielającym przeciwnikiem, który walczył, jak gdyby od tego zależało jego życie.

Nie ustawali w walce, odpierając się wzajemnie w tę i z powrotem. Zbliźali się do skraju, oddalali od niego, przesuwając się to w tę, to we w tę, zataczając koła wokół przeciwnika, próbując go odepchnąć, zyskać przewagę.

Wreszcie Erec zadał idealnie wymierzony cios – uderzył od boku i wytrącił Bowyerowi miecz z dłoni. Bowyer zamrugał, zaskoczony, po czym ruszył w stronę miecza, rzucając się na ziemię.

Erec stanął nad nim i uniósł zasłone hełmu.

- Poddaj się! – powiedział Erec do leżącego na brzuchu Bowyera.

Bowyer jednak chwycił garść piachu, obrócił się raptownie i, nim Erec zdążył się zorientować, sypnął mu nim w twarz.

Erec wykrzyknął, oślepiiony, unosząc dłonie do szczypiących oczu i upuszczając miecz. Bowyer nie zawahał się; rzucił się naprzód i spychał go przez całą długość pola, ku przepaści, i powalił na ziemię.

Z ust tłumy dobył się stłumiony krzyk. Erec leżał na plecach, a Bowyer na nim.

Głowa Ereca zwisała nad przepaścią. Erec obrócił się i zerknął w dół, i wiedział, że jeśli przesunie się choćby kilka cali, runie w dół, ku śmierci.

Erec podniósł wzrok na wykrzywioną twarz Bowyera, w oczach którego kryła się śmierć. Opuścił kciuki, by wyłupić Erecowi oczy.

Erec wyciągnął ręce i chwycił Bowyera za przeguby dłoni. Zdało mu się, że chwycił żywe węże. Ręce Bowyera były niezwykle muskularne i Erec musiał użyć całej swej siły, by utrzymać pięści Bowyera z dala od swej twarzy.

Pojękując, utknęli w walce. Żaden z nich nie ustępował choćby na cal i Erec wiedział, że musi działać szybko. Wiedział, że od pewnej chwili nie będzie już odwrotu i jeśli będzie się dalej opierał, straci resztkę siły, która mu jeszcze pozostała.

Miast tego zdecydował wykonać śmiały, sprzeczny z intuicją ruch: miast napierać w przód i odsuwać się od krawędzi, położył się na niej.

Gdy Erec przestał się opierać, cały ciężar ciała Bowyera przeniósł się w przód; Erec przyciągnął Bowyera ku sobie, w dół, i przerzucił go do góry nogami nad skrajem przepaści. Erec trzymał go za nadgarstki. Przetoczył się na brzuch, trzymając ręce Bowyera, po czym odwrócił się i spojrzał w dół. Bowyer zwisał nad przepaścią i jedynie Erec podtrzymywał go przed śmiercią. Z ust tłumu wyrwał się stłumiony krzyk.

Role odwróciły się i teraz to Bowyer pojękiwał i machał nogami.

- Nie puszczaj – błagał Bowyer. – Zginę, jeśli to uczynisz.

- Wszak to ty pragnąłeś, by opuścić balustrady – przypomniał mu Erec. – Dlaczegoż nie miałbym zgotować ci takiej samej śmierci, jakiej ty pragnąłeś dla mnie?

Bowyer spojrzał na niego, a gdy Erec wypuścił jedną dłoń, na jego twarzy pojawiła się panika. Bowyer osunął się kilka cali. Erec trzymał go teraz tylko jedną ręką.

- Poddaję się! – zawołał Bowyer. – Poddaję się! – zagrzmiął.

W tłumie rozległy się wiwaty. Erec leżał, trzymając go i zastanawiając się, jak postąpić.

W końcu postanowił go oszczędzić. Sięgnął w dół, chwycił za tył koszuli i wciągnął na ziemię.

Tłum wiwatował raz po raz i rozbrzmiało wszystkich dwanaście rogów. Tłum ruszył

naprzód i otoczył Erec, radując się. Stał wśród nich, wyczerpany, pozbawiony energii. Odczuwał ulgę i był szczęśliwy przez wzgląd na reakcję i miłość swych ludzi.

Alistair przepchnęła się przez tłum i Erec przygarnął ją do siebie.

Zwyciężył. Wreszcie będzie królem.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

Gwendolyn stała w dawnym forcie Tirusa i wyglądała na jego dawny dziedziniec, na wiszące ciało Tirusowego syna, Falusa. Na szyi zaciśniętą miał pętlę i wisiał pośrodku miasta. Tuziny wyspiarzy, mieszkańcy, którzy nie sprzeciwili się rebelii, stali przed nim i wgapiali się. Gwen cieszyło to; chciała, by wszyscy pojęli przesłanie.

Falus był ostatnim ze zbuntowanych dzieci rodu Tirusa, ostatnim z ludzi, których Gwen kazała stracić po tym, jak urządziła obławę na wszystkich rebeliantów, którzy przeżyli na Wyspach Górnych. Przyglądając się kołyszącemu się ciału pojęła, że powinna była urządzić na nich obławę – w szczególności na Tirusa – dawno temu. Zrozumiała, że była młodą i naiwną władczynią, pokładając zbyt wiele nadziei w pokoju. Zbyt długo dawała Tirusowi szanse na przeżycie. Za wszelką cenę starała się unikać konfliktów – dotarło do niej jednak, że postępując w ten sposób, ostatecznie wywołała ich jedynie więcej. Powinna była działać śmiało i bezwzględnie od samego początku.

Patrząc na kołyszące się pośród zimnej mgły i ciemnych chmur Wysp Górnych ciało, dumiała nad tym, że zaledwie kilka księżyców wcześniej widok taki napełniłby ją niepokojem; teraz jednak, odkąd Thor ją opuścił, odkąd powiła dziecię, odkąd władała królestwem, zahartowała się wewnątrz i patrzyła teraz na kołyszące się ciało bez cienia emocji. Przeraziło ją to. Czyżby zapomniała, kim jest? W kogo się przemieniała?

- Pani? – zapytał Kendrick, stając u jej boku.

Odwróciła się w jego stronę, otrząsnąwszy się z zadumy.

- Czy mamy ściągnąć ciało?

Gwen rozejrzała się i ujrzała swych ludzi dokoła siebie w sali wielkiej. Zebrali się tam wszyscy po ich śmiałym zwycięstwie, po jej nieulekłych decyzjach podjętych w obliczu nieszczęścia, po tym, jak ocaliła ich przed Romulusem. Widzieli w niej teraz

wielką przywódczynię i królową. Był tam Kendrick, Aberthol, Steffen, Elden, O'Connor, Conven – wszyscy dzielni mężowie, którzy walczyli z nią, by na powrót odebrać to miejsce. Pośród nich – Gwen radował ten widok – stał Reece, a u jego boku Stara. Reece był ranny, lecz cały i choć w przeszłości wściekała się na jego widok, teraz była niewysłowienie wdzięczna, że przeżył.

Gwen zwróciła się na powrót w stronę okna, zdawszy sobie sprawę, że wszyscy oczekują jej decyzji. Spojrzała na kołyszące się ciało, ostatnie spośród nich, jedyne, które nie zostało jeszcze ściągnięte. Ujrzała z zadowoleniem, że po przeciwległej stronie placu opuszczają chorągiew Wysp Górnych i wznoszą nową chorągiew MacGilów. Teraz były to jej ziemie.

- Nie – odrzekła Gwen głosem zimnym i pewnym. – Niech wisi, póki słońce nie zniknie za widnokretem. Niech wyspiarze wiedzą, kto włada teraz tą wyspą.

- Tak, pani – odparł. – A co z pozostałymi żołnierzami Tirusa? Pojmaliśmy niemal stu.

Odkąd odebrali wyspy, Gwen systematycznie kazała wyłapywać żołnierzy z wysp, którzy przeżyli, każdego, kto mógł być lojalny wobec Tirusa. Tym razem nie zamierzała ryzykować.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Ton jej głosu ochłódł.

- Zabić wszystkich – rozkazała.

Kendrick wymienił ostrożne spojrzenia z mężczyznami.

- Pani, czy to humanitarne? – spytał Aberthol.

Gwen obrzuciła go długim, zimnym spojrzeniem.

- Humanitarne? – powtórzyła. – A czy humanitarna była zdrada wobec nas, rzeź na naszych ludziach?

Aberthol nie odrzekł nic.

- Starałam się być humanitarna. Po wielekroć. Przekonałam się jednak, że wojna i humanitarność nie idą ze sobą w parze. Żałuję, że nie jest inaczej.

Zwróciła się do Kendricka.

- Przy życiu pozostaną jedynie ci, którzy nigdy nie chwycili broni w dłoń przeciw nam.

Mieszkańcy. Nie mam środków, by trzymać więźniów, ani takiej woli. Nie ufam im.

Zabijcie ich natychmiast.

- Tak, pani – odrzekł Kendrick.

Gwendolyn przyjrzała się wszystkim twarzom i spostrzegła, że patrzą na nią z nowym szacunkiem. Wzbierała w niej duma przez wzgląd na wszystko, co osiągnęli, że stali tutaj, tego dnia, żywi.

- Pragnę, byście wiedzieli, jak bardzo jestem z was dumna – powiedziała. – Zdobyliście tę wyspę w wielkiej bitwie. Walczyliście nieustraszenie i teraz dzięki wam wszystkim mamy tutaj nowy dom. Spojrzeliście śmierci w oczy i pokonaliście ją.

Mężczyźni skinęli głowami z wdzięcznością, a Reece wystąpił naprzód i opuścił głowę.

- Pani – powiedział. Po tonie jego głosu poznała, że wreszcie zwracał się do niej jako królowej, nie siostry. – Pragnę przeprosić za rozpętanie tego wszystkiego. Nie przepraszam za zabicie Tirusa, ale przepraszam za stracone życia naszych ludzi.

Spojrzała na niego długo i chłodno.

- Nie sprzeciwiaj się więcej moim rozkazom – rzekła.

Reece skinął głową z pokorą.

- Tak, pani.

Zauważyła, że jest skruszony i oblicze jej złagodniało.

- Muszę jednak przyznać, że postąpiłeś słusznie, uśmiercając Tirusa – przyznała. – Zasłużył na to dawno temu. Tak naprawdę to ja muszę przeprosić, gdyż nie kazałam zabić go wcześniej.

Reece podniósł na nią oczy. Skinął głową z nowym zrozumieniem i szacunkiem.

Na zewnątrz podniosły się nagle krzyki i wyjrawszy przez okno Gwen ujrzała tysiące swych ludzi, tych, których wyprowadziła z Kręgu, jak wypełniających dziedzińce, wkraczających do opuszczonych domostw i karczm, obierających swe nowe domy.

- Nasi ludzie zdają się radzi, że tu są – rzekł Godfrey.

- Radzi są, że żyją – poprawiła go Gwen. – Życie w tym miejscu lepsze jest niż żadne.
- Powinnaś być niezmiernie dumna, siostrze – powiedział Kendrick. – Ocaliłaś ich.

Gwen skinęła głową, lecz westchnęła, z ciężkim sercem myśląc o wszystkim, co pozostawili za sobą – i o wszystkich czyhających na nich niebezpieczeństwach.

- To miejsce może być naszym nowym domem – powiedział Godfrey.

Gwen potrząsnęła głową.

- Myśl ta jest przyjemna – rzekła. – Lecz jesteśmy tu bezpieczni jedynie tak długo, jak utrzyma się tarcza Argona. Jeśli jednak jego zaklęcie przestanie działać, wszystko, co tu widzisz, zniknie. Wtedy już nic na całym świecie nie powstrzyma zbliżającej się zagłady.

- Romulus z pewnością zadowolony będzie, co ma – powiedział Godfrey. – Krąg należy teraz wszak do niego. Ma wszystko, czego pragnął.

Gwendolyn pokręciła głową, zbyt dobrze znając Romulusa.

- Nigdy nie pragnął Kręgu – powiedziała. – Pragnął, jak oni wszyscy, naszego całkowitego zniszczenia. I podąży za nami na kres świata, by dopiąć swego.
- Jak duże są zatem szanse, że tarcza Argona utrzyma się w górze? – zapytał Kendrick.
- Jedynie Argon może nam na to odpowiedzieć – powiedziała Gwen.
- Ty znasz go najlepiej – rzekł Reece. – Przebudzi się?

Gwendolyn zwróciła się ku niemu.

- Można się o tym przekonać tylko w jeden sposób – odparła, zdecydowana udać się do niego i przekonać się.

\*

Reece i Stara stali na szczycie najwyższego wzniesienia na Wyspach Górnych.

Wspięli się tutaj we dwoje w milczeniu. Na Wyspach Górnych zapanował teraz pokój i nie pozostało im nic, jak tylko zacząć żyć i może czekać na najazd. Atmosfera panowała spokojna – i ponura – i gdy Stara spytała Reece'a, czy wybierze się z nią na przechadzkę, zgodził się prędko. Pragnął odwrócić swą uwagę od wydarzeń, które



mogą nastąpić – a w głębi duszy musiał przyznać, że także pragnął być z nią. Nienawidził się za to, lecz musiał przyznać, że taka jest prawda. Zbyt wiele razem przeszli, by mogło być inaczej.

Żadne z nich nie odezwało się jednak od tamtej pory. Wędrowali niemal godzinę i zrozumiałe było dla obojga, że choć czują się swobodnie w swoim towarzystwie, nie była to romantyczna przechadzka. Była to przechadzka ponura, pełna refleksji, zrozumienia.

Reece rozejrzał się i uznał za ironiczne, że ta sama wyspa, po której wędrowali ledwie kilka księżyców wcześniej, niegdyś porośła bujnie owocami lata, teraz chłostana była zimnym, przygnębiającym wiatrem i powleczone siwym niebem o ciemnych, kłębiastych chmurach. Czy życie w istocie odmieniało się tak szybko? – zastanawiał się.

Czy ktokolwiek mógł być pewnym czegokolwiek?

Reece'owi poczęła ciążyć panująca pomiędzy nimi cisza; nie wiedział, co rzec Starze. Ona najwyraźniej także nie miała mu nic do powiedzenia i Reece począł się zastanawiać, dlaczego w ogóle chciała wybrać się na przechadzkę. On wybrał się z nią, by uciec przed śmiercią, która go otaczała, by oczyścić umysł.

Gdy dotarli na najwyżej położone miejsce, zatrzymali się wreszcie przy niedużym jeziorze, z którego swe źródło brał niewielki strumyczek, spływający meandrami w dół zbocza.

Reece przyglądał się zdumiony, jak Stara przykłęka, sięga do swej sakwy i wyciąga z niej wielki czarny kwiat w kształcie misy, pośrodku którego znajdowała się świeca.

Zastanawiał się, co zamierza zrobić.

- Czy to świeca żałobna? – zapytał.

Stara skinęła głową.

- Wiem, że pomiędzy nami nigdy już nie będzie tak samo – rzekła cicho, a głos jej brzmiał ponuro. – Nie dlatego pragnęłam, byś przyszedł tu ze mną. Pragnę powiedzieć ci, że przykro mi przez wzgląd na wszystko, co przydarzyło się Selese. Nade wszystko pragnę rzec także Selese, że mi przykro. Gdziekolwiek jest.

Reece opuścił wzrok ze wstydem, a oczy zaszczyły mu łzami.

- Nie chciałam, by przydarzyło jej się coś złego – powiedziała Stara. – Uwierz mi.

Musisz mi uwierzyć.

Reece skinął głową.

- Wierzę ci – rzekł. – Ja także nie chciałem, by wydarzyło się coś złego – powiedział, ocierając spływającą po policzku łzę.

- Byłam jednak samolubna – powiedziała. – Gdyż próbował cię skraść. Moje czyny były samolubne. Były niewłaściwe.

Westchnęła.

- Mówią, że jeśli zapali się tutaj świecę żałobną, w tym stawie, i nurt poniesie ją w dół strumieniem łez, przyniesie to pociechę zmarłemu – powiedziała. – Dlatego chciałam, byś przyszedł tu ze mną.

Stara wyciągnęła dwa krzemienie i wznieciła płomień. Świeca zapłonęła pośrodku czarnego kwiatu, niepokojąca i nierealna.

Wyciągnęła ją w stronę Reece'a.

- Czy chciałbyś ją położyć? – zapytała.

Reece ostrożnie wziął z jej dłoni kwiat z płonąca w nim świecą i ich palce zetknęły się. Następnie przyklęknął i delikatnie umieścił go na powierzchni stawu. Woda była lodowata.

Reece stanął obok Stary i patrzył, jak kwiat unosi się w stawie. Nie poruszał się, gdyż w tym osłoniętym miejscu nie wiał wiatr.

- Selese – powiedział Reece, opuszczając głowę. – Kocham cię. Proszę, wybacz mi.

- Proszę, wybacz nam – dodała Stara.

Kwiat począł poruszać się, ledwie odrobinę, lecz wciąż nie podbierał go strumień.

- Wiem, że nigdy nie będziemy razem – powiedziała Stara do Reece'a. – Nie po tym, co się zdarzyło. Lecz możemy być przynajmniej razem w tym – naszej żałobie po Selese.

Stara wyciągnęła dłoń, a Reece ujął ją. Stali blisko siebie, patrząc na świecę. Opuścili

głowy i zamknęli oczy.

Reece modlił się o błogosławieństwa dla Selese. A nade wszystko o przebaczenie.

Wtem zerwał się wiatr i otworzywszy oczy Reece przyglądał się zaskoczony, jak kwiat nagle porusza się, przemieszcza po stawie, i jak zabiera go nurt.

Przyglądał się w zdumieniu, jak nurt prowadzi go w Strumień Łez. Wił się w dół, zakręcając pomiędzy pagórkami.

Reece obrócił się i patrzył, jak woda niesie go w dół zbocza, aż wreszcie zniknął mu z oczu.

Odwrócił się i spojrzał na Starę, a ona odwróciła się i spojrzała na niego. Nadal trzymali się za ręce – i z jakiegoś powodu, mimo ich ogromnych wysiłków, żadne z nich nie było w stanie puścić.

\*

Gwendolyn przemierzała szybkim krokiem dziedziniec swego nowego dworu, a z obu stron otaczało ją kilku jej ludzi. Minęła pradawną kamienną bramę i obrała krętą, kamienistą polną drogę, kuląc się przed wiatrem i deszczem. Nic nie byłoby w stanie jej teraz zatrzymać. Była zdecydowana ujrzeć Argona i raz jeszcze przekonać się, czy będzie w stanie go wybudzić.

Ścieżka powiodła ją w końcu w górę niewielkiego wzniesienia i gdy Gwendolyn podniosła wzrok, uspokoił ją widok Ralibara. Powrócił wreszcie, położył bezwładne ciało Argona i od tamtej chwili trzymał nad nim straż.

Gwendolyn dotarła na szczyt i podniosła wzrok na Ralibara. Zimny wiatr smagał jej twarz. Smok siedział, rozpostarłszy skrzydła, wpatrując się w nią. Pełnił straż nad ciałem Argona, który leżał u jego stóp bez ruchu.

Gwendolyn podniosła wzrok i spojrzała w rozumne oczy Ralibara.

- Gdzie się podziewałeś, mój przyjacielu? – spytała. – Przydałbyś się nam na morzu.

Ralibar zamruczał, uderzył nieznacznie skrzydłami i poruszył nosem w górę i dół.

Wyczuła, że przechodzi przez jeden ze swych humorów, emocjonalną burzę. Wiedziała, że coś go niepokoi, lecz nie potrafiła zrozumieć, co chce jej przekazać.

- Pozostaniesz z nami, przyjacielu? – spytała. – Czy też znów nas opuścisz?

Spuścił łeb i potarł nosem o jej wyciągniętą ku niemu dłoń, mrugając powoli i wydając dziwny, mrużący odgłos. Nie rozumiała go; nigdy go nie rozumiała i wiedziała, że to się nigdy nie zmieni. Nie wiedziała nigdy, kiedy zniknie, ani kiedy przyjdzie jej z pomocą, mimo tego, jak bardzo się do siebie zbliżyli. Uznała, że zwyczajów smoków nigdy nie pojmie.

Przesunęła dłonią po łuskach Ralibara, jego długim nosie – i z początku zdawał się rad. Wtem jednak zaskoczył ją, uderzając nagle swymi wielkimi skrzydłami, rycząc i wznosząc się ku niebu. Jego szpony ominęły jej głowę o włos.

Odwróciła się i patrzyła za nim, jak odlatuje ku widnokręgowi. Zastanawiała się, dokąd leci i czy kiedykolwiek powróci. Nigdy jeszcze nie był dla niej większą zagadką.

Gwendolyn skupiła swą uwagę na bezwładnym ciele Argona. Przyklękła przy nim i pogładziła jego zastygłą twarz. Była niezmienna, zimna w dotyku.

- Argonie – powiedziała. – Czy mnie słyszysz?

Czarnoksiężnik nie poruszył się.

Gwendolyn odwróciła się, spojrzała na stojących za nią ludzi i uniosła dłoń.

Wyczuła, że Argon musi pozostać z nią sam.

- Proszę – powiedziała. – Zostawcie nas.

Jej ludzie postąpili podług rozkazu i wkrótce Gwen klęczała samotnie na szczycie wzniesienia, przy Argonie. Wiatr wył. Wyciągnęła dłoń i zdjęła kaptur czarnoksiężnika, przyglądając się jego twarzy.

- Proszę, Argonie – rzekła. – Powróć do mnie.

Wciąż nic.

Gwen poczuła, jak po jej policzku spływa łza; przeczuwała, że nieuchronnie zbliża się ku nim zagłada i tutaj, w tym obcym miejscu, była bezradna i bardziej opuszczona niż kiedykolwiek wcześniej.

- Jesteś mi potrzebny, Argonie – rzekła błagalnie. – Jak nigdy.

Nastała długa cisza i podmuch zimnego wiatru smagnął ją w policzki – wtem wreszcie deszcz ustał. Gwen opuściła wzrok i uradowała się, gdyż ujrzała, jak Argon porusza powiekami.

Potem z wolna otworzył je.

Serce Gwen przyspieszyło, gdy zwrócił na nią spojrzenie. Jego oczy błyszczały tak mocno, że niemal musiała odwrócić wzrok. Patrzyła na niego zdumiona.

- Argonie – rzekła, śmiejąc się z ulgą, niezwykle uradowana, że żyje.

Wyciągnęła rękę i ujęła w swą dłoń obie jego.

- Czy wszystko w porządku? – zapytała.

Skinął nieznacznie głową, a ona zamyśliła się.

- Gdzie jesteś, Argonie? Czy jesteś tu ze mną?

- Poniekąd – odrzekł.

Wyczuła, że nie mają wiele czasu i że może go znów utracić. Ogarnęła ją potrzeba, by uzyskać odpowiedzi na wszystkie swe pytania.

- Argonie, twoja tarcza – powiedziała. – Musisz mi rzec: czy utrzyma się? Proszę.

Rzeknij mi tylko tę jedną rzecz. Czy utrzyma się?

Zaległa długa cisza, tak długa, że Gwen poczęła podejrzewać, że nigdy nie odpowie.

Wtem Argon pokręcił lekko głową.

Serce Gwen przestało na chwilę bić.

- Nie – stwierdził. – Już teraz przestała istnieć.

Gwen zamarło serce, gdy przyszło jej na myśl, jakie będą konsekwencje. Oznaczało to, że wszystko zostanie zniszczone: ta wyspa, jej lud – wszystko. Całe jej życie, wszyscy, których kochała.

Oddech uwiązał jej w gardle i dłonie poczęły się trząść.

- Czy da się ją w jakiś sposób przywrócić? – spytała. – W jakiś sposób chronić to

miejsce?

Argon pokręcił słabo głową.

- Moja tarcza – i Krąg – zostały zniszczone na zawsze.

Gwen krew ścięła się w żyłach. Niemal nie wiedziała, co odrzec.

- Już teraz smoki Romulusa zbliżają się – dodał Argon. – I milion jego żołnierzy.

Serce Gwen tłuło się jak oszalałe i poczuła, jak jej dłonie lodowacieją.

- Jak możemy ich powstrzymać? – zapytała.

Argon pokręcił głową.

- Nie możecie – rzekł. – Już wkrótce, i to bardzo prędko, wyspa ta zostanie zniszczona.

Gwen wybuchła płaczem.

- A co z Thorgrinem? – spytała, szlochając. – Czy powróci do nas? Pomoże nas ocalić?

Argon długo zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie pokręcił głową.

- Przykro mi – powiedział. – On musi wypełnić swe własne przeznaczenie.

Gwendolyn spostrzegła, że płacze, choć z całych sił starała się powstrzymać łzy.

- A co z moim dzieckiem? – zapytała. – Co z Guwayne'em?

Argon milczał, wciąż z zastygłym wyrazem twarzy, i zamknął oczy. Serce Gwen zabiło raptownie i zastanowiła się, czy go utraciła.

- Argonie – rzekła Gwen błagalnie, ściskając go za ramię. – Odpowiedz mi. Proszę.

Błagam.

Argon otworzył ponownie oczy i spojrzał prosto na nią.

- Dokonałaś wyboru – rzekł. – W Nibyświecie. Przykro mi. Przysięgi wypełniają się.

Gwen szlochała, nie potrafiąc powstrzymać łez.

- Byłaś wspaniałą królową – rzekł. – Lud twój przeżył znacznie dłużej, niż było mu przeznaczone. Lecz kres przychodzi nawet na najlepsze królowe. Nie zawsze można przechytrzyć przeznaczenie.

Wreszcie Gwen, zdruzgotana, zebrała siły.

- Czy nie pozostało nam zatem nic, jak tylko gotować się na śmierć? – spytała, zrozpaczona.

Argon milczał przez długi czas, po czym wreszcie skinął głową.

- Przykro mi – powiedział. – Czasem pozostaje nam jedynie to.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

Luanda stała na okręcie Romulusa nieopodal niego, wpatrując się w jego plecy, gdy on wpatrywał się w morze, wsparłszy ręce na biodrach, z triumfalnym uśmiechem na twarzy. Słyszała nieustające ryki i podniósłszy wzrok ujrzała dziesiątki smoków na widnokregu. Leciały na przedzie, niknąc na horyzoncie, kierując się na północ, ku Wyspom Górnym, by zniszczyć jej siostrę i jej lud.

Romulus śmiał się wciąż, przewodząc flocie tysięcy okrętów pokrywających morze niby ławica ryb, płynących z Kregu ku Wyspom Górnym. Luanda spojrzała w dal, w horyzont i wiedziała, że powinna odczuwać satysfakcję. Dostała wszak to, czego pragnęła. Krąg został zniszczony; Luanda pomściła się. Za Bronsona, za wygnanie jej z Królewskiego Dworu. Za to, że nigdy nie była traktowana tak, jak na to zasługiwała; za to, że pomijano ją przez wzgląd na najmłodszą córkę. Pomściła się na wszystkich, którzy wątpili w nią, którzy traktowali ją, jak gdyby nie była nic warta.

Luanda z zaskoczeniem zdała sobie jednak sprawę, że nie czuła, by zwyciężyła; nie czuła nawet satysfakcji. Miast tego, obserwując rozgrywające się przed nią wydarzenia, odczuwała pustkę wewnątrz – oraz głęboki żal. Teraz, gdy jej plany urzeczywistniły się, nie mogła zaprzeczyć, że w głębi duszy wciąż kochała swych ludzi, że wciąż pragnęła być przez nich kochaną i zaakceptowaną. Że pragnęła, by przeżyli, by wszystko było tak, jak niegdyś.

Sądziła, że te zniszczenia uczynią ją szczęśliwą. Lecz teraz, gdy nie pozostał już kamień na kamieniu, z jakiegoś powodu odczuwała smutek. Nie wiedziała dlaczego. Być może

dlatego, że gdy jej ludzie i ziemia zostały zniszczone, nie pozostało po niej już nic na tym świecie. Nie pozostało jej nic znajomego. Teraz pozostał jedynie Romulus i jego Imperium – wszystkie te paskudne kreatury.

Patrząc na jego szerokie bary, na naprężone mięśnie Romulusa – dowódcy u szczytu sił, gotowego podbić każdy cal świata – wezbrała w niej gwałtowna nienawiść do niego. On był wszystkiemu winien. Nie mogła znaleźć sposobu, w jaki ją traktował, jak gdyby była jego własnością. Nie znosiła, że zmusił ją do takiej uległości. Gardziła nim.

Wszyscy żołnierze Romulusa zajęci byli na pokładzie i Romulus stał samotnie na dziobie swego okrętu, zwrócony plecami do nich. Jedynie Luanda mogła zbliżyć się do niego. Stała niecałe dziesięć stóp za nim. Ostatni raz zerknęła przez ramię, by upewnić się, że nikt nie patrzy, po czym ukradkiem zacisnęła dłoń na rękojeści skrytego za pasem sztyletu. Zacisnęła ją tak mocno, że czuła, jak bieleją jej kłykcie. Wyobrażała sobie wtedy, że dusi Romulusa.

Luanda dała krok naprzód, ku odsłoniętym plecóm Romulusa. W twarz uderzyły ją podmuch zimnego wiatru i drobne kropelki wody.

Dała kolejny krok.

I jeszcze jeden.

Luanda nie mogła naprawić wyrządzonych krzywd, nie mogła zmienić tego, co uczyniła, błędów, które popełniła. Nie mogła przywrócić swej ojczyzny do życia. Nie mogła na nowo podnieść Tarczy.

Było jednak coś, co mogła jeszcze zrobić. Mogła dokonać jednego, ostatniego czynu, który ją odkupi, nim umrze. Mogła zabić barbarzyńcę. Mogła zamordować Romulusa.

Dokonałaby przynajmniej zemsty za siebie i za nich wszystkich. Jeśli nic innego jej w życiu nie pozostało, zadowolili się chociaż tym.

Luanda zacisnęła dłoń, wyciągnęła sztylet i postawiła kolejny krok. Zatrzymała się dwa kroki od niego i od zabicia tego potwora dzieliło ją kilka sekund. Wiedziała, że ona sama zostanie pojmana i zabita zaraz po nim, lecz dbała już tylko o to, by jej plan się powiódł.

Romulus stał przed nią, zadowolony z siebie, arogancki. Nie docenił jej – jak oni wszyscy. Widział w niej swą własność, kogoś, kogo nie należy się obawiać. Luandę lekceważono całe jej życie. Teraz zdecydowana była sprawić, by on – i każdy inny mężczyzna w jej życiu – dostał nauczkę. Jeden cios sztyletem i będzie zadowolona.



Luanda dała ostatni krok, uniosła sztylet wyżej i spodziewała się, że poczuje z zadowoleniem, jak ostrze zatapia się w jego ciele, że zada kres życiu tej kreatury na dobre. Widziała to już oczyma wyobraźni, widziała, jak osuwa się na kolana i pada na twarz martwy.

Luanda uderzyła z całej siły – lecz zdarzyło się coś osobliwego. Ostrze zatrzymało się nagle, gdy jego czubek dotknął pleców Romulusa. Jak gdyby uderzała w stal – nie potrafiła przebić skóry. Sztylet zatrzymał się w powietrzu i bez względu na to, jak mocno próbowała go wbić, nie potrafiła. Jak gdyby chroniła go magiczna tarcza.

Romulus odwrócił się powoli, spokojnie, z uśmiechem na twarzy. Potrząsnął głową i spojrzał na Luandę, która trzymała sztylet w powietrzu. Spojrzała na ostrze, zastanawiając się, co się stało.

Romulus pokręcił głową.

- Odważny czyn – powiedział. – I gdyby chwila była inna, zabiłabyś mnie. Widzisz – rzekł, nachylając się ku niej, aż poczuła jego cuchnący oddech na twarzy. – Póki trwa ten księżyc, nie można mnie pokonać. Żaden człowiek, żadne ostrze, nic na całym świecie.

Także ty i twój sztylet.

Romulus odchylił się w tył i roześmiał, a następnie wyciągnął rękę i ze spokojem wyciągnął z jej dłoni sztylet. Luanda była bezradna. Uniósł go wysoko, wykrzywiwszy twarz, po czym dał szybki krok do przodu i zatopił go w jej sercu.

Luanda wciągnęła gwałtownie powietrze, czując, jak zimny metal przeszywa jej serce. Czowała, jak przestaje bić, jak całe życie opuszcza jej ciało, jak staje się bezwładna, sztywna i osuwa się na drewniany pokład. Nim zamknęła oczy po raz ostatni, podniosła wzrok i ujrzała roześmianą twarz Romulusa. Zdała sobie sprawę z tego, że nic na świecie nie jest w stanie go powstrzymać. Nic.

Ostatnie jej myśli, nim życie całkiem z niej uleciało, co dziwne, dotyczyły jej ojca.

*Ojcze, pomyślała, nigdy nie chciałam sprawić ci zawodu. Wybacz mi.*

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY**

Thorgrin spadał w powietrzu, krzycząc i młóćąc rękoma. Czuł, jak zimne powietrze przesuwa się obok niego z zawrotną prędkością, gdy leciał ku położonym w dole oceanowi i klifom. Spadał setki stóp, czując, jak całe jego życie przepływa mu przed oczyma. Wiedział, że za chwilę uderzy o ziemię i zginie, i wszystko to skończy się tutaj, na tych skałach, tym oceanie, tak blisko odnalezienia matki. Tutaj, w tej Krainie Druidów, krainie snów. Zastanawiał się, jak to się mogło zdarzyć, jak to możliwe, że dążył do czegoś przez całe swe życie, a teraz wyslizguje mu się to z rąk.

Jakimś sposobem nie powiodło mu się. Stał się najświetniejszym wojownikiem, jakim mógł, na polu bitewnym; nie pokonał jednak otchłani swej psychiki. Jedynym przeciwnikiem w świecie, którego nie potrafił pokonać, był on sam.

Został zwyciężony przez samego siebie. Co też mogło to oznaczać? Próbował to pojąć, z prędkością błyskawicy, gdy spadał. Uznał, że musi to znaczyć, iż pewna część niego jest silniejsza niż inna. Część ta potrafi pokonać siebie samą. Tak silna, że jest w stanie zwyciężyć wszystko. Była to wielka moc, która w nim tkwiła.

Nagle coś do niego dotarło: ta wielka moc, nawet jeśli wyniszczająca, była wszak częścią niego. Była mocą, którą mógł okiełznać. Oznaczało to, że mógł odnaleźć tę mroczną część siebie i wykorzystać ją ku dobremu. Energia jest niezmienna – należy jedynie skierować ją w inną stronę. Być może uda mu się wykorzystać tę część siebie, by – miast przeszkadzać – pomogła mu. Jeśli Thor jest w stanie używać tej mocy, by zwyciężyć siebie, być może uda mu się także siebie ocalić.

Thor zamknął oczy, spadając w powietrzu. Spróbował przyzwać swą wewnętrzną moc, moc swego umysłu. Zrozumiał, że przez całe swe życie polegał za bardzo na fizycznej części siebie. Zaczynało do niego docierać, że jego umysł jest równie potężny, jak jego ciało – jeśli nie bardziej. Za pomocą umysłu potrafił tworzyć wspaniałe, cudowne rzeczy, których jego ciało nie potrafiło.

Thorgrin skupił się i użył mocy swego umysłu, by spowolnić świat, spowolnić samą istotę powietrza.

Poczuł, jak świat zwalnia, a następnie zatrzymuje się. Poczuł, że unosi się w powietrzu, zastygły w czasie i miejscu. Wyczuwał część siebie, która stwarzała czas i miejsce. Poczuł wewnątrz siebie nieskończoną moc, moc, która była połączona z wszechświatem. Czerpał z nieskończonego strumienia energii przepływającej przez wszechświat, czego często uczył go Argon, czując, że znajduje się pośrodku niego.

Thor wyciągnął ręce szeroko na boki. Wewnętrzną stroną dłoni skierował ku górze i czuł mrowienie w końcach palców i dłoniach, gdy przesuwał nimi przez istotę nieba.

Miał wrażenie, że płoną, rozgrzane energią.

Thor zagłębił się, aż dotarł do tego miejsca w swym umyśle, w którym nie odróżniał go już od wszechświata, nie odróżniał energii napływającej do niego z wszechświata od energii z niego wypływającej. Zaczynał dostrzegać, że potrafi nad nią panować. Potrafi panować nad swym otoczeniem. Mógł także stwarzać wszystko dokoła siebie. Widział, że potrafi stwarzać to, co dzieje się wokół niego. I że jego umysł i energia są potężniejsze, niż otoczenie, w którym się znajdował.

Thor rozkazał sobie – tej części siebie, nad którą nie sprawował kontroli, najmroczniejszej części siebie – by przestała tworzyć takie otoczenie. By zmieniła wszystko wokół niego. On sam zaś zmusił się, by przestać się opierać, by pozwolić wszechświatowi być tym, czym jest. Pozwolić sobie być tym, kim jest. Gdy zaakceptował w pełni wszechświat, zaakceptował w pełni siebie, ogarnął go przemożny spokój, jakiego nie czuł nigdy wcześniej.

Otworzył z wolna oczy i wiedział jeszcze nim cokolwiek ujrzał, że wszechświat wokół niego zmienił się. Thor nie spadał już, lecz unosił się w górę, lekko, coraz wyżej i wyżej, odwrócił się do pionowej pozycji, lecąc coraz szybciej, i dotarł na szczyt klifu. Z lekkością stanął na nogach przed zamkiem swej matki.

Nie istniało już żadne niebezpieczeństwo, żaden lęk. Thor zanurzył się w najgłębsze części siebie i wzniósł się ponad nie. Oto stał teraz samotnie przed wejściem do zamku swej matki. Przebył most, którego nigdy nie udało mu się pokonać w snach. Wreszcie udało mu się przejść na drugą stronę.

Thor przyglądał się zamkowi w zachwycie. Przed nim widniały dwa wielkie łukowate skrzydła złotych wrót, pięciokrotnie wyższe niż on i pięciokrotnie niż on szersze. Błyszczały tak mocno, że niemal go oślepiały. Na każdym ze skrzydeł znajdowała się rzeźbiona klamka w kształcie sokoła.

Intuicja podpowiadała mu, że próba otwarcia wrót byłaby daremna. Wiedział, że to magiczne wrota, najpotężniejsze na świecie. Że może je przekroczyć tylko wtedy, gdy ktoś mu otworzy.

Thor czekał, aż się otworzą, lecz tak się nie stało.

- Żądam, by mnie wpuszczono! – zagrział.

- Nie jesteś tego godny! – odrzekł mroczny, męski głos.

Thor nie poddawał się, zdeterminowany.

- Jestem! – odkrzyknął, po raz pierwszy czując, że jest godny.

- A dlaczegoż to? – dobiegł go głos.

- Na imię mi Thorgrin. Jestem synem mej matki, królowej Krainy Druidów. Synem Andronicusa, króla Imperium. Ja nim jestem, a nie kto inny. Nie jestem godny przez wzgląd na moje moce. Nie jestem godny przez wzgląd na moje umiejętności. Jestem godny przez wzgląd na to, *kim jestem*. *Zasługuję* na to, by otworzono przede mną te drzwi. Jedyne przez wzgląd na to, *kim jestem*.

Thor czuł, że całe jego ciało drży, gdy wypowiadał te słowa. Poczuł, że dotarł wreszcie do najgłębszej prawdy swego szkolenia. Akceptacji siebie.

Zaczynał dostrzegać, że wszystko, co tworzył dokoła siebie, brało się z tego, jak czuł się względem siebie. Wszystkie mroczne moce były prawdziwe, zarazem jednak były wytworami jego wyobraźni, które musiał zwyciężyć. Najgłębiej skrytym, najtrudniejszym do pokonania przeciwnikiem było to, jak czuł się względem siebie.

Dotarło do niego, że całe swe życie uważał, że nie jest godny. Wciąż tak myślał. Gdy wyzbył się tej myśli, gdy zaakceptował siebie w pełni, za to jedynie, kim jest, wszystkie drzwi we wszechświecie otworzyły się przed nim. Był to ostatni krok w kierunku zwycięstwa nad sobą.

Thor odczuł głęboki spokój, gdy dotarło to do niego, gdy zaakceptował siebie.

Z wolna otworzył oczy i podniósłszy wzrok ujrzał wrota błyszczące mocniej niż uprzednio. Otwierały się powoli, coraz szerzej i szerzej, i był to najpiękniejszy dźwięk na świecie. Zawiasy przesunęły się lekko. Zalało go światło, złote światło, wypadające z zamku, ogarniające wszystko wokoło, cieplejsze, silniejsze, niż byłby sobie w stanie wyobrazić.

Dał pierwszy krok. Potem kolejny.

Czuł coraz większe ciepło i wiedział że po pokonaniu ledwie kilku kroków znajdzie się wewnątrz zamku, ze swą matką. Wreszcie jego przeznaczenie wypełni się. Po pokonaniu kilku kroków wszystko się wyjaśni.

A jego życie nigdy już nie będzie takie samo.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI**

Alistair leciała, spoglądając na leżący w dole Krąg, choć nie wiedziała, jakim sposobem to się dzieje. Nie miała skrzydeł, nie siedziała na smoczym grzbiecie, a mimo tego unosiła się, szybując ponad swą ojczyznę, przypatrując się wszystkiemu z góry.

Spojrzała w dół, zdezorientowana. W miejscu owoców lata, które widziała tam ostatnio, w miejscu żyznych pól i niemających końca sadów, do których przywykła, ujrzała ziemię spaloną, zniszczoną smoczym oddechem. Nic się nie ostało – ani jedno miasto, ani jedna wieś, ani nawet żaden przysiółek. Każde zabudowanie zostało rozniesione w proch.

Po drzewach, niegdyś tak rozłożystych, pradawnych, pozostały spalone pniaki. Nic więcej nie wybijało się ponad horyzont. Ziemię były jałowe, wyniszczone.

Alistair była przerażona. Leciała nisko nad całym Kręgiem, a później nad Kanionem, nad wielkim przejściem. W dole ujrzała Romulusa, przewodzącego milionowej armii, rozciągającej się hen, daleko jak okiem sięgnąć. Imperium opanowało jej ziemię ojczyste.

Wtedy Alistair pojęła, że jej ojczyzna została zniszczona na zawsze, a wraz z nią Tarcza. Krąg był okupowany, należał teraz do Imperium. To, co niegdyś istniało – zniknęło na zawsze.

Alistair mrugnęła i znalazła się przed zamkiem swej matki, zwrócona do niego plecami. Stała naprzeciw długiego, krętego mostu, który ciągnął się przez wiele mil aż do ziem głównych Kręgu. Była to długa, wijąca się droga, którą szła samotna postać.

Zbliżyła się, a wtedy spostrzegła, że to jej brat, Thorgrin, w drodze, by zobaczyć się z ich matką.

Thor podniósł wzrok na Alistair, a ona odczuła wielką ulgę na jego widok, na widok ostatniej żywej osoby w opustoszałym świecie. Poczwała, że za chwilę pozna ich matkę i po raz pierwszy spotkają się we troje.

Thor podszedł do niej i uśmiechnął się, wyciągając ku niej dłoń, a ona wyciągnęła swoją ku niemu.

Nagle most pod nim runął i Thor poleciał w dół. Spadał w powietrzu, ku skałom i oceanowi w dole.

Alistair spojrzęła w dół, bezradna, i pękało jej serce; bez zastanowienia rzuciła się za nim, by go ocalić.

- Thorgrinie! – zawołała.

Alistair wylądowała nie w oceanie, lecz w zupełnie nowej krainie, na płaskim występie skalnym, z którego widziała tysiące mieszkańców Wysp Południowych.

Obróciła się i u swego boku ujrzała Erecę. Trzymał jej dłoń i oboje mieli na sobie ślubne odzienie, bogato zdobione jedwabne szaty.

Jednak coś było nie tak z Erekiem, gdy się uśmiechał: uśmiechnął się szeroko i z jego ust dobyła się krew. Osunął się i spadł w przód z klifu, rozpostarłszy szeroko ręce, brocząc krwią, a jego lud wyciągnął ku niemu ramiona, by go pochwycić. Alistair uniosła okrwawione dłonie i ujrzała, że stoi sama, a jej oblubieniec spada martwy w zebrany na dole tłum.

- Erecu! – zawołała.

Alistair obudziła się z krzykiem, dysząc ciężko, rozglądając się wokoło w porannym świetle w swej komnacie. Otarła pot z czoła i wyskoczyła z łóża, przyglądając się uważnie swym dłoniom w poszukiwaniu krwi.

Były jednak czyste.

Alistair, skołowana, próbowała uspokoić oddech, przemierzając pomieszczenie, przecierając twarz, usiłując zrozumieć, gdzie jest. Chwilę zajęło jej pojęcie, że był to tylko sen. Była bezpieczna. Erec był bezpieczny, i Thorgrin także. Nie znajdowała się w Kręgu, lecz tutaj, na Wyspach Południowych, bezpieczna.

Alistair odetchnęła. Żaden sen nie przeraził jej nigdy tak jak ten. Odnosiła wrażenie, że było to coś więcej niż sen – jakby przesłanie. Jakby dziwaczna wersja przyszłości. I bardzo mroczna.

Alistair starała się otrząsnąć się, przemierzając komnatę. Jakie znaczenie może nieść ze sobą taki sen? Próbowała przekonać samą siebie, że to jedynie nocne strachy – jednakże gdzieś w głębi duszy przeczuwała, że to coś więcej. Czy jej ojczyzna w istocie została zniszczona? Czy jej brat miał zginąć?

A jej oblubieniec?

Coś takiego z pewnością nie mogło spaść na nią naraz; to z pewnością nic nie znaczyło.

Alistair przemierzyła komnatę i kilkakrotnie ochlapała twarz zimną wodą. Podeszła do otwartego okna, i poczuła wpadającą do środka miękką oceaniczną bryzę. Omiotła spojrzeniem Wyspy Południowe skąpane w porannym świetle. Nie widziała nigdy nic piękniejszego. Woń kwiatów pomarańczy orzeźwiła ją, a wilgotne powietrze ukoilo.

Nigdy nie wdychała świeższego powietrza.

Alistair spojrzała w dal, na idealny krajobraz, i spostrzegła, iż ludzie już nie śpią, już gotują się do wielkich zaślubin, które miały się odbyć tego dnia i poczuła nagle, że w miejscu takim jak to z pewnością nie spotka ich nic złego.

Alistair westchnęła, potrząsnęła głową i zganiła się w myślach. To jedynie nocne urojenia, rzekła sobie. Jedynie nocne urojenia.

\*

Pierwsze poranne słońce wzbilo się ponad horyzont. Alistair siedziała w swej ślubnej komnacie, otoczona tuzinem chichoczących i roześmianych służek, które pomagały jej się przygotować. Jedna z nich nanosiła ostatnie poprawki w jej sukni, a gdy skończyła, Alistair dała krok naprzód, podczas gdy pozostałe służki przysunęły ogromne zwierciadło. Stała z tłukącym się w piersi z podekscytowania sercem.

Spojrzała na swe odbicie.

Alistair wydała stłumiony okrzyk; nigdy nie wyglądała tak olśniewająco. Miała na sobie najpiękniejszą suknię, jaką kiedykolwiek widziała. Uszyta była z koronki i okrywała ją od szyi po koniuszki stóp, a welon współgrał z rękawiczkami. Nigdy nie uważała, że jest ładna, mimo tego, jak zachowywali się wobec niej mężczyźni, lecz teraz, ujrawszy siebie, poczuła, że nie jest tak brzydka, jak sądziła.

- Miałam tę suknię na sobie podczas mego ślubu – rzekła matka Ereca z uśmiechem, podchodząc do niej i delikatnie kładąc dłoń na jej ramieniu. – Na tobie leży jeszcze piękniej, jak gdyby została stworzona dla ciebie.

Matka Ereca objęła ją, a Alistair nigdy jeszcze nie była tak uradowana. Nie mogła się doczekać ceremonii.

Matka Ereca poprowadziła ją do drzwi, otworzyła je i wskazała ku miedzianemu korytarzykowi.

- Ta droga prowadzi do komnaty twego oblubieńca – rzekła. – Pójdź do niego.

Oczekuje cię. Poprowadzi cię do ceremonii.

Alistair zwróciła się w jej stronę, poruszona.

- Nie wiem, jak ci dziękować – rzekła, pełna wdzięczności.

Matka Ereca objęła ją.

- Mam szczęście, mając taką córkę jak ty.

Alistair zwróciła się w stronę niedługiego korytarzyka. Ruszyła w stronę niedużego, pięknego budynku z marmuru na otwartym powietrzu, otoczonego jedynie kolumnami, w którym – jak wiedziała – oczekuje ją Erec.

Gdy dotarła do wejścia, zajrzała do środka i ujrzała go. Nie widziała nigdy, by wyglądał bardziej po królewsku. Odziany był w lekką kolczugę, przykrytą białą jedwabną szatą, a na głowie miał złotą koronę. Przemierzał nerwowo komnatę, czekając na nią, i Alistair była pewna, że był podekscytowany, wzięwszy pod uwagę to, jak długo się przygotowywała.

W pierwszej chwili pragnęła od razu podbiec do niego, postanowiła jednak, że go zaskoczy; chciała ujrzeć wyraz jego twarzy, gdy przekroczy próg.

- Panie mój – zawołała figlarnie, kryjąc się za kolumną. – Zamknij oczy i policz do pięciu! Pragnę cię zaskoczyć!

Roześmiał się.

- Dla ciebie wszystko – powiedział. – Będę liczył tak szybko, jak potrafię!

Słyszała podekscytowanie w jego głosie, niby u małego chłopca.

- Powoli, kochany! – odkrzyknęła.

- Jeden – zaczął Erec powoli. – Dwa... Trzy...

Alistair poprawiła welon, po czym ruszyła przed siebie.

- Cztery! – zawołał.

Weszła do środka i spojrzała na niego. Stał z zamkniętymi oczyma, rozpromieniony – i wtem serce jej zamarło. Spozregła coś, czego nie rozumiała. Było to niby obraz z koszmaru: z drugiej strony otwartej komnaty wpadła jakaś postać, biegnąca prędko z



mieczem w dłoni. Zabójca.

Biegł prosto na Ereca – który stał z uśmiechem na twarzy, zamkniętymi oczyma, nie podejrzewając nic, oczekując Alistair.

Działo się to tak szybko, a Alistair była w tak wielkim szoku, tak nieprzygotowana na ten widok, że ledwie zdołała zebrać słowa, by go ostrzec. Uwięzły w jej suchym nagłe gardle.

- Erecu! – zdołała wreszcie krzyknąć w panice, dokładnie w chwili gdy mężczyzna dopadł do niego.

Erec otworzył raptownie oczy i spojrział na nią zaniepokojony.

Wtedy jednak było już za późno. Postać – w której Alistair rozpoznała teraz Bowyera, wojownika Alzaków pokonanego przez Ereca w czasie pojedynków – dobiegła już do Ereca. Uniósł swój miecz za nim i z gardłowym okrzykiem opuścił go, dźgając Ereca w plecy.

Erec wykrzyknął, lecz krzyk Alistair był głośniejszy. Osunął się na kolana, z jego ust i pleców dobyła się krew. Bowyer nie wyciągnął miecza. Odwrócił się i puścił biegiem równie szybko, jak przed chwilą.

- Kochana! – zawołał Erec, wyciągając dłoń ku Alistair i osuwając się na ziemię.

- NIE! – wrzasnęła Alistair, tracąc nad sobą panowanie, jak gdyby oglądała cudzy koszmar.

Alistair przypadła do Ereca i osunęła się wraz z nim, tuląc go. Jego krew wsiąkała w jej suknię.

- Alistair, kochana – rzekł słabnącym głosem.

Poczuła, jak umiera w jej ramionach, czuła, jak życie ulatuje z niego. Jej rozdzierający szloch poniósł się po pomieszczeniu, rozszedł poza nim i wzbił aż pod nieboskłon. Wiedziała, że już za późno. Czuła, że to wszystko jej wina – rozproszyła go tą niemądrą zabawą. Erec z pewnością spostrzegłby zbliżającego się mężczyznę, gdyby nie zamknął oczu i nie czekał na nią. Nieumyślnie pomogła uśmiercić mężczyznę, za którego oddałaby życie. Mężczyzna, którego kochała nade wszystko w świecie miał niebawem umrzeć.

Nadszedł dzień jej zaślubin – lecz miłość jej życia nie żyła.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Gwendolyn stała przy balustradach na dachu fortu Tirusa. Wzrok od wielu godzin utkwiony miała w dali. Obserwowała morze, trzymając w ramionach Guwayne'a. Na jej twarzy malowała się powaga, a w głowie rozbrzmiewały słowa Argona. Czy wszystko, co rzekł Argon, miało się ziścić? Czy też może były to jedynie słowa konającego, mającego człowieka?

Gwen pragnęła wierzyć, że prawdą jest to drugie, lecz nie potrafiła odegnąć strachu, że jego słowa się ziszczą.

Podmuchy zimnego wiatru muskały jej twarz. Patrzyła w dal, wyczekując, i ogarnęło ją złe przeczucie, że jej czas na tej ziemi dobiega kresu. Czuła teraz w swym życiu pewną nieuchronność, jak gdyby te skaliste, opuszczone wyspy miały być miejscem ich wiecznego spoczynku. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła, by Thorgrin był tutaj, by powrócił i stanął obok niej. Odnosiła wrażenie, że z nim u swego boku mogłaby stawić czoła wszystkiemu.

Wiedziała jednak jakimś sposobem, że nie powróci. Modliła się, by był bezpieczny.

Modliła się, by – gdziekolwiek był – nie stała się mu żadna krzywda. By pamiętał o niej. I o Guwaynie.

Wpatrywała się w chmury i mrugnawszy, dostrzegła nagle coś na dalekim widnokręgu. Z początku było to bardzo niewyraźne, jak gdyby jakiś ruch pośród ciemnych chmur. Wtem ujrziała skrzydła, jedną parę, potem kolejną. Na horyzoncie pojawił się smok. A po nim drugi.

I trzeci.

Gwen serce zamarło, gdy jej najgorszy koszmar urzeczywistnił się: dziesiątki smoków pojawiły się na odległym horyzoncie. Ryczały wściekle, uderzając swymi wielkimi skrzydłami. Wiedziała, że oto zbliża się ku nim śmierć.

- Uderzcie w dzwony – rzekła Gwendolyn ze spokojem do Steffena, który cierpliwie czekał nieopodal niej.

Steffen obrócił się i odbiegł, i na umocnieniach rozległo się bicie dzwonów

ostrzegających ludzi. W dole rozległy się krzyki, ludzie poczęli biec, by skryć się w jaskiniach, podziemnych przejściach, jak przygotowała ich Gwen – gdzie tylko zdołali, by uciec przed smoczym oddechem.

W głębi duszy Gwen wiedziała, że to próżny wysiłek. Nic nie umknie przed gniewem smoka – nie wspominając już o gniewie dziesiątków smoków. Wiedziała, że kogo pominą smoki, dobiją ludzie Romulusa.

Po chwili Gwendolyn ujrzała, że ocean pokrywa się czernią. Czarne okręty – okręty imperialne – rozpościerały się daleko jak okiem sięgnąć. Jak gdyby nie istniało nic poza nimi; nie wiedziała, że tyle okrętów mogło istnieć na świecie. Nie mogła się nadziwić, że wszystkie zamierzają przypuścić atak na tak niewielką wyspę. Że wszystkie nadpływają przez wzgląd na nią.

Nagle Gwen usłyszała nad sobą ryk, niezmiernie blisko, i podniosła wzrok, zdumiona, kuląc się. Ku swemu zaskoczeniu ujrzała Ralibara. Nadleciał gdzieś z głębi wyspy z wyciągniętymi szponami, rycząc i bijąc swymi ogromnymi skrzydłami. Gwen sądziła, że odleci, uciekając przed zniszczeniem, które zbliżało się ku nim, że ocali siebie.

Jednak ku jej zaskoczeniu, Ralibar leciał prosto przed siebie. Zupełnie sam zamierzał stawić czoła zbliżającej się armii. Leciał odważnie co sił, nie zwalniając.

Odwaga Ralibara dodała Gwen otuchy. Wiedział, że zginie w walce z nimi, lecz mimo tego nie cofał się przed nią. Ten smok w pojedynkę leciał, by oddać swe życie, by zginąć w walce, by bronić Gwendolyn i jej ludzi – i by położyć trupem tyle smoków, ile tylko zdoła.

Gwendolyn przygarnęła mocniej Guwayne'a, odwróciła się od balustrady i pospieszyła w dół kamiennych spiralnych schodów. Nastał czas.

\*

Gwendolyn szła szybko, uważnie stawiając kroki na skalistym brzegu nad oceanem, przyciskając Guwayne'a mocno do piersi. Byli sami. W oddali słyszała smocze krzyki i wiedziała, że są już blisko; nie pozostało jej już wiele czasu.

Gwen słyszała dźwięk fal uderzających lekko o brzeg tej spokojnej zatoki na tyłach wyspy. Połączona była z oceanem i płynął w niej silny prąd. Gwen podeszła do niewielkiej łodzi, która kazała wykonać specjalnie w tym celu, długiej na osiem stóp, o maszcie równej długości i niewielkim żaglu. Łódka była wystarczająco duża dla dziecka.

Jednego dziecka.

Gwen szlochała, po raz ostatni przygarniając do siebie Guwayne'a. Nachyliła się i pocałowała go. Nie przerywała pocałunku jak długo mogła, aż Guwayne zaczął płakać.

Gwen poczęła opuszczać go, a on chwycił pasmo jej włosów i pociągnął. Opuściła go i znalazł się bezpiecznie w koszu w łódce, owinięty ciasno pledami, w wełnianej czapeczce.

Gwendolyn szlochała, klęcząc przy nim, a Guwayne zanosił się płaczem.

Gwen spojrzała w dal, w ocean, ku horyzontowi i serce jej pękło na dwoje. Nie potrafiła znieść myśli o posłaniu dziecka w nieznane. Wiedziała jednak, że samolubnym byłoby pozostawienie go tutaj z nią. Tutaj spotkałaby go natychmiastowa, okrutna śmierć. Tam, na morzu, najpewniej także umrze. Lecz przynajmniej otrzyma szansę. Być może jest to szansa jedna na milion. Będzie unosił się gdzieś tam na rozległym, otwartym morzu. Lecz któż to wiedział, dokąd zanoszą go fale, los? Być może – modliła się – doprowadzą go w jakieś bezpieczne miejsce. Do matki i ojca, którzy go pokochają.

Być może wychowa go ktoś inny, stanie się wielkim wojownikiem i będzie żył tak, jak jest mu przeznaczone. Może jej dziecię otrzyma szansę, będzie żyło dalej za nich.

Pragnęła – bardziej niż czegokolwiek – móc mu to zapewnić; wiedziała jednak, że to niemożliwe.

- Kocham cię, synu mój – powiedziała z głębi serca, nie potrafiąc powstrzymać cisnących się do oczu łez.

Z tym ostatnimi słowy uklękła, chwyciła łódź i pchnęła ją.

Była to niewielka łódź, która zakołysała się, gdy pchnęła ją na spokojne wody. Lekki prąd delikatnie, powoli wypchnął ją na morze. Płacz Guwayne'a, miast niknąć, stawał się coraz głośniejszy. Prąd wciągał go samego w przestwór pustego, szarego morza.

Gwendolyn patrzyła za nim, za jego błyszczącymi oczyma barwy morza, i nie mogła znieść tego widoku. Zamknęła oczy i modliła się z całych sił:

*Proszę, Boże. Nie opuszczaj go.*